



MAREK T. DEBOWSKI

rok chińskiego lisa

sf



Pragnę tworzyć swoje światy, mając samą satysfakcję z możliwości ich tworzenia, powoływać do życia bohaterów występujących na planach tych światów, kreować konkretne sytuacje wiedząc, że tylko ja, i nikt więcej, jestem ich jedynym reżyserem.

Pierwsi czytelnicy tej powieści zarzucają mi ponurość, cynizm, tragiczne rozwiązanie wątków itd. Cóż... Uważam, że skoro nasz świat nie jest taki świetlany, to dlaczego kreowany przeze mnie ma być inny? Dlaczego Dobro ma zwyciężać? Dlaczego ta fikcja ma być lukrowana? Czytelnik szuka akcji, a nie mdłych opowieści o rakiecie i nieustraszonym nawigatorze. Kosmos jest w nas, na Ziemi — tutaj się zaczyna i tutaj już zaczyna się bezpardonowa walka o to, co będzie dalej.

ISBN 83-7007-190-2

Cena zł 500,—

Marek T. Dębowski

rok

chińskiego lisa

Opracowanie graficzne Danuta Dąbrowska-Wojciechowska

Redaktor Waldemar Wojciechowski, Anna Stankiewicz

Redaktor techniczny Bogusław Józwik

Korektorka Anna Malinowska

Wydawnictwo „Glob” Szczecin 1989 r. Wydanie pierwsze. Nakład 29650 f 350 egz. Ark. wyd. 11. Ark. druk. 9,75 Papier offset., ki. V, 70 g, rola 70 cm Oddano do składowania w lutym 1988 r. Do druku podpisano w grudniu 1988 r. Druk ukończono w styczniu 1989 r. Prasowe Zakłady Graficzne w Koszalinie Zam. K-116 o-6/92 Cena zł 500,

Będzie to opowieść o światach dalekich i bliskich, wspaniałych i okrutnych, o planetach zamieszkałych i skłóconych z sobą, o cywilizacjach potężnych i bezwzględnych w dążeniu do przetrwania i uchronienia się przed wchłonięciem przez silniejszego.

Będzie to również opowieść o pięknej ongiś planecie i wspaniałej cywilizacji, o jej upadku, ale nie śmierci, choć i tacy byli, którzy chcieli ją unicestwić.

I jak w każdej tego typu historii będzie ZŁO i DOBRO, bo-
wiem to atrybuty życia.

Bronkowi „Pet” Nowaczykowi
(szkoda stary, że nie doczekałeś...)

- Powtarzali nam te bzdury przez stulecia. Powtarzali do znudzenia, a teraz zamilkli, bowiem odpowiedź przyszła sama!

- Nie wierzyłeś w ich gadanie?

- Jasne! Nikt w to nie wierzył, bo bezsensiem byłoby, gdyby we wszechogarniającej pustce, wypełnionej i materią i energią, istniał tylko jeden rozum.

- Teraz wiemy, że tak nie jest.

- Wiemy też, że rozum ten szukał drugiego.

- Tak, niestety...

- Przypuszczamy, że nas odkrył i przestraszył się.

- No dobrze. Ale czego?

- Teraz nie umiemy znaleźć odpowiedzi, ale jedno jest tu pewne: zauważył w nas nie współpartnera, lecz niebezpieczeństwo, zagrożenie.

- To aż trudno pojąć! I dlatego chciał nas zniszczyć?

- Chyba tak... No bo gdyby dążył do poznania, przybyłby tu sam, a nie wysyłał obiekty wypełnione śmiercią!

- Jaką damy im odpowiedź?
- Skoro nas uznali jako zagrożenie, sami zagrożeniem są też dla nas.
- Uderzymy?
- Nie ma innej odpowiedzi... Trzeba pomścić tych, których zabito bez przyczyny. Polecimy tam i przywieziemy tu ich tylu, ilu zdoła zabrać cała nasza flota. Po to, by pokazać, co zrobili i ukarać...
- Tak, niech odbudują to, co zrujnowali bez powodu i przyczyny!
- Bez powodu i przyczyny? Powodem był irracjonalny strach, a przyczyną - chorobliwy objaw zagrożenia.
- Czy wiadomo coś bliższego?
- Tak. To peryferie Galaktyki. Nikt by nie pomyślał, że tam może istnieć życie!
- Rozum.
- Nie mów o rozumie!
- Bezrozumny rozum.
- To właściwe określenie.
- Są potężni?
- Chyba byli, skoro potrafili odkryć nas i zaatakować. Zresztą to nieważne. Teraz przeżywają regres. Wiemy to od tych z rekonesansu, którzy tę wiadomość przesłali.
- To plus dla nas.
- Plus czy nie plus... Nic już nie powstrzyma chęci zemsty!
- Szkoda, że nie chcieli widzieć w nas partnera.
- Tak. Widzieli tylko zagrożenie.

- A więc będą mieli wroga!
- No a Ratownicy?
- Ratownicy? Jak ich znam, ruszą też za nami.
- Tak, bo dla nich zawsze p o n a s jest zajęcie...
- Znowu nazwą nas Niszczycielami.
- Nie do wiary! Od stuleci nikt tak nas już nie określał.
- Nazwa ich systemu?
- Sol.
- Planety?
- Ziemia.
- Jej przedstawicieli?
- Ludzie.
- Jak to będzie w liczbie pojedynczej: ludź?
- Nie, człowiek. Głupia, bezrozumna istota!

„Duma Eszona” wisiała w mrocznej przestrzeni jak podłużny potężny odłam skalny, wydawała się martwa. Ale to było pozorne; wewnątrz „skały” żyło.

Korytarz „trzynastki” szeroki, przepastny i ponury tonął w mroku przygaszonych lamp, rozjarzanych tylko w czasie alarmu bojowego. Nawet w oparach siwawobrunatnofioletowych dymów i wyziewów wydostających się z nieszczelnych zamknięć, złącz, zaworów i zasuw nie było tu jaśniej. W połowie wysokości ściany, nad włączkami zsyków anihilacyjnych, biegł metalowy pomost, a za nim mieściły się sale dla obsługi - w tej chwili odpoczywających.

Rot Bason, ubrany w szary poplamiony kombinezon ochronny, miał wachtę na tym właśnie pokładzie i przechadzał się teraz w świetle przygaszonych lamp. Chodził tylko w obrębie przynależnych mu do kontrolowania stanowisk bojowych i szczególną uwagę zwracał na umieszczoną pod stropem, w metalowej drucianej oprawie, białą lampę alarmu bojowego, która mogła raptem rozbłysnąć pulsującą czerwienią, uruchamiając tym samym syreny dźwiękowe. Ich wycia Bason nie mógł nigdy ścierpieć i to od czasu, kiedy przechodził ćwiczenia na starym wraku „Duch Nocy”.

Rzucił też zazdrosne spojrzenia na śpiącego w pozycji siedzącej starszego stażem kolegę. Ich służba na niszczycielu ograniczała się tylko do pokładu 13.

Przechodząc obok ciemnych osmalonych wylotów nie myślał o niczym - pragnął tylko jednego: aby skończyła się wachtą. Wówczas będzie mógł położyć się i zasnąć, aż go nie obudzą na następną albo - w razie alarmu... O tym wołał jednak nie myśleć.

W wędrówce po swoim odcinku dotarł do śpiącego i przechodząc obok, szturchnął go niechcący. Ten zerwał się natychmiast, spojrzał nieprzytomnie na Basona i wymamrotał rozspanym głosem:

- Czego mnie budzisz? Stało się coś, do stu tysięcy nuklearnych wyziewów?!

- Nic się nie stało, ale... ale!.. - Bason zaczął się jękać, nie wiedząc czym wytłumaczyć swoją niezręczność.

- Ale co?! - zapytał go Duan Magel wysuwając do przodu swoje wąsy sterczące jak szczecina szczotki.

- Zdawało mi się... Zdawało, że lampa gotowości zaczęła mrugać.

Duan Magel spojrzał groźnie na lampę alarmu nie przejawiającą żadnej ochoty do mrugania i warknął:

- Jak ci huknę w te głupie ślepie, przestaniesz ci zaraz gotowość mrugać, ty śmierdzący atomowym dymem cymbale!

Bason przeraził się nie na żarty, bowiem Magel znany był z awanturniczego nastawienia do młodszych stażem, którzy na „trzynastkę” trafiali za jakieś tam przewinienia, wiedząc, co znaczą jego twarde pięści. Z ich powodu właśnie Duan Magel trafił tu także, znęcając się swego czasu nad świeżo przybyłymi poborowymi, jakby na nich chciał powetować swoją karierę.

- Tak jest! - wymamrotał Bason i zamrugał głupawo, a jego łuskowata gęba przybrała siny kolor. Nie rozumiał też, dlaczego Magel nazwał go cymbałem śmierdzącym atomowym dymem, ale nie śmiał o to pytać.

Ten jakby się udobruchał, widząc siny kolor łuskowatej gęby Basona, bo usiadł z powrotem na taborecie i zapytał z fałszywą grzecznością:

- A jak długo spałem, kolego?

Może to „kolego” upewniło Basona, że nie będzie awantury, bo westchnął i odpowiedział zaraz:

- Ponad połowę wachty! - jego gęba nabrała żywszego koloru.

Duan Magel spojrział na niego spode łba.

- I w tym czasie nie było tu nikogo? - pytał nadal tym podejrzanie spokojnym głosem.

- Nikogo - odrzekł Bason i nagle zobaczył z przerażeniem, że Magel zrywa się i wali go swoją pięścią, rycząc:

- Wcale nie spałem, ty popromienny odpadzie! Cały czas czuwaliliśmy! Na chwałę Eris! Powtórz mi to zaraz!

Bason zamrugał oczami i kiedy korytarz przestał wyginać się jak gumowa wstęga, a stół przed nim wirować, wstał z trudem, mamrocząc: - Wcale nie spałem, ty popromienny odpadzie! Cały czas...

- Ach, ty grzybie atomowy! - wrzasnął Magel, podsuwając pod jego nos sękatą pięść. - Że też takich baranów przydzielają na „trzynastkę”! Zapamiętaj sobie, że na wachcie byliśmy razem, bacząc głównie na tę lampę! - wycelował lewą rękę w sufit, pod którym wisiała potężna żarówka. - Teraz siadaj, napromieniowana pało, i milcz! – dodał jeszcze, ale już nieco łagodniej.

Rot Bason podszedł niepewnie do małego stołu i usiadł na drugim taborecie. W głowie jeszcze mu huczało, a gęba piekła w okolicy nosa. Spojrzął bokiem na Magela; ten szukał czegoś po kieszeniach brudnego kombinezonu. Nagle wzrok Basona trafił na jeden z dziesięciu włazów awaryjnych, w którym z

marsową miną stał Przełożony - „bydlę złe i podle”, jak o nim wszyscy mówili.

Duan Magel otwierał już gębę, żeby coś powiedzieć, ale widząc osłupiałego Basona i jego przerażone, wytrzeszczone ślepia, poszedł za tym spojrzeniem i na chwilę zdrętwiał. Jego reakcja była ; natychmiastowa. Zerwał się i już zaczął meldować słuźbiście, kiedy Przełożony wstrzymał go ruchem ręki, podchodząc bliżej.

Był mały, chudy i anemiczny, a kombinezon wisiał na nim jak na wieszaku.

- Widziałem wszystko! - powiedział ostro, patrząc na Magela. - Uderzyliście młodszego stażem i to podczas pełnienia przez niego ważnego dyżuru. Wiecie dobrze, czym to śmierdzi. Mówiłem, że mam oko na was. Nos mnie nie zawodzi!

Magel zbladł nagle i poruszył się niespokojnie, szukając szybko wykrętnej odpowiedzi. Przełożony 13. pokładu, 627. odcinka, 4 stanowisk znany był z sadystycznych skłonności do podwładnych. Stanął przed Magelem i zmierzył go zimnym spojrzeniem.

- Gdyby nie wyjątkowa sytuacja, puściłbym was jutro przez pokład trzynasty. Tylko raz. Stąd do końca! - wycedził.

Wiedzieli, co oznacza bieg na długości prawie dwudziestu kilometrów.

- Jutro zaczyna się częściowe zawieszenie działań bojowych z uwagi na ogłoszenie stanu wyjątkowego w Układzie, musicie zrobić coś, żeby natychmiast zapomniał o tym

incydencie... - zawiesił na chwilę głos, bacznie świdrując ich swoimi małymi oczkami.

Magel myślał chwilę, potem wyszarpnął z kieszeni skrząco nie chowane i ledwo co nadpalone cygaro, które zdobył za dzienną rację pożywienia, i podał je Przełożonemu. Ten złapał je szybko i zapytał:

- A ogień macie?

Magel błyskawicznie spełnił jego żądanie.

Przełożony zaciągnął się, wypuścił dym i rzekł:

- A więc, jak już powiedziałem, jest ogłoszony stan wyjątkowy dla całej floty i Układu. Zawieszono też wszystkie działania bojowe, utrzymując jedynie stan gotowości. Nie wiem, co się za tym kryje, ale różnie się na ten temat mówi. Wy jednak - wrzasnął nagle - nie macie prawa nic mówić!

- Tak jest! - ryknęli jednocześnie.

- Nie wiem, co się dzieje, ale jeżeli cokolwiek się dzieje, to trzeba być czujnym! Czy rozumiano?! - wrzasnął ponownie i zaraz dodał słodko: - Żebyście jednak nie myśleli, że jesteście na przepustce albo co gorsza - na urlopie, na który nigdy nie pójdziecie, to wy, Magel, za swoje zachowanie, polecicie na „czternastkę” - na miesiąc, a wy - zwrócił się do Basona - na dwa, za to, żeście nie donieśli gdzie trzeba, że wasz starszy kolega zażywa środki odurzające w czasie wachty. Rozumiano?!

- Tak jest - odpowiedzieli niemrawo

Przełożony 13. pokładu, 627. odcinka, 4 stanowisk zmiądzzył ich jeszcze ponurym, debilowatym spojrzeniem i odszedł kopiąc cygaro. Zostali sami.

- Żeby go zsympochłonał! - zaklął Magel, kiedy tamten zniknął im z oczu. - Ostatniego dyma straciłem! Przez ciebie, ponuklearna trąbo! A niech to!

Rot Bason przestępował z nogi na nogę i żał mu się zrobiło starszego kolegi, a jeszcze bardziej siebie, bo w końcu tamten dostał tylko miesiąc, a on - dwa. Wiedział, co znaczy pokład 14. Te płynące nim wiecznie gówna, pomyje - galaretowate szambo zbierane z całego statku, które trzeba popychać potężnymi łopatami, by jak najszybciej trafiło do pochłaniaczy odprowadzających tę śmierdzącą rzekę do przetwórni, gdzie przerabiano to wszystko podobno - tego Bason nie wiedział dokładnie - na czyste powietrze i inne „specjały” potrzebne do utrzymania statku i załogi przy życiu. Westchnął ciężko.

- Gówno nas będzie oglądał na tej „czternastce”! - warknął nagle Magel, siadając wygodnie.

Bason spojrzał na niego pytająco i zaraz powiedział cichym głosem:

- Wiem, że to przeze mnie, ale...
- Stul pysk, neuronowa ofiario! - zagrzmiął Magel i dodał rozpaczliwym tonem: - Takiego dyma stracić!
- Wiem - bąknął nieśmiało Bason niepomny ostrzeżenia -

gdzie Piga, ten z drugiego stanowiska, chowa dymy.

Magel jakby się ożywił, bo spojrzął na niego z ukosa.

- Gdzie? Gadaj zaraz!

- Za obudową lampy.

Starszy stażem zerwał się z taboretu i zaraz opadł nań z powrotem z chytrym wyrazem twarzy.

- Jeżeli wiesz - powiedział - to przynieś. - I dodał: - W końcu to przez ciebie straciłem dyma.

Bason wstał i ruszył biegiem do drugiego stanowiska. W tym czasie Magel mruczał: - Kiedy wreszcie dadzą tyle dymów, ile się należy? Kiedy szlag trafi tego debilowatego osła?

Bason był już z powrotem. Trzymał w palcach grube, długie i ledwo co nadpalone cygaro. Oczy Magela rozbłysły radośnie. Z namaszczeniem przypalał cygaro, a kiedy zaczął się zaciągać i wypuszczać powoli dym, zapytał grzecznie:

- A nie wiesz przypadkiem, gdzie inni trzymają dymy?

Bason zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie wiem, ale dowiem się - odpowiedział posłusznie.

- W porządku. A czy brałeś już udział w bitwie, kolego?

- Nie, jeszcze nie miałem tego zaszczytu.

- Ale ćwiczenia przeszedłeś i wiesz, co do ciebie należy?

- Wiem. Uczyli mnie tego przez ostatni rok na „Duchu Nocy”.

- A za co trafiłeś do nas na „trzynastkę”?

- Za ubranie kombinezonu przodem do tyłu podczas alarmu próbnego.

Magel zaśmiał się głośno, obserwując siwobłękitny obłok dymu.

- Nic się nie martw - powiedział. - Nauczę cię wszystkiego. Trzymaj się mnie, a nie zginiesz.

- Cieszy mnie to - bąknął Bason.

Magel machnął tylko ręką.

- Uważaj, co ci teraz powiem - ciągnął dalej. - Kiedy oni tam na górze zaczną grzać, kiedy pokład trzęsie się i trzeszcza ściany, a podłoga drga i wibruje, my pilnujemy naszego stanowiska, którego wlot nie ma prawa się zaciąć, bo tamtędy, na dany znak, musimy posyłać pojemniki z ładunkami. Ja je tylko umieszczam we wlocie, a ty lecisz w tym czasie z pustym do zsypu. Jasne? To jest cała filozofia! Zresztą zobaczysz wszystko podczas alarmu. I jeszcze jedno - dodał - może się zdarzyć, że pojemnik eksploduje tu, zamiast tam - na górze. Wówczas...

- Wówczas? - podchwycił szybko Bason.

- Wówczas może nas już nie być. Ale o tym nie myśl! - uciął i zamilkł nagle. W brudnych, połamanych paznokciach trzymał maciupenki koniuszek cygara i ze smutkiem spoglądał na jego powoli gasnący żar. Potem zapytał ziewając: Ale co on chciał przez to powiedzieć. że ogłoszono stan wyjątkowy dla

całej floty? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Bason wzruszył ramionami; chciało mu się spać.

- Może coś się święci! - bąknął cicho.

- Tak, masz rację, kolego. Coś się święci. Tylko co? - zastanowił się Magel, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi. Spojrzał na zegar wiszący nad pomostem i wrzasnął nagle tak, że Bason zerwał się na równe nogi.

- Koniec wachty! Budź następnych!

- Sytuacja jest szczególna - zaczął po malej chwili namysłu Nian Majo, pełniący dyżur na statku „Mintreia”. - Co ciekawe, nie grozi nam żadna forma agresji ze strony Czunów, oni nie zaryzykują już konfliktu z nami. Grozi nam coś z zewnątrz.

Barto Klat i Juto Liman, słuchający go w milczeniu, spojrzeli na niego uważniej, bowiem to co mówił, napawało lękiem.

- To coś - ciągnął dalej Majo - nadchodzi podobno z głębokiej przestrzeni i jest już bardzo blisko, dlatego Główny Ośrodek Dyspozycyjny ogłosił stan wyjątkowy! Światy Minów i Tajów podporządkowały się jego woli i czy wiecie, co to znaczy? - podniósł głos i powiódł po nich swoimi świecącymi się żółto oczami.

- Mówisz to poważnie?- zapytał Liman, patrząc na niego jakoś inaczej. To, co przed chwilą tamten powiedział, było zaskakujące, a może nawet. szokujące, bo jak długo żyją, nie

słyszeli, aby Minowie i Tajowie, wojujący z sobą od stuleci o księżyc Song, dobrowolnie zaprzestali ataków.

- Jak najbardziej - powiedział Majo. - Powiem wam więcej! Minowie z Borei II, Tajowie z Klu Frell oraz dwie planety Układu siódma i piąta - zawarły również rozejm z Worysami! Czunowie z Eris wstrzymali swoje bojowe rajdy, a ich eskadry przebywające poza Układem zostały nagle wezwane do powrotu. Armeja zwróciła się do nas o pomoc - nie mogą sobie poradzić ze zniszczeniami na wschodniej półkuli. Czy to wam nic nie mówi? Dziwne rzeczy się dzieją! Wszędzie słychać tylko o tym, że c o ś nadchodzi z głębokiego mroku, może gdzieś ze środka wszechświata i nie wiadomo, co lub kto to jest?

- Też słyszałem o jakimś zagrożeniu - odezwał się cicho Barto Klat. - Teraz widzę, że sprawa jest poważna, bo podobno przestrzeń wokół nas gwałtownie się kurczy!”

- Masz na myśli implozję? A gdzieś o tym słyszał? - parsknął Majo. - To jest niemożliwe! Powolne kurczenie się przestrzeni, o którym mowa w Szóstej Księdze Sari? - wyduł wargi z dezaprobatą. - Bzdury! - skwitował krótko. - Przecież w to już nikt nie wierzy! Może jeszcze Armejczycy...

- To nie są takie znowu bzdury - zaoponował Klat. - O Szóstej Księdze już dawno co prawda zapomniano, ale ostatnie badania najdalszych granic naszego wszechświata zdają

się potwierdzać to, co wydarzyło się kiedyś i prawdopodobnie się powtórzy. A jest powiedziane, że „nadejdzie czas, kiedy ZŁO sprzymierzy się z DOBREM przeciwko NIEWIADOMEMU, co nadejdzie nagle i wszyscy skupią się wokół JEDNEGO, a TEN nie będzie mógł im pomóc, bo STRAŻNIK GŁĘBOKIEGO MROKU zadmie w swoją trąbę, a jej podmuch oczyści przestrzeń. I nie będzie ZŁA, i nie będzie DOBRA. Pozostanie czysta Przestrzeń i czekać będzie ona na ponowne zapłodnienie. Ten, który ją posiada, pojawi się nagle jak wybuch i grzmot i wszystko zacznie się od nowa”. Mówią jeszcze, że...

- Że nasz wszechświat jest nadal w fazie ekspansji! - przerwał mu ostro Majo. - Oszalałeś, Barto? Gdzie słyszałeś takie brednie i to jeszcze poparte badaniami? To jest bzdura wymyślona przez zwolenników Księgi!

- Zatem jak wytłumaczysz te nagłe wydarzenia? - odezwał się poirytowanym głosem Liman. - Minowie i Tajowie zawierają rozejm bez powodu? Czegoś takiego nie było jeszcze w całej ich historii! Dodatkowo podporządkowali się decyzjom GODysa, którego zdania nie tolerowali nigdy! Czunowie przestali wojować? Czunowie! Coś mi tu nie gra! - pokręcił z powątpiewaniem głową. - Przecież oni nigdy nie wierzyli, że istnieje GODys. Twierdzili zawsze, że jego działalność, to manipulacje Rady, która z kolei poddawana jest takim czy innym naciskom.

- Przecież Rada Układu została rozwiązana u schyłku

Starej Ery, właśnie z chwilą stworzenia i powołania GODysa!
- mruknął gniewnie Nian Majo. - Wszystkie światy o tym wiedzą!

- Jedni wiedzą i wierzą, inni nie - skwitował sprawę Liman. - I czyż to wszystko do siebie nie pasuje? DOBRO godzi się ze ZŁEM. On, czyli GODys nie będzie mógł pomóc.

- A widzisz! - przerwał mu nagle Klat. - To wszystko zgadza się z Księgą! Wszyscy posłuchali właśnie jego wezwania i zobaczysz, że skupią się wokół niego.

- Przestań, Klat! GODys to tylko mózg! Superpotężny i na okrągło rozbudowywany i udoskonalany! - zirytował się Majo. - Te bzdury z Księgi roztrząsaj z Armejczykami, nie ze mną!

- Czego się wściekasz? To w takim razie o co tu chodzi, Nian? - Liman spojrzał na niego pytająco. - Jak to wytłumaczysz?

- Nie wiem. Sytuacja jest poważna i dlatego utrzymywana w tajemnicy, by nie dopuścić do paniki. Tak uważam.

- Ale o co chodzi? - prawie jednocześnie zapytali Liman i Klat.

- O to, że grozi nam jakaś katastrofa - przerwał im nowy głos od strony wejścia.

Spojrzeli w kierunku otwartego wjazdu. W progu stał główny dyżurny Sadym i patrzył na nich spokojnie.

- Nie grozi to tylko nam - dodał szybko, widząc ich przeżenie. - TO idzie z zewnątrz i zagrożony jest cały Układ,

nie jakiś tam pojedynczy świat. A najgorsze jest to, że nikt nie wie, czym jest lub ma być to zagrożenie.

Liman i Klat wymienili spojrzenia i usiedli w swoich fotelach. Majo pozostał tam, gdzie stał.

- Przecież jesteśmy sami - jęknął Liman. Spojrzał na monitor przed sobą z jakimś smutkiem na twarzy i dodał: - Samiuteńcy w całej wszechogarniającej nas przestrzeni i od stuleci wiemy, że nikogo nie ma, więc czym jest to zagrożenie?

Milczeli.

- Dowieemy się wszystkiego niebawem - powiedział po chwili Sadym, kierując się do wyjścia. - Ja też dużo nie wiem, inni „na górze” tak samo. A teraz bierzcie się do roboty, potrzebne są raporty z ostatnich lotów do Tokomany. Wigo na nie czeka. I zróbcie też wyciąg ze stanu jednostek, które brały w tym udział, i z użytych środków. Byłbym zapomniał, chce mieć też kopię tego raportu z incydentu z Czunami w rejonie księżycy Tokomany. Czekają na to, więc uwińcie się szybko.

- Nic nadal nie wiemy - powiedział Liman.

- Teraz znowu Czunowie! Czy z nimi nikt nie zrobi wreszcie porządku?

- Eris im już nie wystarcza - mruknął Klat - więc szukają nowych miejsc, żeby burzyć, rujnować, zabijać i krzyczeć, że to wszystko w imię Nowego Postępu i nadrzędnych ideałów!

- Tak, tylko dlaczego ich nie szukają poza Układem? - wtrącił Liman.

- Nie wiecie? - odezwał się Majo. Przetwarzał już dane dla Wiga i przenosił je na płytę kryształu, obserwując uważnie wysuwającą się z boku taśmę kontrolnego wydruku. - Nawet gdyby znaleźli coś poza naszym Układem, toby się tam nie przenieśli, bo oni nie mogą być sami!

- Już podczas Wojny Jednorocznej z Eris - mruknął Klat - powinniśmy rozwalić tę ich zawszoną planetę i byłby teraz spokój!

Liman zaśmiał się wrzucając w bęben drukarki świeżą rolę papieru.

- Dopóki są Czunowie - mówił Klat - dopóty nie będzie tu nigdy spokoju.

- Nie będzie - przytaknął Liman. - Tak jak nie było i nie będzie między Minami i Tajami, bo Worysi wtrącają się tylko sporadycznie. Kończ te sprawozdania, bo nie wyjdziemy stąd nigdy. - I nagle zapytał: - A co by było, gdybyśmy naprawdę nie mieli problemu z tymi Czunami, Minami, Tajami?

Barto Klat milczał. Nie umiał znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Zamyślił się głęboko.

Klu Frell była piątą planetą Układu Sei, z dwoma księżycami teraz otoczonymi eskadrami Czarnego Turun Pena i Foell Iona Wściekłego. Okręty tych dwóch dowódców w całej armadzie Klu Taja cieszyły się najgorszą sławą. Wisiały teraz na tle jasnych księżyców Bega i Song i czekały. Czekały gotowe, by zerwać się na najmniejszy impuls centrum do wodzenia, by

ruszyć pełną mocą swoich siłowni ku odwiecznemu wrogowi - Borei II.

Cały ich arsenał skierowany był w tym kierunku. A siódma od Sei, niewidoczna teraz, miarowo posuwała się po swojej drodze, będąc obserwowana przez setki tysięcy czujnych oczu.

Klu Frell nigdy nie była tak dokładnie otoczona okrętami niemal całej swojej armady.

- Takiego zgrupowania jeszcze nie było - powiedział Maru Tan wchodząc do pomieszczenia dowódców pokładów na „Borudze”. - Dobrze, że Klu Taj ogłosił najwyższy stan gotowości wewnętrznej, bo nigdy nic nie wiadomo z tymi minajskimi diabłami! Czunowie zajęli wszystkie strategiczne punkty przestrzeni. A o co właściwie chodzi? Pogaduszki z GODysem? Rozejm?

- Minowie też zgrupowali się wokół swojej Borei II i na pewno tak samo jak my ich, mają naszą Klu Frell na celowniku - odezwał się siedzący pod ścianą Lina Ken, poddowódca pokładu amunicyjnego. Zarechotał cicho. - Dobrze, że Worysi siedzą spokojnie. Może się wystraszyli albo trwają w przyrzeczeniu? Jestem tylko ciekawy, co Klu Taj i jego doradcy przyniosą z tego posiedzenia?

Maru Tan rzucił rękawice do środka wnęki, obszedł małego Krala Dy, drzemiącego w fotelu, i usiadł obok Liny Kena i Bary'ego Edy'ego, dowódcy pokładu desantowego.

- Słyszałem, że jednej z podwójnej Kopry ZX3 ma się na

supernową i teraz wszyscy dumają, jakie to może mieć następstwa dla naszego Układu? Co o tym sądzisz, Lino Ken? - Maru Tan spojrział na wysokiego poddowódcę.

- To fakt, że ten Układ leży najbliżej nas i zrobiłoby się tu cholernie gorąco, gdyby jedna z tych dwóch gwiazd chciała nagle dać ognia zapasem całej swojej energii.

Maru Tan spojrział na niego z ukosa, wyciągnął swoje baryłkową te nogi pod stołem i potrącając niechcący Bary'ego Edy'ego, wyrwał go z zadumy.

- Co o tym myślisz? - zwrócił się do niego.

Ten nie zmieniając pozycji, mruknął:

- Myślę, jak dobrać się do Kotaja, którego ci przekłęci Minowie umieścili w przestrzeni tak, że co trzecie okrążenie wokół Borei II narusza nasz szelf planetarny. Nadchodzi czas, kiedy będzie w perygeum!

- Tak - westchnął Lina Ken i zapytał: - A czy wierzysz w pokojowe uregulowanie tej sprawy?"

Bary Edy i Maru Tan spojrzeli na niego uważnie.

- Co ci przyszło do głowy? -, zapytał Bary Edy.

- Czy oni - Lina Ken wskazał sufit - nie gadają przypadkiem na ten temat? Żebyśmy tylko nie zostali wykołowani!

Maru Tan obruszył się. Chciał już coś powiedzieć, ale uprzedził go Bary Edy.

- To byłaby zdrada! - zagrzemiał. - Klu Taj musiałyby wiać ze stanowiska! Co za bzdury krążą wam po mózgach! Kiedy nie istniał Kotaj, kiedy nikt nie przypuszczał, że ci przekłęci

Minowie sobie go zbudują i umieszczą na takiej orbicie, tłucli się z nimi nasi przodkowie. Zapomnieliście o sprawie Klu Taja Pierwszego? Przecząco pokręcili głowami, a Bary Edy dodał:

- Przecież to oni wykradli nam sposób-klucz - do przejścia przez Bramę w Przestrzeni, który ofiarował Klu Tai Pierwszemu Madusan Taj.

- I sami nie potrafią przez nią przejść - wtrącił Maru Tan, widząc złowrogie spojrzenie Bary'ego Edy'ego.

- Bo formułę zaklęcia zna tylko Klu Fliter Młodszy, dlatego trzeba przetrzepać ich zdrowo i odebrać klucz!

- Nie wiadomo, czy go jeszcze mają! - zauważył Lina Ken.
- Przecież od tego czasu upłynęły tysiąclecia!

- Mają, mają! - wtrącił się nagle Kral Dy. Poprawił się w fotelu i popatrzył na nich. - Mają, bo proponowali ongiś, gdy żyliśmy w warunkach pokoju, żeby spróbować uruchomić Bramę wspólnymi siłami. Podobno za nią są Kolorowe Świąty, które czekają na nas od niepamiętnych czasów, przygotowane przez synów Madusana Taja, a nie, jak twierdzą Minowie, ci fałszerze historii, przez Boreę i Frella.

- I ci mądrale chcieliby być tam pierwsi? - warknął Bary Edy. - Niedoczekanie!

Lina Ken wpatrywał się w sufit. Odezwał się bardzo wolno:

- Brama ukazuje się tylko... Zaraz, zaraz! - usiadł prościej. - Ile dzieli Seję od konstelacji Zamka? - zapytał szybko.

- No... - bąknął Bary Edy - trzeba by było o to zapytać tych z astro. Nie wiem, kiedy Seja wejdzie w Zamek.

- Wiem, co masz na myśli! - krzyknął Maru Tan. - Że oni nie gadają z GODysem, a z tym przeklętym Peitonem Dru-gim?

- Całkiem możliwe - zauważył zagadkowo Lina Ken. - To wszystko mogłoby się układać w logiczną całość.

- O czym wy znowu pieprzycie? - warknął Bary Edy.

- Jeżeli jedna z Kopry zrobi bum, to tu mało co zostanie! - zaczął Kral Dy, ale Lina Ken przerwał mu szybko.

- To jasne! GODys wezwał Klu Taja i Peitona na naradę, bo... - urwał nagle, bojąc się głośno wyjawić myśl, która przyszła mu do głowy.

- Uważasz, że GODys chce ich przekonać, że Brama może być jedynym ratunkiem, gdyby Kopra... - Maru Tan też nie dokończył. - Do stu tysięcy wściekłych Minów! - zaklął. - To wszystko jest możliwe! Ze też na to wcześniej nie wpadłem! Bary Edy popatrzył na nich ponuro. Wiedział już, o czym mówią.

- A więc zdrada! - wykrzyknął po chwili. - To byłaby zdrada! - powtórzył i powiódł wściekłym wzrokiem po wszystkich. Wstał raptownie i wyszedł z kabiny nic więcej nie mówiąc.

- Ale się spieklił - zauważył Kral Dy.
- Spiekisz się tak samo - powiedział Lina Ken - jeżeli to okaże się prawdą.
- Prawdą nie prawdą - odrzekł dyplomatycznie Maru Tan - ale fakt pozostaje faktem: mogli nas chociaż powiadomić, o czym będą gadali.
- Racja - przerwał mu Lina Ken. - Ale GODys podobno dał do zrozumienia, że chodzi o zagrożenie z zewnątrz, dlatego ogłosił stan w yjątkowy, czego nigdy nie czynił! Do tego nakazał zawiesić działania wojenne. Ale - Lina Ken zrobił pauzę - podtematem, i to najbardziej istotne, może być Bra-ma w Przestrzeni.
- Tak sądzisz? - Maru Tan zastanowił się.
- Kral Dy przestał na chwilę pochłaniać plastry endo, bo rozmowa stawała się interesująca.
- Nikt jeszcze, i to nigdy, nie próbował poszukiwać przejścia. Chodziły swego czasu słuchy, że Armejscyzy znają przejście, ale wątpię w to bardzo, bo gdyby tak, toby ich tu już dawno nie było. Oni wierzą, jak większość Kanajo, w swoją Szóstą Księgę i w Bramę.
- Masz rację - odezwał się Maru Tan.
- Od stuleci poszukuje się sposobu - kontynuował Lina Ken - jak wyprowadzić życie na drogę: narodziny - wieczność. Ponoć na jednym z Kolorowych Światów życie trwa wiecznie. Spojrzeli na niego.
- Podobno - westchnął Maru Tan.

- Minowie myślą, że wykradając nam klucz, będą mogli znaleźć rozwiązanie bez znajomości zaklęcia - Lina Ken rozważał dalej. - Wydaje mi się, że nawet posiadanie jednego i drugiego może okazać się bezużyteczne. Pomyślcie tylko: klucz służy do otwarcia czegoś, zaklęcie może też być kluczem, tyle że dźwiękowym. A ustawienie Klu Frell na tle konstelacji Zamka jeszcze nie oznacza, że mając te dwa atuty w ręku otworzy się Bramę w Przestrzeni!

- Co chcesz przez to powiedzieć? - wydusił przejętym głosem Kral Dy.

- Że to może być wskazówka, która wyznacza kierunek, w jakim należy się udać, rozumiecie? A udać się można; tylko czym? Pojazdem! Trzeba jednak dysponować odpowiednim pojazdem, aby przejść przez Bramę.

- Nic z tego nie rozumiem - jęknął Kral Dy, a jego twarz wyrażała kompletną dezorientację.

- Bo to nie na nasze żołnierskie łby - wtrącił Maru Tan. - Ale myślę, że jeżeli jedna z Kopry wywali, to nasi Tajowie na górze nie zostawią nas na pastwę losu. A jeżeli nawet dogadają się z Minami i wspólnie przejdziemy przez Bramę, tam również będziemy mogli wyrównać stare długi.

- Masz rację! - przytaknął skwapliwie Kral Dy. - No jasne! - popatrzył na nich jakby nagle doznał olśnienia.

Lina Ken zaczął się śmiać. Najpierw szczerze i radośnie, potem jego śmiech coraz mocniej zabarwiał się szyderczą nutą.

Ten parokilometrowy złom skalny, wiszący w przestrzeni, wybrali na miejsce swojego spotkania. Wybrali celowo, aby utrzymać je w największej tajemnicy, bowiem sprawa, która ich tu przywiodła i kazała użyć nadzwyczajnych środków ostrożności, była też najwyższej wagi i w efekcie doprowadzić miała do zmiany biegu wydarzeń.

Obramowanie całej sylwetki Orni Bezden'du, pierwszego zastępcy Peitona Drugiego, skrzyło się mdłym szafirowym światłem; on sam stał w środku tej poświaty w czarnym szyszaku ochronnym na głowie, z którego boków opadały aż na ramiona i plecy długie poły kołnierza. Ochronna peleryna izolowała ciało przed promieniami. Bezden'du stał nieruchomo na tle dalekich, migoczących kolorowo gwiazd i spokojnie obserwował, jak z małej, ognistej kulki, drgającej nad skalnym podłożem, formuje się powoli ostatni kształt transmitowany tu z dalekiego punktu przestrzeni. Kiedy wykształcił się i wyostrzył, nabierając naturalnych rozmiarów, Bezden'du odezwał się:

- Witamy cię. Myśleliśmy, że pojawiły się jakieś przeszkody i nie stawisz się na dzisiejsze spotkanie.

Metro Syveria'sen, Pierwszy Strażnik Dyspozytorni i jeden z siedemnastu najbardziej wtajemniczonych Minów na Borei II, odchrząknął jak gdyby badał, czy ma sprawny głos i przemówił:

- Czas nagli. Mówcie zatem, coście zdziałali od ostatniego naszego spotkania.

Orni Bezden'du zaczął pierwszy:

- Przygotowania są zakończone - powiedział. - Czekamy na wasz sygnał.

Metro Syveria'sen spojrział teraz na Pirta Arman'dea, szefa wywiadu floty, dając mu znak do zabrania głosu.

- Podczas ostatniego ataku dokonaliśmy dwukrotnie prześwietlenia obiektu, które potwierdziło pierwotne podejrzenia. Nie mamy już wątpliwości, co do struktury wnętrza.

- Trzecia eskadra szturmowa - Syveria'sen zwrócił się w lewą stronę.

Amano Rineta'sen pokiwał głową i powiedział:

- Czekamy na sygnał.

Tojo Fiulti'man i Erten Dialo'sen, stojący obok dowódcy trzeciej eskadry, poruszyli się. Dialo'sen odrzekł cicho:

- Szósta i dziewiąta eskadra desantowa czekają w ostrym pogotowiu.

Syveria'sen skłonił zakapturzoną głowę i po chwili milczenia powiedział:

- Wprowadzę was we właściwy temat, żebyście wiedzieli, o co idzie gra. Nie jest celem przejęcie władzy i ostateczne pokonanie Tajów. To jest w tej chwili najmniej ważne. Teraz chodzi o nasze być albo nie być w ogóle! Dowiedzieliśmy się, że Tajowie nie potrafią już powtórzyć oryginalnej formuły zakłęcia, jednak wywiad Dyspozytorni zdobył formułę i przygotował jej sześć wersji analizowanych przez ostatnie lata przez Główny Mózg Dyspozytorni. Formuła w połączeniu z

kluczem miałyby ewentualnie otworzyć symboliczną Bramę, czyli nowe światy i nowe przestrzenie. Doszliśmy do wniosku, że klucz i zakłęcie, to pojęcia parawany, za którymi kryje się zupełnie coś innego. Jak wiecie, wszystko zaczęło się parę tysiącleci temu, kiedy Borea i Frell przybyli z nie znanego nam świata, osiadając na planecie Klu, gdzie rozum był dopiero w załążku, podzielony pomiędzy dwie pierwotne formacje Ajatów i Wejsów. Nie mogąc powrócić do swojego świata, pozostawili przekaz w formie zaklęcia i klucza, które jednocześnie użyte powinny przyszej cywilizacji, w jaką te formacje miały się przekształcić, otworzyć hipotetyczną Bramę w Przestrzeni.

Aby dostać się do Kolorowych Światów, trzeba dysponować odpowiednim pojazdem. Nasze badania wyprzedziły prace Tajów; bo wiemy już więcej od nich i praktycznie wszystko. Tym pojazdem jest drugi księżyc Klu Frell - Song, bowiem stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość, że jest on tworem sztucznym!

Jak tego dokonali Borea i Frell - nie wiemy. Jedno jest pewne, że ani Ajaci, ani Wejsowie nie byli wtedy do tego zdolni. Klucz uruchamia wejście, które prawdopodobnie jest umieszczone na biegunie północnym. Zakłęcie jest przypuszczalnie formułą powodującą wprowadzenie w ruch sekcji informacyjno-dyspozycyjnej, znajdującej się we wnętrzu Songa. Kiedy już tam dotrzemy, resztę rozpracują mózgi naszych uczonych. Dopiero wtedy określenie „Brama w

Przestrzeni” nabierze właściwego sensu. Jak wiecie, pomimo stuletnich wysiłków nie udało się dotychczas ani nam, ani nikomu w tym Układzie znaleźć sposobu, bądź skonstruować obiektu, który pozwoliłby opuścić nasz wymiar. Nie znamy takich praw umożliwiających choćby teoretycznie taki przeskok, ale to wszystko - odpowiedź na tysiące podobnych pytań - jest tam, we wnętrzu Songa! - Metro Syveria'sen przerwał na chwilę, po czym widząc napięcie zebranych, kontynuował: - Wiedząc o tym i mając teraz możliwość skoku w nowe, co mogą nas obchodzić nasze światy? Światy, które niebawem, jak i cały Układ wraz z Seją, przestaną istnieć. - Zawiesił na chwilę głos, powiódł wzrokiem po ich skrzących się postaciach i mówił dalej: - Wracając do tematu. Plan jest taki. Czunowie, aby odciągnąć ich uwagę, zostaną zaatakowani z kierunku Armei. Atak opracowała sekcja taktyczna Dyspozytorni. W przestrzeń należącą do Erty wejdą dwa, zdobyte kiedyś na Czunach, torpedowce i otworzą ogień do najbliższych jednostek. Kanajo będą mieli nie tylko nad czym się głowić, ale też co robić... W tym czasie Amano Rineta'sen uderzy trzecią eskadrą szturmową. Za półtora fazy Kotaj wejdzie w przestrzeń szelfu Tajów i pokaże nam, czym jest w istocie. Oni od dawna podejrzewali, że ten sztuczny księżyc to potężna baza wojskowa, ale teraz przekonają się, czym ona jest w rzeczywistości! Kiedy Song znajdzie się w cieniu Klu

Frell, musimy na nim lądować - to należy do szóstej i dziewiątej eskadry. Fiulti'man i Dialo'sen - to wasze najważniejsze zadanie! Choćby nie wiem co się działo wokół tego księżyca, macie go zdobyć! Bega będzie w tym czasie rozbity, północna półkula Klu Frell zajęta obroną przed naszym totalnym atakiem, przywódcy innych światów zdezorientowani. GODys nie wchodzi w rachubę, a my? - my w tym czasie musimy otworzyć wnętrze Songa - uruchomić urządzenie! Jeżeli tego nie zrobimy, czeka nas los Układu.

Orni Bezden'du, Tojo Fiulti'man - do zobaczenia na Songu!

- Chwała Borei! - krzyknęli jednocześnie.

Metro Syveria'sen podniósł powoli prawą rękę w pożegnaniu. Kiedy ich hologramowe projekcje zaczęły się rozmazywać i zacierać, Syveria'sen spojrział na Pirta Arman'dea i powiedział cicho:

- Czy wyselekcjonowane, tajne grupy egzekucyjne są już gotowe?

- Gotowe - odrzekł szef wywiadu Floty.

- Czy znają swoje zadania?

- Doskonale!

- Czy wykonają je bez najmniejszych wahań?

- Bezden'du, Rineta'sen, Fiulti'man oraz Dialo'sen zostaną zlikwidowani zaraz na północnym biegunie Songa, tuż przy samym wejściu. Tajne grupy nie dopuszczą resztek szóstej i dziewiątej eskadry oraz trzeciej szturmowej do wejścia.

W tym czasie wyselekcjonowane jednostki naszego społeczeństwa i cały sztab naukowy Dyspozytorni - mam nadzieję - znajdują się już we wnętrzu.

- Doskonale! Wracaj zatem Arman'dea i zaczynaj dzieło! Zaczynaj, bowiem nie tak dawno ktoś lub coś też podjęło akcję i nie wiadomo, czy zakończy ją na tym Układzie. Powiem ci coś jeszcze, o czym inni może wiedzą, ale źle interpretują. „Pośród tych światów jest tylko jeden, gdzie noc i dzień nie znają końca, gdzie odchodzisz w ciemność, kiedy ta zapada, a z powrotem światła rodzisz się na nowo. Jeśli tam trafisz, wędrowcze zbłąkany, wiedz, że znalazłeś to, czego szukałeś przez lata całe, wędrując po światach. Bo pośród nich właśnie jest tylko jeden, gdzie życie trwa bez końca...” - Syveria'sen spojrział na szefa wywiadu. - „Gdzie życie trwa bez końca!” Rozumiesz to, Arman'dea?! Teraz wiesz, o co idzie gra i co jest stawką!

Pirt Arman'dea nie miał czasu pytać o wyjaśnienia, bo nie było co wyjaśniać. Zwijając swoją projekcję nie zastanawiał się już nad tym wszystkim, bowiem zadania, które nań czekały, wymagały skupienia i uwagi.

Zaczęła się gra, a stawką było: być albo nie być! Ostatnie słowa „gdzie życie trwa bez końca” dźwięczały mu długo w pamięci.

Syreny zachłysnęły się spazmatycznym, obłąkańczym wyciem jednostajnego dźwięku, który wdarł się nagle w

mroczny tunel 13. pokładu. Co kilometr pulsowały rytmicznie czerwone oślepiające światła alarmu. Nieszczelne złącza rur, zaworów, zasuw i wszelkiego rodzaju rozgałęzień wydały z siebie zwiłokrotniony jęk, syk i gwizd, wyrzucając cuchnące wyziewy oparów, gorące gejzery i strugi najprzeróżniejszych cieczy. W to wszystko wdarł się teraz ryk setek gardzieli i tupot ciężkich, podkutych metalem buciorów ludzi z obsługi, którzy wyrwani ze snu, biegli przez pomosty na swoje stanowiska, klnąc po drodze.

Zdezorientowane, łuskowate gęby tych, którzy dopiero pierwszy raz mieli brać udział w bitwie, rzuciły na boki przerażone spojrzenia.

Przełożeni i dowódcy sektorów darli się, nie mogąc porozumieć się w tym ogólnym zamieszaniu i hałasie. Przerywane gwizdy wlotów przynaglały do szybszej pracy, mówiły: zaczęło się! Pierwsza salwa została oddana.

Duah Magel w osmolonym kombinezonie i zużytych fartuchu przeciwiatomowym wrzeszczał coś, dopóki nie zorientował się, że jego głos hamuje przezroczysta przyłbica hełmu; podbił więc ją ręką, odsłaniając wykrzywioną wściekłością gębę i przekrwione ślepia.

- Baaasoon!!! - ryczał. - Do stu tysięcy atomowych wyziewów! Pojemnik!!!

Rot Bason napał mocniej na wózek i byłby wpadł na bok wlotu stanowiska, co niechybnie skończyłoby się katastrofą, ale wyhamował w porę.

Duan Magel wyryczał mu w hełm jakieś przekleństwo, porwał pojemnik, wrzucił do wlotu i pociągnął za wiszącą z boku rączkę spustu, następnie odczekał parę sekund aż pojemnik trafi na samą górę, do głównego stanowiska ogniowego, a inny wróci pusty. Po chwili złapał go i odrzucił Basonowi. Teraz miał chwilę czasu, dopóki ten nie zjawi się z nowym ładunkiem, więc zrzucił rękawice, wyjął spod fartucha połówkę cygara i zapalił, zaciągając się chciwie dymem. Cały czas zerkał na światło kontrolki nad wlotem stanowiska i tupał niecierpliwie buciorami w miejscu. Kiedy zobaczył powracający wózek, położył cygaro na gzymsie wlotu i chwycił nowy ładunek. Światło kontrolki rozbłysło nagle.

- Grzeją! - wrzasnął. - Grzeją!!! - Mając już włożone rękawice, trzepnął lewą ręką przyłbicę hełmu i pociągnął rączkę spustu, odskakując od włazu. Zaraz też zrzucił rękawice, podniósł osłonę twarzy i złapał cygaro, wbijając je między rząd poczerniałych zębów.

Rot Bason poczuł, że i z nim dzieje się coś dziwnego. Kopnął pusty pojemnik, podrzucił na wózek i naparł nań z impetem. Potem wrzasnął pod szybą ochronną:

- Grzeją! Grzeją! Zaczęło się! - Wyrzucona para oddechu osiadła drobną mgiełką na szkle osłony, zacierając widoczność. Nie przejmował się tym zbyt. Zewsząd słyszał wrzask, wycie syren, gwizd i ogólny tumult. Czuł, jak wzbiera

w nim fala jakiegoś uniesienia. Nie znał dotąd tego uczucia. Wrzucił pojemnik do zsypu i już ładował pełny, gdy nagle coś grzmotnęło straszliwie, zagłuszając wszystkie dźwięki. Fala silnego podmuchu przeszła przez ich sektor, porywając za sobą mgły, dymy i różnokolorowe wyziewy.

Przerażony tym, zatrzymał się przed Magelem, podniósł ochronną szybę i już chciał zapytać, co to takiego, gdy usłyszał wrzask:

- Wywaliło! Wywaliiiiłooo!!!

- Wywaliło! - ryknął również i zaraz dotarło do niego z sekundowym opóźnieniem, że to przecież eksplodował pojemnik z ładunkiem, zabijając takich jak on i Duan Magel. Przeraził się. Na te wszystkie wrzaski nałożył się nagle głos o wiele potężniejszy, wydobywający się gdzieś z przestrzeni lub ścian korytarza pokładu:

- „Dzieci Eszona! Czunowie! Zostaliś...”

Ten głos zagłuszył jeden ogólny, wyrwany z tysięcy gardzieli całej długości 13. pokładu - trzykrotny ryk: - E - ris! E - ris! E - ris!

- ...”zdradziecko zaatakowani przez Kanajo i północny kontynent Armei! Czunowie! Dzieci Eszona!”

Pokład ryczał: - „Eris!”, a poprzez ten ryk z trudem przebił się tubalny głos:

- ...”zerwano rozejm! Pogwałcono stan wyjątkowy i zawieszenie broni! Zaatakowano zdradziecko! Ale my niezwy-
cięzeni...”

- „E - ris! E - ris! E - ris!” - Do ryku dołączył teraz rytmiczny, budzący grozę jednostajny tupot tysięcy podkutych buciorów, powodujący wrażenie drżenia pokładu i jego coraz bardziej narastającą wibrację.

- ...”potomkowie Eszona! Nie wiemy, co to strach!”

- Neeee!!! - wrzasnął pokład.

- „...damy. I będzie to ostatni bój nieulekzionych! Niepokonanych! Jedynej, godnej rasy tego Układu i tej Przestrzeni! Czunowie! Na chwałę Eris!!!”

Bason nie wiedział, co rozdzierało gęstą zawieszoną korytarza pokładu. Wył coś i w ogólnym ryku nie wiedział już co. Jego przelyk na całej długości rozsadzał ból, ślepią wyłaziły z orbit, a łuskowaty naskórek twarzy piekł niemiłosiernie.

Przez totalny chaos doszedł do niego dźwięk jeszcze bardziej nieznany, dźwięk jakiego dotąd nie w słyssał; środkiem pokładu, ginąc to znowu wyłaniając się z mgieł i dymów, maszerował dziwny orszak dmący w trąby. Ich skłócone dźwięki mieszały się z ogólnym wrzaskiem, tworząc jedną kakofonię. Pośrodku trębaczy jechał wózek, na którym siedział ktoś ubrany w złoty kombinezon. Przez podręczną tubę wrzeszczał:

- Niezwycięzeni! Na chwałę Eris!

Po jego bokach biegli Przełożeni, Sektorowi i Sekcyjni.

Bason spojrział na Magela - ten ryczał coś na głos, czego nie można było zrozumieć, bowiem rżenie trąb zagłuszało

wszystko. Nie widział też, kto wcisnął mu w rozwartą gębę długie, zapalone już cygaro; mignęła mu tylko znikająca w oparach sylwetka Sektorowego. Zaciągnął się chciwie i nagle ten podarek czy nagrodę wyszarpnęła mu czyjaś brudna łapa. Obrócił się szybko i zobaczył wykrzywioną dzikim triumfem gębę Magela.

- Musieliśmy coś rozwalić! - wrzasnął. - Inaczej nie rozdawaliby dymów! Sam członek świty wodza zszedł do nas! Wielka chwila!

- Ale... - Bason chciał zaoponować i wytłumaczyć, że to przecież jego cygaro, lecz Magel ryknął: - Grzeją! Ładunek!

Lampa kontrolna stanowiska skrzyła się oślepiającym blaskiem i natarczywie przynagliła. Bason rzucił się do wózka. Pokład drżał, powietrze gęstniało z każdą chwilą, ściany trzeszczały i zdawały się jęczeć, ale on już nie zwracał na nic uwagi. Jego mózg powtarzał jak zepsuta płyta jedynie dwa słowa: zsyp - wlot, zsyp - wlot, zsyp - wlot...

Nian Majo, Barto Klat i Juto Liman siedzieli w fotelach jak na rozżarzonych płytach. Syreny alarmowe wyły co sześć sekund urywanymi dźwiękami, powodując ogólne napięcie.

Wszystko zaczęło się w parę minut po objęciu przez nich

dyżuru, tak że mieli tylko czas na przygotowanie i uruchomienie wszystkich sekcji potrzebnych do kontroli i rejestracji danych. Siedzieli na swoich miejscach spięci, bowiem alarm bojowy oznaczał tylko jedno. Po krótkiej chwili usłyszeli dochodzący z głośnika pulpitu kontroli głos Sadyma: - Zaatakowali nas znienacka! Góra jeszcze rozmawia, ale oni nie reagują! To prowokacja albo ogólne akcje zaczepne. Musiało coś się stać. Minowie uderzyli na Klu Frell. Kotaj okazał się fortecą!

Majo gwizdnął cicho.

Obserwowali swoje monitory, czekając na dalszy rozwój wydarzeń, gdy nagle poczuli silny wstrząs. Najpierw jeden, potem drugi i zaraz trzeci.

Klat, patrząc na wykres, wrzasnął:

- Oberwaliśmy!
- Co ty pieprzysz, Barto?! - zapytał go Majo.
- Sprawdź sam, jak nie wierzysz!
- Rozwalili Tajom Begę! - Usłyszeli jeszcze krzyk Sadyma. - Czy wiecie, co tam się dzieje? Jesteśmy spychani w stronę granic Układu!

- Jak to spychani? - rzucił szybko Majo. - Co nas spycha? Sady, do ciężkiej... - nie dokończył, stwierdzając, że łączność z kontrolą została nagle przerwana.

Instynktownie pomyśleli o swoim ratunku, nie wiedząc jeszcze, że jakaś potężna siła, potężna i niewidoczna, uderzyła w przestrzeń Układu z tej strony, po której się znaleźli. Co działa się na zewnątrz, było zagadką.

Pierwszy księżyc Bega chował się za północnym biegunem Klu Frell, a Song wychodził powoli z cienia planety, kiedy na tle granatu upstrzonego białymi punktami dalekich gwiazd, jak zza mrocznej kurtyny, wyłonił się posiatkowany sierp złowrogiego Kotaja. Łypnął jednym okiem na arenę i upewniwszy się, że czas odegrania jego roli nadchodzi, odsłaniał powoli całego siebie.

Na tle Songa, słabo widoczne, wisiały nieruchomo - jak gdyby zniekształcone korozją grube igły lub małe okruchy pumeksu - okręty osławionych eskadr: Czarnego Turun Pena i Foell Iona Wściekłego.

- Jeżeli „Dar Borei” został zlokalizowany w kwadracie trzysta,de” - odezwał się Turun Pen - to pytam się, po co flagowy okręt Borei II wybrał właśnie ten sektor przestrzeni?

Zastępcy milczeli.

- Jego pojawienie się zwiastuje coś niedobrego - ciągnął dalej. - Nie będziemy czekać na powrót Klu Tai, ale już teraz przegrupujemy pozycje naszych jednostek. Uzgodniłem to wcześniej z Foell Ionem i powiem wam jeszcze, że czas działać, a nie ufać, że ten dziwny rozejm i stan wyjątkowy coś zmienią. Minowie jeszcze nigdy, jak sięgam pamięcią, nie dotrzymali żadnego układu ani danego słowa, nigdy też w historii naszej Wielkiej Wojny nie znaleźli się w przestrzeni tak blisko granic naszego szelfu!

- Okręty 2. i 12. Eskadry Szybkiego Reagowania też operują w rejonach przygranicznych ich przestrzeni - wtrącił jeden z zastępców.

Więc trzeba im przekazać informacje naszym specjalnym kanałem - zauważył Turun Pen - żeby mieli się na baczności; to czajenie się jest dziwne. I niech atakują, jak tylko spostrzeżą jakieś podejrzone ruchy Minów!

Kiedy wschodnia strona Kotaja wypełniła się powoli światłem Sei, przestrzeń wokół Klu Frell ożyła nagle.

Złowrogi sztuczny twór, w myśl scenariusza, rozpoczął grę - wypuścił z siebie trzy cienkie jak włos promienie we wschodnią stronę planety, a z jego cienia wyskoczyły na tę arenę przestrzeni potężne bryły okrętów, ruszając do ataku.

I przestrzeń wypełnił nagle dwujęzyczny wrzask.

- „Boruga” do „Rowany”. Zajmijcie kwadrat trzydziesty! Ci zbóje zerwali rozejm!

- „Zamen-Eron”, tu „Iuta I”, przesuniecie się na równikową. Przesuniecie się na równikową!

- „Iuta I”, zrozumiałem. Skąd oni się wzięli? Czarny miał rację!

- „Wielki” i „Garbon”, tu Turun Pen. Atakujcie z tła Sei. Atakujcie z tła Sei!

Ruszyli. Spektakl nabierał rozpędu.

Floty światów starły się z sobą, manewrując w przestrzeni pomiędzy planetami i ich księżycami, zaczynając śmiertelny taniec, posyłając do swych celów subatomowe promienie,

kierując działa i paszcze wyrzutni zięjących czernią w odwiecznego wroga.

Zaskoczeni Tajowie uderzyli trzecią częścią swojej floty w zniechęcone oblicze Kotaja, a Bary Edy, dowódca pokładu desantowego na „Borudze”, siedział ze swoimi Tajami w szalupach, czekając na moment odpą. Przygryzał końcówki rękawic i skowyczał z podniecenia, nie mogąc doczekać się swojego wejścia na arenę.

Po przeciwnej stronie, niewidoczny i ubezpieczony przez „Gwiazdca”, „Bila Monteja” i „Akamendona” czekał „Dar Borei”, gdzie na mostku dowódcy, przed trójwymiarowym planem sytuacyjnym stał Metro Syveria'sen przyjmując meldunki i wydając polecenia. Jego ciemne oczy patrzyły badawczo na monitor planu.

- Tak przypuszczałem - mruknął po chwili - że te zbóje, Czarny i Wściekły, nie wytrzymają i zaczną się ruszać. Przebiegłe sztuki! - Spojrzał na drugiego Strażnika, który stał nieco z boku. - Musimy zdążyć. Za wszelką cenę! - powiedział do niego.

- Czy naprawdę nie ma ratunku? - zapytał cicho Strażnik.

Metro Syveria'sen wystukał na terminalu polecenie, zmieniając obraz na monitorze na graficzny wykres przestrzenny Układu.

- Czy widzisz teraz, co niebawem będzie się tu działo? - zwrócił się do Strażnika, wskazując głową wykres. - Czolo

fali nadchodzi z tej strony - wyciągnął rękę pokazując lewą krawędź ekranu - i wówczas te masy, które na swych orbitach znajdują się tutaj, zostaną zepchnięte. Zaczną pękać i ...

- Wiem o tym - przerwał mu Strażnik.

- To o co ci chodzi, Minar'sen? - zirytował się Syveria'sen. - GODys podał jedyny sposób ratowania się i gdybyśmy technicznie byli tak zaawansowani i potrafili go zrealizować, nie byłoby problemu apokalipsy! Wystarczyłoby w tym obszarze, o tutaj - wskazał ręką okolice podwójnej Kopry ZX3 - zakrzywić przestrzeń i czoło fali poszłoby bokiem. Ale nie potrafimy tego dokonać. Nie znamy praw. Nie dorosiliśmy do takiego poziomu, Minar'sen! Czoło fali przejdzie przez ten Układ zmiatając wszystko, co napotka na swojej drodze i prawdopodobnie uderzy w ścianę tego zakola, gdzie przestrzeń jest zakrzywiona naturalnie, daleko za naszym Układem. Daleko dla nas. Uderzy i cofnie się albo naprze tak, że nastąpi wybrzuszenie przestrzeni tego zakola. Takie jest teoretyczne założenie GODysa. Ale nas to już nie obchodzi. Bo nas, Minar'sen, już tu nie będzie!

- Tu niczego już nie będzie - powiedział głucho drugi Strażnik.

- To jest nieistotne. GODys poszedł dalej w swoich teoretycznych rozważaniach. Zakładał, że jeżeli czoło fali uderzy w naturalne zakrzywienie przestrzeni w tym zakolu, może ona nie wytrzymać nacisku i... rozerwać się. Dziwne, co Minar'sen? Przestrzeń może się rozerwać! Ale do rzeczy. Wiesz, co

może być po drugiej stronie? Równoległy naszemu, inny wszechświat. Tak zakłada GODys. Ale my już tego nie sprawdzimy, bo będziemy w drodze. W drodze do Kolorowych Światów!

- Nikt już tego nie sprawdzi - przytaknął Strażnik i zapytał zaraz: - To po co ta narada?

- GODys zakładał - Syveria'sen zaczął się śmiać cicho - że wszyscy razem, z całą naszą zbiorową mądrością, podłączeni do niego, coś wymyślimy! - zakończył i wydał polecenie komputerowi powrotu do planu sytuacyjnego. Nie drgnął nawet, kiedy automatyczny operator zrobił zbliżenie księżycy Begi i jego powoli rozpadającej się na trzy nierówne części powierzchni, której poszarpane krawędzie rozstępowały się, ziejąc bezdenną, ciemną głębią powiększających się przepaści.

Jak nieruchomy posąg odebrał meldunek z „Zarusa”, na którym Orni Bezden'du starał się podejść do powierzchni Songa, a reszta jego eskadry osłaniała go przed zaciekle atakującymi Tajami.

Kiedy Metro Syveria'sen otrzymał wiadomość, że eskadra szturmowa osłania - 6. i 9. - desantowe, które zaczęły atak przypowierzchniowy, podniósł powoli prawą rękę i powiedział tylko jedno słowo: ruszamy.

Cztery okręty drgnęły w mroku i skierowały się pełnymi ciągami w stronę jedyne go celu.

W tym czasie „Mintreja” i „Samana”, trafione torpedami z „Dysku Geiry” i „Niezwykniętego”, zaczęły powolny dryf w kierunku granic Układu, nie mogąc sobie poradzić z utrzymaniem pozycji.

Bary Edy z desantem Tajów wylądował na powierzchni Kottaja i zaczął szturm, nie wiedząc, że ma już odcięty powrót; uszkodzona „Boruga” dryfowała w przestrzeni.

I gdyby ktokolwiek obserwował w tym czasie Seję, zauważyłby, że jej światło rozmasało się raptem, że masy planet i księżyców po drugiej stronie gwiazdy drgnęły i zawibrowały w niezauważalnym ruchu na swoich odwiecznych orbitach, a ich prędkości radialne nagle się zmieniały; że na kontynentach tamtych planet wystąpiły nagle wstrząsy i zarysowania podłoża, a osłony potężnych metropolii zaczęły trzeszczeć i powoli pękać.

Mało kto zauważył, że Bega, trafiony dezintegratorem jądrowym, nie spadał w kierunku powierzchni Klu Frell z taką prędkością z jaką powinien.

Nikt też nie spostrzegł, że najbardziej odległa od Sei głębia przestrzeni zaczęła błyszczeć i skrzyć się fosforyzującą poświatą jakby jakaś potężna szklana tafla zbliżała się do Układu, nacierając nań jak tłok w cylindrze, który w drodze do dna wytwarza przed sobą coraz większe ciśnienie.

To dziwne, niezauważalne przez wojujące strony zjawisko zbliżało się, choć jedyny obserwator - GODys - wiedział, że jest jeszcze daleko. Wiedział też, że żadna siła nie sprawi już, by zmienić bieg wydarzeń i zawrócić to, co szło nieubłaganie,

rozbijając w pył na swojej drodze gwiazdy i ich układy, oczyszczając przestrzeń przed tym, który postępował z tyłu i który był sprawcą niewiadomym i nieznanym.

Centra obserwacyjne na planetach i księżycach zauważyły zbliżające się niebezpieczeństwo i sygnalizowały je swoim flotom, lecz one zajęte walką, nie zwracały na to uwagi.

Ściana ta, połyskująca srebrem i skrzęca się dziwnymi wyładowaniami, uderzyła nagle, będąc jeszcze w okolicy podwójnego układu Kopry ZX3, który zgasił niespodziewanie, przestając istnieć.

W tym czasie, kiedy pierwsze objawy zbliżającej się apokalipsy były już widoczne i docierały do dowódców wojujących stron, Song został opanowany przez Minów, choć w pasie równika toczyły się jeszcze zaciekle walki z Tajami.

Metro Syveria'sen, stojąc w asyście Strażników Dyspozytorni, wypowiadał tajemnicze i niezrozumiałe formuły zaklęcia, czekając na tę właściwą i otwarcie wejścia, choć jeszcze nie wiedział, czym ono jest.

Pirt Arman'dea wydawał polecenia tajnym grupom egzekucyjnym, które likwidowały resztki 6. i 9. eskadry desantowej, uporawszy się uprzednio z 3. szturmową i ich przywódcami.

Wokół bieguna północnego zgrupowały się potężne barki desantowe wypełnione wyselekcjonowanymi grupami społeczności Minów z Borei II oraz najwartościowszą kadrą

naukowców. Czekali niecierpliwie, by wyruszyć w podróż do obiecanych od tysięcy Kolorowych Światów.

Wreszcie potężna czapa bieguna drgnęła, zarysowując w lodach okrąg i zaczęła zapadać się powoli. Metro Syveria'sen zadrżał, nie skrywając swojego strachu.

Potężny wiatr, który zerwał się nagle, uderzał w stojące barki. Przeradzał się powoli w huragan z dziwnymi wyładowaniami atmosferycznymi, rozcinającymi granat przestrzeni czerwonymi błyskawicami.

Kiedy czapa bieguna zagłębiła się w powierzchnię Songa na jakieś pięć metrów, wewnątrz drgnęło jak gdyby uderzone z zewnątrz pięścią jakiegoś olbrzyma. Stojący patrzyli z zafascynowaniem i wielkim przestraszaniem na czarne, lite i połyskujące ściany przesuwane się w odległości kilometra od ich miejsca. Nad głowami szalała zamieć śnieżna, a potężne wyładowania rysowały idealny granat nieba jaskrawymi zygzakami, napawając wszystkich lękiem.

Dwa i pół miliona kilometrów dalej Duan Magel też był pełen obaw, bo od dłuższego już czasu lampka kontrolna na jego stanowisku, jak i na pozostałych, nie zapalała się swoim normalnym blaskiem.

Niepokoił się również Rot Bason nie wiedząc, co też oznacza

ta nagła przerwa przeciągająca się w nieskończoność.

Cały 13. pokład „Dumy Eszona” cichł powoli i tylko syki i gwizdy nieszczelnych zaworów dziwnie zakłócały to niezrozumiałe milczenie. Nikt z Czunów nie wiedział, co jest przyczyną tej ciszy. Podwładni przestępowali z nogi na nogę, rzucając coraz bardziej trwożne spojrzenia w stronę podobnie zdezorientowanych Przełożonych i milczących punktów, w których umieszczone były głośniki.

- Może pertraktują i dyktują warunki kapitulacji tym tchórzliwym, popromiennym pomiotom Kanajo - odezwał się Magel, szukając po kieszeniach dyma.

Rot Bason wymruczał coś pod nosem i czekał, wsłuchując się w syki i gwizdy jakby od nich miało nadejść wyjaśnienie tej niezrozumiałej sytuacji.

„Duma Eszona”, „Gradion”, „Bemira” i „Synowie Eris” znaleźli się na północnej krawędzi granic Układu, mając o trzy stopnie od siebie dryfującą „Mintreję” i „Samanę” Kanajo oraz zbliżające się okręty nie zidentyfikowanych jeszcze światów.

Nie wiedzieli, że ich prędkość w przestrzeni zwiększa się z każdą chwilą, że przywódcy popadli w panikę, nie umiejąc wytłumaczyć zjawiska, a obserwując również niezrozumiałe dla nich eksplozje planet Układu, poczuli się nagle bezradni i bezbronni, oczekując najgorszego.

I z wolna docierała do nich przerażająca prawda o szybko postępującej zagładzie.

We wnętrzu zakola przestrzeni, przed czołem fali uderzeniowej, utworzył się monstrualnych rozmiarów wir - wciągający w swoje ramiona wszystko, co znalazło się przed tym naturalnym zakrzywieniem - i wwiercił się z potworną siłą w przeszkodę.

Czoło fali z impetem zważyło się zaraz na niego, uderzyło weń i gdyby ta niewidoczna ściana nie ugięła się elastycznie, wszystko, co znalazło się w jądrze wiru, zostałoby zgniecione i starte.

Wytworzone w tym jednym miejscu ciśnienie osiągnęło tak wysoki wskaźnik, że załogi statków, nie przygotowane na tak nagłe przeciążenie, zaczęły tracić przytomność, nie wiedząc co dzieje się na zewnątrz.

Przywódcy ani nikt z posiadających jeszcze zdolność obserwacji nie widział obrazu, jaki ukazał się za cieniutką jak błona i napiętą do granic wytrzymałości przestrzenią.

A tam, po Drugiej Stronie, wokół swojej gwiazdy obracały się mgliste, słabo widoczne i zamazane masy nieznanych planet. Tam był już inny, obcy wszechświat.

Ściana ta nie wytrzymała nacisku i pękając w najbardziej uwypuklonym miejscu wyrzuciła z olbrzymią prędkością, jak gdyby wypluła poza siebie, to wszystko, co wir skupił w swym jądrze.

Okręty Minów, Czunów, Tajów i Kanajo uderzyły teraz w obszar tego systemu, wpadając weń jak wystrzelone pociski. Wyrzucone w stronę tych planet w niebezpiecznym korkociągu, przecięły przestrzeń jak błyskawica niebo, a siła wyrzutu sprawiła, iż rozpierzchły się w różnych kierunkach i jedynie zrządzeniu losu mogły zawdzięczać, że nie znalazły na swojej drodze atmosfery jakiegoś globu lub tarczy księżyca.

Tylko dwa z nie znanej liczby okrętów trafiły w atmosferę trzeciej planety systemu, wchodząc w nią jak ogniste kule.

Po dłuższym dopiero czasie powracający do przytomności przywódcy, jeszcze oszołomieni i zaskoczeni nową sytuacją, instynktownie podjęli walkę o wyprowadzenie okrętów z tych śmiertelnych trajektorii.

„Duma Eszona” i „Gradion” wyhamowały w pobliżu szóstej planety, półtora miliona kilometrów od pierścieni ją okrążających. Natychmiast też wysłały w przestrzeń swój alarmowy kod wywoławczy.

„Samana” i „Mintreja” znalazły się tysiąc pięćset milionów kilometrów od gwiazdy dziennej, wisząc na tle gigantycznej, barwnie wirującej masy.

- Wiadomo już coś konkretnego? - pytał Nian Majo kontrolę.

- Dowiedziałem się - odpowiedział mu Sady - że p o -
d o b n o jesteśmy w jakiejś obcej przestrzeni... Na razie nie
konkretnego nie wiemy. Badają najbliższe okolice.

Majo skulił się w sobie i westchnął ciężko.

„Dysk Geiry” i „Niewyciężony”, po dokonaniu podstawo-
wych napraw, opuszczały wolno orbitę parkingową drugiej,
od gwiazdy centralnej, planety systemu.

- Kolorowe Światy! - To było pierwsze, co nadał „Dysk
Geiry”. Na jego wszystkich pokładach panowało radosne
uniesienie. Minowie żądali, aby już podejść do planety, do tej
obiecanej, czekającej na nich od tysiącleci. Domagali się po-
nadto, by transmitować na wszystkie pokłady zewnętrzny
obraz przestrzeni z jej planetami. Chcieli choć okiem rzucić
na nową Seję.

- Czy jesteście pewni, „Geira”, że to jest to? - zapytał
ostrożnie „Niewyciężony”.

- Jeszcze nie wierzycie? Spójrzcie na tę tu, Seję! Jaka
wspaniała! Świeża! Żywa! A ta planeta, którą mamy z lewej
burty? I ta większa - trzecia - widoczna teraz nad naszymi
nadbudówkami - z jednym księżycem! Taka żółtobordowo-
szara! I trochę dalej - ta wirująca czerwona kula! To Koloro-
we Światy! Jeszcze nie wierzycie?

- A gdzie reszta?

- W takim razie, gdzie jest reszta?
- Trzeba poszukać! Song na pewno też jest - może z drugiej strony. Tylko trzeba ruszyć, wysłać sygnał wywoławczy!

Dwieście milionów kilometrów od słońca tego systemu, na tle czerwonej tarczy nieznannej planety, wisiały nieruchomo cztery okręty z eskadry Foell Iona Wściekłego, przypominające swym wyglądem potężne bryły pumeksu. Trzy z nich utworzyły niewidzialny trójkąt, trzymając w środku, na zdalnym prowadzeniu „Borugę”, która miała wielkie trudności z równowagą pozycyjną.

- I chyba już nie dowiemy się prawdy – Maru Tan nerwowo pocierał ręką dyniowatą głowę. - A więc jedna z Kopry zaczęła to wszystko czy zupełnie coś innego?

Lina Ken, z obandażowaną głową, siedział chwilę milcząc, potem spojrzał na Maru Tana i rzekł:

- Według mnie wyglądało to tak. Gdzieś w głębokiej przestrzeni stało się coś, co doszło do nas w momencie, kiedy miała eksplodować Kopra; albo nawet to coś przyczyniło się do tego. W tym czasie ci przekłęci Minowie zaatakowali i dalej już wiesz.

Maru Tan westchnął.

- Nie wiemy wcale, gdzie jesteśmy. Gadałem z astro. Mówią, że żaden z ich komputerów nie ma w pamięci takiego układu jak ten, do którego nas wyrzuciło. Na samym początku wszyscy myśleli, że przeszliśmy do Kolorowych Światów,

ale tak nie jest...

- No to co teraz? jeśli nie wiemy, gdzie jesteśmy, to co będzie z zaopatrzeniem? Co z naszymi bazami?

- Nie jesteśmy sami. Jest „Garbon”, „Wielki” i „Iuta”.

- I nikogo więcej?

- Nie.

- „Garbon”, „Wielki” i „Iuta”... I żadnej bazy?... Nie wiem, jak damy sobie radę.

A w przestrzeni trwał ożywiony dialog:

„Iuta I”: - Wszyscy nie możemy lądować, bo po co?

„Garbon”: - „Boruga” nie jest zdolna do samodzielnego lotu.

„Wielki”: - To weźmiemy ją na zdalne prowadzenie!

„Iuta I”: - To nic nie da. Nie rozwiniemy odpowiedniej prędkości, a utracimy zbyt dużo energii, gdy będziemy ją holować na zdalnym prowadzeniu.

„Boruga”: - To pomóżcie nam usiąść na tej planecie. Na powierzchni lepiej przeprowadzić naprawę. Mamy w osiemdziesięciu procentach strzaskane wyloty dysz korekcyjnych i kierunkowych, nie mówiąc już o pokrywie ablacyjnej, która ledwo się kupy trzyma! Naprawa w tych warunkach potrwa dość długo. Wy możecie w tym czasie zorientować się w

sytuacji; może traficie na planetę o atmosferze podobnej do Klu Frell?

„Luta I”: - „Boruga”? Co wam się marzy?

„Wielki”: - Przygotujcie się do zejścia, a potem my sprawdzimy, gdzie nas wyrzuciło!

Kiedy minął pierwszy entuzjazm, kiedy ostygła gorączka i ulotniło się podniecenie, zaczęli trzeźwiej oceniać swoją sytuację. Ten układ, do którego trafili w sposób tajemniczy, był cichy i spokojny - jak dotąd bez żadnego sygnału. Zaczęli podejrzewać, że zostali wyrzuceni poza swój czas i przestrzeń, do innego, nie znanego im wszechświata. To przerażające stwierdzenie poraziło ich, spowodowało marazm, zamieszanie i dezorientację. Sunęli wolno w tym obcym mroku, wymieniając między sobą ponure myśli i spostrzeżenia.

„Dysk Geiry”: - Ten system chyba jest pusty.

- Najgorsze jest to, że nie będziemy mogli go przebadać, bo nie mamy aparatury, jaką posiadają ci z Dalekiego Reagowania.

„Geira”: - To będziemy szli od planety do planety. Mamy czas! Tylko to nam teraz pozostało! I nagle:

- „Geira”! Nasłuch złapał dziwne sygnały!

- Podajcie namiar i częstotliwość! To niemożliwe. A więc jednak! Nie jesteśmy sami! To Kolorowe Światy, a my jesteśmy gdzieś na peryferiach!

- Przejdźcie na automatyczny nasłuch! A teraz cisza, dopóki nie ustalimy, co to takiego!

„Wielki” do „Garbona”: - Zlokalizowaliśmy sygnał alarmu wywoławczego Czunów.

- Skąd wiecie, że to oni?

- Nie ulega wątpliwości. Pierwszy sygnał jest w ich języku, drugi w międzyplanetarnym Sei. Jesteśmy pewni, że to oni.

„Garbon”: - Gdzie są teraz?

- Przestrzeń „szóstej”.

- Ujawniamy się?

„Wielki”: - Nie. Wyłapaliśmy jeszcze jeden, tym razem z powierzchni „trzeciej”. Są takie same...

- Na pewno z powierzchni, a nie z tła?

- „Garbon”, mamy nowsze typy lokalizatorów niż wy na tym rozpadającym się pudle!

- To co robimy?

- Wracamy. I włączcie niwelatory termiczne. Nie może pozostać żaden ślad naszej obecności.

- Zrozumiałem, „Niezwyciężony”. Przechodzę na zero-sygnał.

„Bemira” i „Synowie Eris” tylko niezwykle przypadkowi, wielkiemu szczęściu albo opatrności Eszona mogły zawdzięczać, że w atmosferę „trzeciej” wpadły pod kątem plus sześć stopni do linii horyzontu, przebywając korytarz szerokości sześćdziesięciu kilometrów z szybkością błyskawicy.

Nie wiedząc o tym, iż wleciały kompletnie nie kontrolowane, bo automatyczni piloci też ulegli chwilowej dezorientacji, upadły na powierzchnię z gigantycznym poślizgiem jak kamień rzucony o wodę pod odpowiednim kątem - odbija się od powierzchni w paru skokach, by wreszcie, wytraciwszy impet, pogrążyć się w topieli.

Wyżłobiły w równinie tory parusetkilometrowej długości i zaryte w obcym podłożu sterczały jak dwa ogniste cygara, parując i okrywając się nieprzeniknioną mgłą.

Automatyczni ostrzegacze włączyli się natychmiast, wysyłając w przestrzeń alarmowe kody wywoławcze. Załogi utraciwszy przytomność, przez dłuższy czas nie mogłyby tego zrobić.

Trzykrotnie „trzecia” chowała się w mroku, przed światłem swojej gwiazdy dziennej, zanim ktokolwiek poruszył się we wnętrzach stygnących i parujących cielsk okrętów, których dolne połowy tkwiły głęboko w zastygłym, szklistym podłożu, a górne sterczały nad nim jak ospowate, dziwaczne, paropiętrowe budowle.

„Bemira”, oddzielona od „Synów Eris” kilkunastokilometrowym płaskowyżem, pierwsza przerwała ciszę tego martwego krajobrazu, w którym się znalazła, mając za sobą - od południa - daleki, ginący w siwoszarej mgłę łańcuch górski, natomiast przed sobą - na północnym horyzoncie ciemno-brunatne kontury jakichś brył skalnych, a nad sobą wrogie,

obce, pomazane żółcią i czerwienią niebo wylewające z siebie brudną maź, pomagającą stygnąć intruzom.

- „Bemira” do „Eris”. „Bemira” do „Eris”. Odezwijcie się!

Po krótkiej chwili „Synowie Eris” odpowiedzieli:

- Czy wiecie już może, gdzie jesteśmy? Jakie macie straty? Czy zdołacie się podnieść?

- Nie mamy pojęcia, gdzie upadliśmy. Straty poważne. Cztery dolne pokłady stracone. Podnieść się? O czym wy mówicie? A co z wami?

- Nasza sytuacja jest taka sama. Siłownie względnie sprawne, ale nie zdołamy się podnieść. To już koniec, „Bemira”. Trzeba czekać na barki ewakuacyjne.

Następna chwila ciszy, po czym „Bemira” odpowiedziała wolno, jakby ważąc każde słowo:

- Według naszej wstępnej oceny rozkład najbliższych obiektów w przestrzeni upoważnia do stwierdzenia, że nie znajdujemy się w żadnym ze znanych nam miejsc poza Układem Sei. Nie mamy odpowiedniej aparatury, „Eris”, ale pamięć nawigacyjna nie zawiera podobnego układu obiektów, a... a na barki nie mamy co liczyć, bowiem podejrzewamy, że i tak nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Przeczesujemy najbliższą okolicę, a wy weźcie się do atmosfery i nieznanego otoczenia.

- „Bemira”! Jak mamy zbadać atmosferę, skoro nie mamy analizatorów ani próbników?! Nie jesteśmy z Dalekiego

Reagowania! Oni mogliby to zbadać, ale my?

- Radźcie sobie i myślcie, jak wyjść na zewnątrz. Może uda się wykorzystać barki desantowe chociaż do najbliższego zwiadu...

- Przecież barki można tylko zrzucić! No dobrze... Postaramy się je przystosować do poruszania napowierzchniowego, ale to potrwa. Spróbujemy, chociaż desantowy też ma poważne straty. - I nagle: -

- Chcecie wyjść na Zewnątrz?!

- Jesteśmy zmuszeni.

- A więc bierzcie się do roboty i informujcie o wszystkim.

„Dysk Geiry” do „Niezwycięzonego”: - Te sygnały wychodzą z „trzeciej”.

- Stwierdziliśmy to samo.

- A wiecie już, kto to jest?

- Nietrudno to rozszyfrować. „Geira”, jak myślicie, czy oni jeszcze żyją?

- Wypadałoby to zbadać!

Najpierw wpuścili na pokład to obce powietrze. „Dziwiątkę” wybrali dlatego, że jako sektor zaopatrzeniowy posiadała potężny, dwuskrzydłowy właz. I tutaj też zdołali przetransportować trzy barki desantowe.

Czunowie stali w pogotowiu z dotleniaczami, czekając w napięciu na pierwszą reakcję swoich organizmów.

To obce powietrze było ostre; świdrowało przesiąknięte smrodem i odorami płuca, krztusiło, zatykało i wywoływało gwałtowne ataki kaszlu. Ci, którzy nie wytrzymali nerwowo, w pośpiechu i panice nakładali na głowy dotleniacze, jednak po chwili uspokoiwszy się, zaczęli je zdejmować widząc innych, odważniej szych, którzy z zastygłym strachem w oczach - wytrzymali.

Następnym etapem miało być otwarcie potężnych skrzydeł wjazdu, ale to okazało się niemożliwe; stawiały zaciekle opór przed ekipami warsztatowymi walącymi w nie ciężkimi młotami, nie wiedząc, jak je sforsować.

Pełne dwie wachty trwało to łomotanie i walenie i kiedy zmieniający się Czunowie opadali już z sił, podjęto decyzję, aby drzwi wyciąć laserowymi palnikami.

Na zewnątrz już dniało, gdy potężny kwadrat odpadł z hukiem od prawej ściany pokładu, dając dostęp jaskrawemu światłu i mocnemu podmuchowi świeżego powietrza, przed wtargnięciem którego rzesze stojących pierzchły, chowając się w najdalszych częściach mrocznego korytarza „dziewiątki”. Zostali tylko ci z desantowego, mrużąc oczy przed ostrością nieznanego światła i zasłaniając nosy przed silnym wiatrem.

Dużo czasu upłynęło zanim wypychani i zmuszani przekleństwami Przełożonych, zaczęli niemrawo podchodzić do zięjącego wiatrem i światłem otworu. Niektórzy z nich nie znali od lat innego stałego gruntu pod nogami, a ten, który był tam - za otworem - budził w nich grozę.

Desantowcy ładowali się do przygotowanych barek, patrząc w jasny, rozwartny kwadrat.

Zdołano przygotować i wyposażać tylko trzy barki, które teraz klekocząc, podrygując, jęcząc i zgrzytając na nierównej wielkości kołach, z przymocowanymi prowizorycznie grubymi pasami gąsienic, zjeżdżały po pochylni na obcy grunt.

W każdej barce umieszczono po pięć robotów wziętych ze stałej obsługi maszynowni. Miały być wypuszczone w przypadku, gdyby pojawiło się jakieś niebezpieczeństwo. Czym ono miało być lub jakiego rodzaju, tego nie umiał nikt określić ani wytłumaczyć.

Załogi desantowe otrzymały podręczne uzbrojenie: - atomowe granaty, rusznice udarowe, a Przełożeni - dwunastostrzałowe ciężkie pistolety neutronowe.

Ruszyli w kierunku wysokich, dziwnych górskich szczytów, obserwując ich podnóże.

Mały szary kształt wynurzył się z ciemnej gęstwiny rozdrzeczonych liści, które zatrzepotały nerwowo, a długie i sprężyste macki wysunęły się nagle z zielonego gąszczu, celując ostrymi

końcówkami w stojącego, ale nie czyniąc mu krzywdy. Cofnęły się zaraz pacnięte ręką człowieczka. Ten wymruczał coś i chyłkiem przemknął się pod zielonobrunatną ścianą, oddalając się w kierunku ciemnych, rysujących się słabymi, błyszczącymi krawędziami ruin jakichś budowli, będących prawdopodobnie wypiętrzeniami roztopionej kiedyś, teraz zastygłej, połyskującej ponuro lawy, uformowanej w różnej wielkości graniastosłupy.

Karzeł przebiegł jeszcze parę metrów na krzywych nóżkach i zniknął w dziwnej budowli w kształcie ostrokołu. Tam zatrzymał się pośrodku, usiadł nad poszarpanym otworem w ziemi i zapłakał, chowając głowę między kolanami.

Chwilę tak siedział, potem powoli wyprostował zgarbione plecy i podniósł swoją nieproporcjonalnie wielką głowę. Spojrzenie skierował na wrogie, różowe, pomazane sinobrunatnymi pasami niebo. Zaropiałe oczy były rozmarzone, wyrażały tęsknotę i ukryty ból.

Przechodzenie różu w jasną, z każdą chwilą nabierającą ostrości, czerwień, fascynowało, niepokoiło jak każde niezrozumiałe zjawisko.

Potem karzeł długo wpatrywał się w ciemny otwór i kiedy zdawało mu się, że coś dostrzega w nieprzeniknionej czarnej głębi, usłyszał nagle za sobą jakiś ledwo uchwytny szmer. Odwrócił się błyskawicznie, wytrzeszczając paciorkowate oczy w stronę, skąd wyszedł cichy odgłos czegoś nieznanego, i

struchlał. Bał się, ponieważ nie wiedział, co czai się w półmroku za ponurą ścianą nierównego ostrokołu. Nigdy, od kiedy tu przychodził, nic nie zakłócało panującej wokół ciszy.

Kiedy tak patrzył spięty, zza ciemnej, błyszczącej ściany wyłoniła się mała postać, która zapiszczała cicho:

- Nie bój się. Nic ci nie zrobię. Jestem sama...

Karzeł chciał natychmiast odejść, bo poznał w niej szczurolota, ale usłyszawszy nieśmiałe słowa, pozostał na miejscu, będąc czujny i gotowy w każdej chwili do ucieczki.

Szczurolot stał tam, skąd się wyłonił i milczał. Był sam.

Karzeł odezwał się pierwszy, nadając swemu głosowi ton pewności:

- Nie bój się. I czego się tak czaisz?

- A mogę do ciebie podejść? - usłyszał nieśmiały, piskliwy głos.

- Czego tu szukasz? - zapytał.

- Obserwuję cię już od dłuższego czasu i patrzę jak...

- Co?

- ... jak tu przychodzisz i... i płaczesz nieraz...

- Uciekaj stąd! - mruknął zły, że odkryto jego słabość. - I wcale nie płaczę.

Zapadło milczenie. Po chwili karzeł odwrócił głowę i widząc ciemną postać stojącą wciąż w tym samym miejscu, burknął:

- Jeszcze tu jesteś? Idź sobie!

- Ja też jestem sama... I gdzie mam iść?

- Co mnie to obchodzi?
- Przychodzę tu, kiedy ty odchodzisz i...
- Wynoś się!
- ... i też płacę... - głos szczurolota załamał się.

Karzeł zamilkł, bo zaskoczyły go te słowa. Ten ktoś, choć obcy - pomyślał - też płacze, bo może mu jest źle, bo może jest sam, bo...

- Mówiłem ci, że ja nie płacę! - rzucił gniewnie za siebie.
 - Czego jeszcze chcesz?
 - Mogę podejść?
 - Rób, co chcesz!
 - A nie... nie uderzysz mnie?
- Spojrzał zaskoczony.

- Za co? - zapytał szybko. - Przecież nic mi nie...
- Wszyscy mnie tylko przeganiają, popychają, biją. Mogę usiąść obok ciebie?

Karzeł spojrzał na szczupłą postać szczurolota, teraz dopiero rozpoznając w niej samicę.

- Siadaj - burknął nie ruszając się i nie zmieniając pozycji. Bacznie obserwował najbliższą okolicę, obawiając się pułapki.

Usiadła obok niego, poczuł jej ciepło, a ona powiedziała nieśmiało:

- Zawsze chciałam z tobą porozmawiać, ale bałam się...
- Czego? - zapytał i zerwał się raptownie. Skoczył za najbliższą ścianę ostrokołu, obiegł ją, zajrzał dalej, spenetrował

ciemne, błyszczące złomy i kiedy zapytała: - Co ci się stało? - wrócił na swoje miejsce.

- Chciałem się upewnić - mruknął - czy jesteśmy sami.

- Przecież powiedziałam - westchnęła. - Jeszcze mi nie wierzysz?

- A to z jakiej racji? Jesteś szczurolotem! A ty? Ty mi wierzysz? Ani trochę się nie boisz?

- Nie wiem - zapiszczała. - Jesteś człowiekiem.

- No to co z tego? - Karzeł zamyślił się i mruknął jeszcze:

- Może jestem, może nie?... O czym chciałaś gadać?

- Dawno z nikim nie rozmawiałam. Jak masz na imię?

Spojrzał na nią szybko. Zobaczył błyszczące koralki oczu, brak owłosienia na pyszczku i zrobiło mu się jej żal.

- A po co ci to? - zapytał łagodniejszym tonem. - Po co ci moje imię?

- Na mnie mówią Enu.

- Enu? Co to znaczy Enu?

Milczała chwilę, a on znów poczuł złość i rozdrażnienie; denerwowała go jej obecność. Z drugiej jednak strony mógł z kimś porozmawiać, z kimś, komu też było źle na tym świecie.

- Więc powiesz mi? - ponowił.

- Enu - zaczęła nieśmiało i bardzo cicho. - Enu znaczy Znajda...

Parsknął krótkim i skrzekliwym śmiechem, a kiedy się

opanovał, usłyszał, że ona popłakuje. Zrobiło mu się głupio.

- Przestań - powiedział. - Nie śmieję się z ciebie, ale... Ale tak, w ogóle...

- Ze mnie - pochlipywała. - Wiem... Wszyscy jesteście okrutni. Wszyscy! I ludzie i ... i moi...

- Nie bez już, Enu - szepnął i trącił ją ramieniem. - No... Przestała.

- Zaśmiałem się, bo na mnie mówią Pędrak - zachochał ponownie, ale bez tej nuty radosnego rozbawienia.

- Pędrak? Pędrak. Co to znaczy Pędrak?

- Pędrak? - wzruszył ramionami. - Pędrak znaczy Pędrak. Może kiedyś ci to wyjaśnię - mruknął i czekał teraz na jej śmiech. Milczała.

- Pędrak - powtórzyła cicho i po chwili dodała:

- Nawet ładnie...

Odwrócił do niej swoją owłosioną, dyniowatą twarz i zajął ciekawie i nieufnie w jej paciorkowate, mokre od niedawnych łez oczka, w których nie zauważył odrobiny ironii.

- Tak mówisz? - stwierdził, bo nie wiedział, co powiedzieć. Potem dodał: - Enu też brzmi ładnie i... i to nic, że Enu znaczy Znajda.

Uśmiechnęła się nieśmiało, a on mruknął jeszcze:

- Bo... bo nie każdy może mieć na imię Znajda.

- Pędrak - zapisała tak, iż poczuł, że powoli rośnie.

Po raz pierwszy trafił na istotę, która go nie zlekceważyła.

Nie parsknęła śmiechem na dźwięk jego imienia jak to czynią ludzie, od których uciekał i chował się, bo wszędzie, gdzie tylko się pokazał, zaraz popychali go, częstowali kopniakami, rzucali wyzwiska, przepędzali. Nagle trafił na kogoś, kto tego nie zrobił; mało tego - uznał, że to wstrętne imię, nadane mu przez jego rasę, zabrzmiało inaczej i - jak usłyszał - ładnie. Poczul bliską więź z tą istotą. Może też była odrażona jak on? Też prześladowana, przeganiana, choć jeszcze nie wiedział dlaczego? Utkwił wzrok w purpurze nieba. Po chwili doszedł go jej szept:

- Przychodziłam tutaj zawsze, kiedy tylko było źle i też patrzyłam w niebo, bo jest piękne, bo tu cicho, nikt nie krzyczy, nie wypędza i... i jest tak dobrze...

Westchnął tylko.

- Nieraz chciałam się odezwać, kiedy tak siedziałeś nieruchomo, ale bałam się.. Bałam...

- Czego? - bąknął.

- No, bo my i wy... Wiesz, te wieczne wojny... Ta nienawiść... Pomyślałam: o co? I dlaczego nie możemy żyć w spokoju, zgodzie?

- Nie wiem, Enu - odrzekł ciężkim głosem. - Nie rozumiem tego. Może tak być musi? Zresztą to mnie nie obchodzi; chcę spokoju!

Niebo przechodziło w ciemną purpurę.

- Trzeba się gdzieś schować - zauważył. - Może nadejść Czarny Deszcz...

Odetchnęła ciężko. Popatrzyła na niego, na zniszczone

ubranie, kurtkę połataną w różnych miejscach, postrzępione spodnie i rozpadające się buty. Wstawała powoli.

- Nie zanosi się na to - powiedziała. - Niebo musiałoby być jak krew. I nie słysząc dudnienia.

- Ale jest już duszno - wtrącił. - Nie ma czym oddychać, a jak przyjdzie żar i trzeszczeć będą chmury, to przyjdzie Czarny Deszcz.

- Tak, masz rację. Idę już.

- Idź - powiedział. - I ja też się zbieram.

- A masz dokąd?

- Mam. Schowam się gdzieś w kącie.

Kiedy wstał, zauważył, że są równi wzrostem. Chwilę tak patrzyli na siebie, potem ona zapytała:

- Przyjdiesz jutro?

- Chyba przyjdę.

- O tej samej porze?

- O tej samej.

- To do zobaczenia, Pędrak.

- Tak, do jutra, Enu.

Ryba doszedł wreszcie do gniazda, gdzie siedział. Szustin i Wielki Buga i postawił ciężki termos, który dźwigał z punktu zaopatrzeniowego. Szustin i Wielki Buga słyszeli, jak ciężko dyszy, jak zrzuca z siebie kask i rękawice i jak kładzie się bez słowa obok skalnej ściany.

Szustin podszedł do Wielkiego Bugi i zapytał:

- Widać coś przez tę rurę?

- Zdaje się, że już są - szepnął Buga, odrywając oczy od noktowizora i zacierając ręce. Są zbóje! Nadchodzą! Oj, będą fury mięsa! - błysnął w stronę Szustina białkami oczu, aż ten wzdrygnął się pod tym spojrzeniem.

Wielki Buga słyszał z okrucieństwa. W przeciwieństwie do krępego Ryby, będącego tylko dobrym zwiadowcą, Buga urodził się, by zabijać. Nie miał też nikogo bliskiego, a jedynego brata zabiły mu parę lat temu szczuroloty. Od tamtego czasu należał do oddziałów Obrońców i miał tylko jeden cel. Podczas wielu potyczek ze szczurolotami zyskał opinię najokrutniejszego i najbardziej bezwzględnego siepacza i pogromcy. Jego imię wypowiedziane podczas walki sprawiało, że przeciwnik wołał ratować się ucieczką.

Sam Molanzy Kana mówił o nim: „Mściciel” i dodawał: „Gdybyśmy wszyscy byli tacy jak Mściciel, nie istniałaby doktryna przegranej cywilizacji, która wylęgła się w zarobaczonych umysłach paru mądrali z Ósmego Dziesięciolecia Roku Chińskiego Lisa - Roku Śmierci!”

Szustin obserwował, jak Buga gotuje się do starcia. Widział, że ten modli się teraz w duchu, aby „śpiewająca maszyna” Profesorka, czyli generator infradźwięków, nawaliła. Zresztą Profesorka sam nie był pewien, czy instrument będzie działał, czy nie. Pracował nad nim od roku, a teraz maszyna miała przejść pierwszy chrzest bojowy.

- Jak napieprzy maszyna, będzie tu gorąco, chłopcy! - powiedział Buga głośno, jak gdyby odczytywał myśli Szustina.

Odszedł od okularu noktowizora, podniósł leżący na skrzyni wielki miotacz i mruczając pod nosem hymn Obrońców, położył go na półce skalnej przy swoim stanowisku, uważając, by przewód łączący go z pojemnikiem energii nie był o coś zahaczony. Następnie wrócił do skrzyni i wyciągnął z niej stary, ciężki pistolet maszynowy i zaniósł na miejsce obok miotacza. Powiedział cicho:

- Radzę się wam przygotować. Na wszelką ewentualność. Nie wierzę, żeby maszynka długo śpiewała. Pech prześladowuje ludzi od dawien dawna i jest pewne, że instrument spieprzy się w najbardziej decydującym momencie, a wtedy przyjdzie nam rżnąć futrzanych zbójców tradycyjnie! - zarechotał cicho i włożył za pas szerokie, lśniące ostrze długiego miecza. - Czeka nas ciężka robota! - westchnął z ulgą i zaraz dodał: - Gorzej będzie, jak się coś spieprzy w Dyspozytorni i cała moc maszynki pójdzie na nas!

- Nie kracz! - Szustin zapalił papierosa i ze spokojem usiadł obok swojego miotacza. - To wszystko jest bez sensu - pomyślał.

Gdyby tak jak kiedyś był w sztabie Molanzy Kany, wiedziałby, jak postąpić. Potrafiłby przygotować taką akcję, z rozmysłem i w szczegółach, bez improwizacji, której końcowy efekt może być zgubny! Teraz też wiedział, ale nie miał już nic do gadania.

W wyniku intryg i knowań odsunięto go od spraw ważnych,

a za wieczną agitację na rzecz zjednoczenia z innymi grupami został wydalony ze sztabu i spadł do rangi dowódcy gniazda z dwuosobową załogą. Żeby go jeszcze bardziej pognębić, zaczęto rozpuszczać o nim plotki, że kiedyś przynależał do Wędrowców, a może i nawet do Jednakowych.

Szustin, choć faktycznie wywodził się z tych ostatnich, nie protestował i nie korygował podejrzeń, a widząc wściekłą walkę współpracowników Kana o wpływy, usunął się w cień. Tak samo reagował na najprzeróżniejsze prowokacje - milczał. Wszystko to wytworzyło wokół niego atmosferę tajemniczości i lęku - doskonale wiadano o gwałtownej naturze Wędrowców, a o Jednakowych nikt nie chciał nawet wspominać. Choć jedni i drudzy byli ludźmi z krwi i kości, to podejrzewano ich o pokrewieństwo z najczarniejszymi mocami piekieł. Z upływem lat przekonał się, jak bezowocne i bezcelowe są jego wysiłki. Wiedział, że czas jeszcze nie nadszedł. Sam Kana może i myślał w skrytości ducha o zjednoczeniu i ilekroć brał się poważnie za roztrząsanie tego problemu, tylekroć pojawiała się memento: Jesteś Molanzy Kana, władca Górskich Dziur. Kim będziesz, kiedy zjednoczysz się z innymi grupami?

Szustin znał odpowiedź. Otrząsnął się ze swoich myśli.

Ryba stał obok niego i układał granaty jeden przy drugim,

tak by były w zasięgu ręki. Z daleka dochodził cichy i przeciągły gwizd, Szustin poczuł na swoim ciele zimne mrowie.

- Zaczyna się - powiedział Ryba.

- Tak - mruknął i stwierdził, że podniecenie i strach dziwnie zdławiły jego głos. Wiedział, że bitwa może być decydująca tak dla ludzi, jak i dla szczurołotów, którym Górskie Dziury otworzyłyby drogę ku Wielkiej Nizinie rozciągającej się podobno po drugiej stronie tego łańcucha.

- Wiedzą zbóje, że na nich czekamy! – krzyknął nagle Buga; wycierał ręce w spodnie. - Przygotujcie się! - Wcisnął na swoją głowę wielki kask i włożył na ręce rękawice.

Ryba zdążył się jeszcze oprzeć o ścianę za sobą, kiedy poczuli pierwsze drżenie gruntu. Zaraz po tym rozbłysły ukryte w szczelinach skał reflektory i czernią nocy wstrząsnął ryk tak potężny i przejmujący, że odruchowo wtulili głowy w ramiona. Doskonale wiedzieli, co dzieje się tam - u podnóża, jak są rozrywane niewidzialną siłą ciała atakującego przeciwnika.

Wielki Buga krzyknął gromko:

- Działa! Śpiewa, choć nie słyszę!

- Bo tego nie słychać! - wrzasnął Szustin.

Ryba cały czas stał z zadartą głową, opierając miotacz o prawe biodro. Potem nagle wydał ostrzegawczy okrzyk; krótki, błękitny błysk z jego broni poleciał w ponure niebo. Nad nim rozległ się przejmujący pisk i coś spadło za ich gniazdem, uderzając w skałę głucho jak rzucony bezwładnie wór.

- Nadlatują! Nadlatują! Przedarli się! - krzyczał Ryba. Nie powstrzymała ich maszynka!

Z innych gniazd rozlegały się podobne ostrzegawcze wrzaski.

Szustin i Ryba położyli się na dnie swojego stanowiska i grzali krótkimi błyskami w ciemne kontury szybującego nad nimi wroga.

Jeden jedyny Buga stał spokojnie i obserwował frontowy odcinek podgórza - baczył, by ich nie zaskoczono z przodu. Nawet on wzdrygiwał się na odgłos spadających ciał.

- Walcie w nich! Walcie! - zagrzewał do walki, a kiedy usłyszał za sobą zamieszanie, odwrócił się szybko i widząc walczącego Rybę, doskoczył i potężnym uderzeniem kolby motacza roztrzaskał czaszkę szczurołota.

Szustin stał obok obryzgany krwią, odrzucił miotacz i z obrzydzeniem zaczął przecierać szybę kasku. Nie widział nic, toteż zaraz zerwał z głowy kask i rozejrzał się dokoła, po chwili wydobył z siebie ni to śpiew, ni to ryk:

Niezwyciężona ludzka raso z Ziemi.

Przeklęty niech będzie twój każdy wróg!

Resztkami sił się podniesiemy,

Ostatni trud - zwycięski bój!

Wrzeszczał dalej, ale nie słyszał już swojego głosu, bo gotujący się do boju z innych gniazd podchwycili i zaryczeli dalsze zwrotki hymnu. Wielki Buga rzucił mu do ucha, że maszynka Profesorka nawaliła, że teraz dopiero zacznie się bój, prawdziwy bój!

- Rźnij, zabij! - rozlegało się zewsząd. Skały ożyły.

Oddziały szcziurołotów atakowały falowo pośród pisku i wycia. Świsłały w powietrzu ich żelazne strzały, odbijając się od skał i eksplodując lub zagłębiając się w ludzkich ciałach i rozrywając je. Jazgotały serie broni maszynowej i błyskały błękitne iskry miotaczy.

Szustin nie wiedział już, czy z jego gardła wydobywa się atawistyczny ryk, czy śpiew i czy w ogóle zachrypnięta krtań wyrzuca z siebie cokolwiek w ten mroźny wieczór prócz pary przyspieszonego oddechu. Widział tylko upiorną twarz Bugi z grymasem śmierci, pianę ciekącą z jego ust na drgającą brodę; Rybę rzucającego granaty i wyrywającego w przerwach między rzutami krótkie strzały tkwiące w jego skórzanym kurtce, które nie zdążyły wybuchnąć. Zobaczył Bugę wyskakującego z gniazda z miotaczem w jednej ręce i z lśniącym mieczem - w drugiej.

Szustin zrobił jeszcze dwa kroki, później złapał się za brzuch i widząc krew na dłoniach, zrozumiał. Padł na kolana próbując wyrwać strzałę i zobaczył przekrwione wściekłością ślepie Ryby, pochylającego się nad nim z rozwartą, drgającą głębią gardzieli; nagle coś rozerwało wnętrzności, a dziwne lenistwo i błogi spokój, i cisza otuliły go - nie zamykając oczu, przewrócił się na bok.

A dalej, u samego podnóża, na granicy Górskich Dziur było przedpole piekiel, gdzie rzesze diabłów w lśniących futrach,

rozpościerając błoniaste skrzydła, próbowały bezskutecznie przerwać obronę ludzi; zdeterminowanych i ogarniętych gorączką szaleństwa i krwi.

Gasnący wzrok Szustina zarejestrował pochylającą się twarz Ryby. Zdobył się jeszcze na ostatni wysiłek i przyciągnął go do siebie. Kiedy ten nachylił się nad nim, Szustin szepnął:

- Pamiętaj... Kul... Kultinak... O... orzeł... czeka na... bliźniaka... on... on... wyjaś... ni... wszyst... ko...

- Co? Co to znaczy?! - krzyknął Ryba, a nie otrzymawszy odpowiedzi, zapytał: -To prawda, że należałeś do Wędrowców?

Szustin pokręcił słabo głową. Jego oczy stawały się coraz bardziej mętne.

- Nie? - oczy Ryby wyrażały najpierw zdziwienie, potem zrobiły się nagle okrągłe ze zdumienia. - Jesteś Jednakowym! - wyszeptał z wielkim przejęciem, ale Szustin nie słyszał już tego; był gdzie indziej.

Zobaczył zatarty jakby zamglony obraz ruin miasta i najstarszego z mieszkańców: Ojca Damiana, Strażnika Pieczęci - legendarnej relikwii Jednakowych - dumnie stojącego pośrodku ich potężnej grupy, i siebie, małego chłopca trzymającego za rękę swojego ojca, i młodego Ojca Dariusza, stojącego obok wysokiego i potężnego Kultinaka, syna Iny Krnąbrnego, i wielu, wielu innych: znajomych i zapomnianych twarzy. I zadźwięczały słowa: „Gdziekolwiek rzuci was los, pamiętajcie - że tylko zjednoczenie jest szansą przetrwania i odrodzenia.

Wasz czas nadszedł, a mój się już kończy. I nie zapominajcie nigdy Vulpeculi, który leży na południe od Łabędzia, tuż przy gwiazdzie Albireo, i Dumb-bell, skąd przybyła śmierć w Rok Chińskiego Lisa. Zabić Niszczycieli! Wiecie dobrze, skąd przybyli i gdzie są teraz!”

Potem, kiedy losy przywiodły go tu, do Molanzy Kany, a jego misja jednoczenia nie wydała owocu, kiedy nie mógł wrócić już do Jednakowych, dowiedział się o stracie Pałacu, o tajemniczej śmierci Ojca Damiana, a po wojnie ze szczurołotami i bitwie pod Wielką Czugą, stracił kontakt ze wszystkimi. Później, podczas snu, przyszedł do niego ojciec, z którym rozstał się będąc młodzieńcem, i przekazał tajemniczą wieść, że „w Pałacu orzeł czeka na bliźniaka...” Po przebudzeniu się zrozumiał, że jego ojciec nie żyje, opuścił ten świat i wyruszył za innymi w ostatnią drogę, by wypełnić święty nakaz. A teraz i on tam odchodził.

Postrzegając już nie tymi zmysłami, skierował się na drogę nie drogę, w przestrzeń nie przestrzeń i w czas nie czas; do miejsca, o którym wiedział wiele. Wyruszył tam, dokąd kierował święty obowiązek, gdzie udawali się opuszczający swoje ciała. Do Dumb-bell..

Od południa kręcił się po dolnych piętrach Pałacu, popychany i poszturchiwany. Nieraz wskakiwał w roślinę, umykając

tęgich ciosów i wywołując swoim czynem przerażenie. Ale on nie bał się rośliny, która jemu krzywdy nie robiła; zabijała nieostrożnych, innych ludzi, i choć sam też był człowiekiem, to roślina go tolerowała, jakby znała jego krzywdę i tragedię. Ludzie jednak twierdzili, że on musi być pomiotem diabła albo ma coś wspólnego z Ratownikami, bo inaczej ta zielona, bezrozumna masa musiałaby go też zabić. On jednak wiedział swoje.

Nieraz, kiedy przedłużał pobyt w zielonym gąszczu, roślina wypychała go jakby chciała dać do zrozumienia, że ma go już dosyć albo że niebezpieczeństwo minęło i ma iść swoją drogą.

Wówczas wychodził z gąszczu, ale z innej strony niż wszedł, nigdy nie zapominając podziękować za schronienie przed napastnikami.

I nie wiedział, czy ona go naprawdę rozumie, czy też nie, lecz to najmniej ważne. Istotne było, że w tym ludzkim, wrogim sobie stadle miał kogoś, czy też coś, gdzie mógł się schronić, uciec przed złą ręką, która uderzała, kiedy nieopatrznie wszedł jej w drogę. Potem chyłkiem przemykał po korytarzach, kluczył schodami w dół - coraz niżej i niżej, przeciskając się przez zwały gruzu, zasypane do połowy gan-ku, wąskie przejścia zarośnięte i niewidoczne dla ludzkiego oka, gdzie nie dochodziło światło, ale on miał swoją dużą lampę, której światło wskazywało mu drogę.

Błąkał się po wielkich salach zastawionych zakurczonym sprzętem, nie znając jego przeznaczenia, uciekał przed długonogimi stworami zakładającymi na coś lub na kogoś swoje srebrne sieci; i wciąż posuwał się dalej - bez celu.

Potem siadał gdzieś, kładł latarnię z boku, tak by była zawsze pod ręką, i upajał się ciszą.

Najbardziej lubił przesiadywać w komnacie o ciepłej posadzce. Tutaj można było położyć się bez obawy, że się zmarźnie. Tu magazynował żywność wykradzioną ludziom z górnych poziomów.

Kiedyś siedząc tak w półmroku i zapadając prawie w sen, zobaczył - czy też mu się przyśniło - zjawę lub człowieka. Pędrak nie wiedział, czy ten starzec z długą brodą i włosami aż do ramion, tak białymi jak sieć długonogich stworów, był tam istotnie, czy to była tylko senna zjawą, wytwór jego wyobraźni i gra cieni.

Starzec kiwał na niego ręką, potem wchodził w ścianę i znikał! Wówczas Pędrak zrywał się, chwycił lampę i uciekał. Po chwili uspokajał się i wracał. Wszak starzec, jeśli nawet był tam rzeczywiście, nie wygrażał i nie krzyczał, nie przeganiał. A więc nie chciał zrobić krzywdy.

Pędrak wracał na to miejsce trochę ze strachem, i podchodził do ściany, szukając jakiejś wnęki albo ukrytego przejścia, jednak nic nie znajdował. Myślał wówczas, że to tylko wytwór sennej wyobraźni, no bo przecież człowiek nie może wejść ot tak po prostu w ścianę. Potem zapominał o wszystkim, mając inne zmartwienia na głowie.

W salce o cieplej posadzce można było leżeć i wypoczywać. Przebywał w niej nieraz parę dni, nie pokazując się wcale ludziom. Tutaj też miewał najpiękniejsze sny. Raz nawet przyszła do niego matka; uśmiechała się i coś mówiła, ale on jej nie słyszał. Przychodzili też inni ludzie. Pędrak nie znał ich i nigdy nie widział; byli tak jakoś dziwnie ubrani. Nie zwracali na niego uwagi, tylko szeptali między sobą słowa, które z trudem rozumiał. Mówili: „Czas nadchodzi. Trzeba użyć wszelkiej mocy. Trzeba zwołać wszystkich. Niech gotują się do czynu, niech będą w pogotowiu, gdy wybije ta godzina”.

Pędrak dziwił się i łamał głowę nadaremnie, nie kojarzył treści ani pojęć, bo ich nie znał.

Bał się z początku tych ludzi, ale kiedy stwierdził, że się wcale nim nie interesują, obserwował ich tylko, leżąc cicho. I do dzisiaj nie wie, czy to były senne widziadła, czy też wszystko działo się na jawie. Teraz siedział i myślał o wczorajszym spotkaniu.. Czekał na odpowiedni czas, by udać się swoimi ścieżkami do miejsca, gdzie było ukryte jego wejście prowadzące na powierzchnię.

To chodził bez celu, to siadał, to kładł się, ale zawsze łapał się na tym, że jego myśli błądzą wokół Enu - dziwnej samicy od szczurolotów, których wszyscy ludzie tak się bali. No, on też się bał, może nie tak szczurolotów, jak opowieści o nich krążących.

Kiedy nadszedł czas, postanowił wyjść na zewnątrz.

Enu siedziała nad dziurą w ziemi, wpatrując się w jej poszarpane brzegi. Szedł bardzo cicho, pomimo to usłyszała i na jego widok wydała cichy pisk radości. Stanął nad nią na tych swoich krzywych nogach i patrzył skrzyżnymi się oczami. Teraz dopiero zauważył, że ona różni się od innych szczurołotów, których futro było granatowe, czarne, siwe, bądź brązowe w zależności od wieku. Jej natomiast od dołu miało kolor błękitny, który następnie przechodził w bordo, a od tyłu głowy przez całą długość kręgosłupa biegł wąski srebrzysty pas.

Pędrak widział w swoim życiu wiele szczurołotów, obserwował je z ukrycia, znał ich wejścia pod ziemię, ale jeszcze o tak dziwnym ubarwieniu sierści, nie widział żadnego. Zachichotał cicho i przysiadł obok.

- Z czego się śmiałeś? - zapytała.

- A tak sobie - mruknął i dodał: - Przecież człowiek nie może być wiecznie smutny...

- A szczurołot? - zapytała szybko. - Czy też ma prawo do radości?

- Nie wiem - wzruszył ramionami. - Chyba tak... Nie znam was, a to co mówią... - urwał.

- A co mówią? - wpadła mu w słowo. - Powiedz.

- Takie głupie bzdury... - machnął ręką.

- O was też - odcięła się słabo.

- Ale się nie boisz?

- Ciebie nie... A ty?

Uśmiechnął się, biorąc jakiś błyszczący kamyczek.

- Też lubisz być sama? - zapytał.

Przytaknęła głową.

- A dlaczego uciekasz od swoich? Milczała. Po chwili powiedziała cicho:

- No, bo jestem inna. I nie mam matki ani ojca.

- A ja miałem matkę - odrzekł dumnie.

- A ojca?

Spochmurniał. Przypomnił sobie, jak go przezywali: „Pomiot szczurołotów! Zabić taką maskarę! Wylęgała Rattowników! Trzeba było spalić, jak się wygramolił z brzucha!” Wzdrygnął się na samą myśl o tych strasznych chwilach.

- Nie mam ojca - mruknął.

- No a matka?

- Nie żyje. Nie gadajmy o tym, bo sobie pójdę! - wyrzucił z siebie jednym tchem.

- No dobrze.

- Opowiedz mi o sobie - zaproponował, żeby zmienić temat.

- Innym razem - westchnęła wstając. - Przyszłam ci tylko powiedzieć, że dzisiaj nie mogę zostać dłużej z tobą.

- Dlaczego? - obruszył się i spojrzał na nią.

- Zagonili mnie do pracy w pralni.

- W pralni? Po co? A co się tam robi?

- Pierze się brudną odzież - wyjaśniła.

- No to idź, jak musisz! - Był zły. - Mnie do niczego nie zagonią. Kiedyś chcieli, bym mył gary w kuchni - uciekłem!

- Ja też im ucieknę - szepnęła - ale teraz nie mogę. Przełożona zabiłaby mnie. - Była już przy ostrokołe. - Zostawiłam coś dla ciebie! - zawołała jeszcze i zniknęła.

- Przyjdiesz jutro? - rzucił za nią, ale nie otrzymał odpowiedzi. Potem spojrzął na pakunek, który leżał tam, gdzie siedziała.

Był to nieduży worek z ciemnego materiału. Rozsupłał wiązanie i wytrząsnął zawartość pod swoje nogi. Z zaskoczeniem patrzył na błyszczące czernią skóry nowiuteńkie buty o długich cholewach. Stęknął cicho i popatrzył na swoje podziurawione, z odpadającymi zelówkami. Zaczął je zdejmować, mozoląc się z drutami i sznurkami, którymi były przywiązane do nóg.

Było coraz parniej. Niebo przybierało głęboką barwę różu i zaciągało się złymi błyskami czerwieni. Pędrak nie zwracał na to uwagi. Wkładał swoje pierwsze, nowe buty.

Uto-Khal milczał chwilę, potem utkwił małe czerwone ślepka w siedzących naprzeciwko ludziach. Wpatrywał się uważnie w ich oczy, daremnie szukając najmniejszej oznaki lęku. Kiedy nic nie znalazł, wygładził czarny surdut, kontrastujący z białą sierścią i poprawił złoty wisior ze stylizowaną rozwartą paszczą praszczura, potem dotknął delikatnie siedzącego na jego ramieniu małego szczurka i westchnął cicho.

- Zawarliśmy rozejm, to fakt - odezwał się cienkim głosem. - Działania Rumiza, którego oddziały zaatakowały Górskie Dziury, będą szczegółowo omówione na najbliższej naradzie dowódców wszystkich zjednoczonych grup. Musicie zrozumieć - zaakcentował - że nie mogą brać odpowiedzialności za poczynania działających jeszcze na własną rękę grup. Wydałem odpowiednie dyspozycje i zapewniam was - możecie to powtórzyć swoim przywódcom - że w najbliższym czasie wszystkie sprzymierzone z nami grupy, jak i te działające jeszcze bez naszej wiedzy, zaprzestaną wszelkich ataków. Takie jest moje słowo i wiercie mi, będzie ono dotrzymane! My nie dążymy do wyeliminowania was - ludzi z tej Strony Świata; chcemy tylko przedostać się poza Górskie Dziury, na Drugą Stronę, nic więcej, a wy nam w tym ciągle przeszkadzacie.

- Chcacie się zjednoczyć i kiedy to wam się uda - odezwał się niski, barczysty człowiek ubrany w grubą skórzaną kurtkę, ciemne poplamione spodnie i wysokie buty - zaatakujecie nas, bowiem wiecie doskonale, że wszystkie nasze grupy są skłócone, żyją z dala od siebie i nie dążą do jedności. Uderzycie, bo człowiek i szczurołot to od dawien dawna śmiertelni wrogowie - mówca spojrział z odrazą na małego szurka liżącego ogon.

Uto-Khal zauważył to i skrzywił się.

- Czasy się zmieniły - powiedział - ale jeżeli nas do tego zmusicie... zaatakujemy. A swoją drogą nie potrafimy zrozumieć, o co i w imię czego tak bardzo z sobą rywalizujecie.

Dlaczego nie chcecie żyć w zgodzie? Nie mówię, że z nami, ale pomiędzy sobą, tym bardziej że jest was tak mało. Przecież jesteście ludźmi! I wreszcie wydaje mi się, że zapomnieliście o swoim świętym obowiązku i nakazie - kiedyś poprzysięgliście to na pamięć pomordowanych i wziętych do niewoli - o zemście!

Trzech ludzi siedzących w głębokich fotelach poruszyło się niespokojnie. Uto-Khal zauważył, że dobrze wycelował i ciągnął dalej.

- Von Sadow przejawia najwięcej zdrowego rozsądku ze wszystkich przywódców grup, jakie znam. Otto Kaznodzieja i Sęp z Gór od Jednakowych trzeźwo patrzą w przyszłość, choć są nieufni i bardzo ostrożni. Cieszy nas fakt - zwrócił się do siedzących po jego bokach przywódców szczurołotów - że zechcieli rozmawiać, przysyłając na to spotkanie swoich przedstawicieli.

- Myślmy inaczej niż reszta - odezwał się siedzący po lewej stronie barczysty przedstawiciel Otto Kaznodziei. - I nie mów nam, Uto, że my, ludzie, zapomnieliśmy o naszym świętym obowiązku! W obecnej sytuacji nawet nie mamy nadziei, że go spełnimy. Nie wiemy nawet, czy Ratownicy są jeszcze na Ziemi, czy też opuścili ją, wyruszając w ślad za Niszczycielami. Od dłuższego czasu nie obserwujemy ruchu ich statków ani oni sami nie pokazują się w ogóle.

Uto-Khal podparł łapą brodę, spojrział dobrodusznie na przedstawiciela Otto Kaznodziei i klasnął głośno w łapy. Mały

szczurek spłoszył się i umknął gdzieś za oparcie fotela. W drzwiach pojawił się szczurołot ubrany na niebiesko i stanął w wyczekującej pozie.

- Przynieś nam wina - wydał polecenie Uto, a ludzi zapytał: - Czy zjecie coś z waszych specjałów? Znaleźliśmy ostatnio dosyć duży magazyn żywności, którą wasi przodkowie pakowali w puszki - wyjaśnił. - Podać mi to zaraz! - rozkazał czekającemu. Ten wyszedł bez słowa. - A wracając do naszej rozmowy... - spojrzał na ludzi. - Macie bardzo słabe rozeznanie - mruknął cicho. - Bardzo słaby wywiad. Wiemy, że baza Ratowników na Księżycu istnieje i że oni są tam nadal, i że nie opuszczą tak szybko tego Układu. A wiecie dlaczego? - zapytał szybko.

Kiedy milczeli wpatrując się w niego, powiedział:

- Bo przeprowadzają eksperyment - szczurek powrócił na jego ramię - swoistego rodzaju doświadczenie. Na nas, szczurołotach, i na was, ludziach, czyli dwóch rasach inteligentnych pozostałych na tej planecie. Domyślamy się, że chodzi im o to, która przetrwa, bądź - zawiesił głos, pogłaskał szczurka po łebku i dokończył - bądź wyeliminuje drugą. Wówczas może odlecać, ale jestem przekonany, że też nie na długo.

- A więc przepędźmy ich - odezwał się przedstawiciel Jednakowych, ubrany w bielony wojskowy kombinezon z nakrapianymi czarnymi plamami na materiale. Poprawił ręką

rzadkie pasma długich włosów spadających mu na ramiona i dodał: - Przepędźmy ich razem! - przerwał na chwilę, oczekując reakcji.

Uto-Khal pokręcił głową i słuchał go dalej.

- Moglibyśmy zaatakować ich bazę, przejąć statki, uzbrojenie i wtedy pomyśleć realnie o odwecie, ale musielibyście pozwolić nam zejść do miasta. Są tam urzędnicy, które pomogłyby rozwiązać wiele spraw, urzędnicy, których przeznaczenia nie znacie, a bez naszej pomocy nie poznacie nigdy.

- Odwet? Nas to nie interesuje - wycedził Uto spokojnym głosem. - To was, ludzi, zniszczono, miliony wzięto do niewoli i wywieziono do innego świata, zabito miliardy, skazano na zagładę. To do was przemawiają pomordowani. A co do miasta... Naradzimy się nad tą sprawą, bo to ciekawa propozycja zarówno dla nas, jak i dla was. Damy wam odpowiedź.

Ludzie poruszyli się niespokojnie.

- Przecież my - ciągnął po małej przerwie Uto-Khal - nie żyjemy do Ratowników nienawiści czy jakiejś urazy; może jedynie to, że... - zawahał się chwilę i dodał -... że wy jesteście wyżsi od nas... Pod względem wzrostu - wyjaśnił szybko. - A wracając do Ratowników. Oni nam nic złego nie zrobili, wręcz przeciwnie: sprawili, że wreszcie możemy z wami, delikatnie mówiąc, dyskutować na równej płaszczyźnie, bowiem zdajemy sobie sprawę z naszej siły, która leży w szybkiej adaptacji i przyroście naturalnym. Wy natomiast zdajecie sobie sprawę z waszej słabości - dodał ciszej i wymownie

spojrzał na ludzi.

Zapanowało głucho milczenie, które przerwał przedstawiciel Otto Kaznodziei.

- Liczyliśmy, że wskażecie nam miejsce, gdzie są ukryte statki.

- Przecież von Sadov wie o nim tak samo dobrze jak my - odezwał się po raz pierwszy, siedzący po lewej stronie Uto-Khala, brązowoczarny szczurołot ubrany w srebrzystą kolczugę. - A jeżeli wie, to dlaczego nie podzieli się tą informacją z innymi?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Liczycie, że wskażemy wam to miejsce - powiedział Uto - a my ufamy wciąż, że nauczycie nas obsługiwać te statki. Znać nasze warunki. Powiem wam coś jeszcze: dwa lata temu, podczas penetrowania dalekich sektorów miasta, trafiliśmy na zniszczone budynki, a wśród nich na dziwne urządzenie. Zwróciliśmy się wtedy do was z pytaniem, co to może być, ale nie odpowiedzieliście. Podejrzewam, że doskonale wiedzieliście, co to było. Dwa lata trwało rozszyfrowywanie tajemnicy, aż wreszcie trzy miesiące temu odczytaliśmy ją. To jest symulator lotu! - wykrzyknął dobitnie.

Ludzie spojrzeli po sobie z zaskoczeniem i zdziwieniem w oczach.

- Do kogo zwracaliście się o wyjaśnienie? - zapytał wysłannik von Sadova.

- Do tego durnia z Pałacu, którego mamy pod nosem, do Kon-Kordy! - Uto-Khal machnął łapą z irytacją. - Von Sadov,

ten przebiegły lis, też wiedział, lecz nie był pewny, czy mówimy prawdę, czy blefujemy! Dlatego nie chciał zająć odpowiedniego stanowiska, choć my stawialiśmy sprawę jasno! Teraz też stawiamy. Przeszkolicie na symulatorze nasze szczuroloty, a my pozwolimy, żebyście sprawdzili, czy statki są zdolne do lotu. Fakt, że Jednakowi dowiedzieli się o nich także i o miejscu ich ukrycia - dowódca szczurolotów zawiesił głos i spojrzal w strone dlugowlosego przedstawiciela ludzi - nas nie przeraża. Wiemy, że przebywacie blisko Kamiennych Wież, ale miejsce ukrycia - zapewniam was - jest doskonale strzeżone i tak szybko go nie odkryjecie!

- To dlaczego nie przeszkolicie się sami? - postawił pytanie wysłannik von Sadova. - Na co wam nasza pomoc, skoro macie symulator lotu?

- Powiedzieć ci prawdę? - zaczął Uto-Khal. - Bo nie wiemy, jak się do tego zabrać, dotąd nie znaleźliśmy instrukcji. Zresztą gdyby nawet była, to jej tłumaczenie trwałoby zbyt długo. I skąd pewność, że znaleziony symulator odpowiada urządzeniom statku? A to mogą stwierdzić tylko wasi piloci. I gdyby nie ta sprawa - zapewniam was - nie rozmawialibyśmy wcale!

Ludzie milczeli chwilę.

- Dziwi nas trochę fakt, że miejsca ukrycia statków nie zlokalizowali dotychczas Ratownicy - odezwał się wysłannik Jednakowych i spojrzal z uwaga na Uto-Khala. - Nie tylko ich pobratymcy - Niszczyciele - niszczyli wszystko, co miało coś

wspólnego z techniką, a już w szczególności z przestrzenią i poruszaniem się w niej!

- Nie odkryli i nie odkryją – odpowiedział twardo szczurolot w srebrzystej koleczudze. - I nie tylko to miejsce - dodał. - Są inne, gdzie stoją urządzenia wielkie jak to pomieszczenie, o których przeznaczeniu nikt nie wie, ale to jest teraz nieistotne.

Ludzie wymienili między sobą szybkie spojrzenia.

- Przypuśćmy - zaczął ostrożnie przedstawiciel von Sadowa - że dogadamy się i przeszkolimy was. Czy wówczas udostępnicie nam między innymi te urządzenia?

- Zastanowimy się - odrzekł Uto-Khal. - Wszystko będzie zależało od waszych posunięć i dobrej woli. Co jest z tym winem? - rzucił w stronę drzwi. Otworzyły się szybko i do sali weszło paru szczurolotów, niosąc każdy co innego. Poustawiali na stole szklane puchary i parę butelek oraz wielki półmisek z jakimś białym mięsem i drugi - przed Uto-Khalem - z ziarnistymi plackami.

- Jedzcie, częstujcie się - powiedział Uto rozlewając czerwony płyn do szklanych naczyń.

- Dawno nie piłem wina - westchnął Jednakowy, biorąc do ręki puchar. - Obyśmy się dogadali - powiedział.

Reszta podniosła swoje i zaczęła pić chciwie.

- Wyśmienite! - odrzekł Uto-Khal. - Nieprawda? Wasi przodkowie potrafili robić dobre rzeczy - urwał mały kawałek placka i podsunął go pod pyszczek szczurka.

- Faktycznie - mruknął wysłannik Otto Kaznodziei, biorąc do ręki mięso. - To jest wspaniałe!

- Wróćmy jednak do sprawy - zmienił temat Jednakowy. - Czy macie informacje dotyczące bazy Ratowników? A może znacie liczbę ich statków, system ostrzegania i obrony?

- Tak. Bardzo dokładnie - powiedział szczurołot z prawej.

- Mamy nawet opracowany szczegółowy plan - wtrącił ten w kolczudze, upijając łyk wina – jak tam dotrzeć niepostrzeżenie i jak ją opanować w błyskawiczny sposób! Teraz możemy to wam powiedzieć; byliśmy u nich - na Księżycu!

Jednakowy spojrział na niego uważnie, potem przeniósł wzrok na Uto-Khala. ~

- W jaki sposób możemy to sprawdzić?

- Wszystkie informacje otrzymacie z chwilą, kiedy dogadamy się co do głównej kwestii.

Ludzie przytaknęli głowami.

- W takim razie uważam nasze rozmowy za zakończone - mówił Uto. - Mam nadzieję, że dostaniemy pozytywną odpowiedź, co do poruszonego problemu, i to jak najszybciej, bo wiem czas jest tak jak i dla was, tak i dla nas bardzo drogi. - Uto-Khal złapał swój puchar i podniósł go w górę. - Oby nam się wszystko powiodło!

Wypili wszyscy.

- Wydałem rozkaz - powiedział jeszcze Uto - legalizujący dotychczasowy nielegalny handel z wami.

Ludzie uśmiechnęli się nieznacznie.

- Jeszcze jedno - odezwał się Jednakowy wstając. - Kiedy wypuścisz z podziemi ludzi, którzy dostali się do waszej niewoli?

Szczurołoty poruszyły się niespokojnie i popatrzyły na swojego przywódcę.

- A kiedy wy - zapytał - wydacie nam Wuka, zabójcę Phakha Białego?

Zapadło kłopotliwe milczenie.

- Uważam - odezwał się powoli przedstawiciel Otto Kaznodziei - że ten temat odłożymy na później.

Uto-Khal zajrzał mu głęboko w oczy.

- I ja też tak myślę - wycedził.

Zaczęło się, kiedy wrócili Łowcy obładowani pękatymi worami. Pytał ich, czy Karuzele nadal wirują, ale jeden poczęstował go kopniakiem. Wtedy oddał. Oddał zbyt mocno, a może właśnie tak mocno, że tamten schylił się, jęknął z bólu i zaczął masować swoją kostkę, przeklinając i łypiąc na niego przekrwionymi, zaropiałymi ślepiami.

Któryś zauważył:

- Te, poczwaro, skąd masz takie kapcie, he?

Inny dodał:

- Patrzcie maszkara! Nowe buty ma, a ja muszę nogi owijać skórami!

Zaczął się wycofywać.

Wtedy jeden krzyknął: - Pewnie ukradł komuś!

Inny: - Łapać go! - I ruszyli za nim.

W pierwszej chwili chciał skoczyć w roślinę, ale nie zdążył. Ruszył na schody prowadzące w dół, skręcił w bok i puścił się wąskim korytarzem, po którym prócz niego nikt nie chodził. Słyszał, że biegną za nim wrzeszcząc i odgrażając się.

Zielony drgający gąszcz zaczął ruszać się coraz bardziej niespokojnie, a długie macki ze świstem rozprężyły się, celując w biegnących swoje ostrza, które jednak ich nie dosięgały.

Skoczył w boczną odnogę krużganka, potem jak lawina przewalił się po żelaznych schodach ponurej sali, w której dziwne urządzenia buczały głośno, i wskakując na metalową poręcz balustrady, zjechał błyskawicznie po niej do samego dołu. Nie oglądając się za siebie, puścił się dalej. Słyszał, jak klęli i wołali, aby się zatrzymał.

Gonili go aż do tej małej dziury w ścianie, przez którą zawsze przechodził do tylko jemu znanych części Pałacu. Kiedy w nią zanurkował, poczuł, że złapali go za nogi. Zaczął wierzgać i krzyczeć przeraźliwie, ale oni się tylko śmiali i przeklinali, próbując wywlec go do siebie.

Walka była krótka, bowiem nie chodziło im o niego. Z przerażeniem poczuł, że ściągnęli mu buty i zaraz puścili nogi. Słyszał ich rechot i wyzwiska rzucone pod jego adresem.

Stał po drugiej stronie dziury na tych swoich pokracznych nogach i trząsł się ze wściekłości i strachu. Po chwili wykrztusił z siebie:

- Zapłacicie mi za to, wy złodzieje!

Jeden z nich nachylił się i wrzasnął w ciemny otwór:

- Wyjdź no tylko, ty poczwaro, to dostaniesz swoje buty!

No!...

Drugi rechotał, zakrztusił się i zaczął kaszleć. Wykrzywiona gęba pierwszego widniała ciągle w otworze.

To był ułamek sekundy. Patrzył na tę wykrzywioną gębę, a ręka sama namacała jakiś kawałek gruzu czy kamień - wziął zamach i rzucił, celując dokładnie.

Usłyszał przeraźliwe wycie i zaraz ciszę. Przestraszył się. Pomyślał: - Teraz mnie zabiją!... - i namacał drugi kamień, większy od poprzedniego. Czekał w pogotowiu, trzęsąc się i podrygując na całym ciele. Po drugiej stronie ktoś najpierw krzyknął: - Siwy, żyjesz? - I zaraz: - Ach, ty poczwaro! Zabiłeś! Zabiłeś! Zabiłeś!

Czaił się w pogotowiu, nadal trzęsąc się i obserwując jasny wyłom, ale nie zobaczył gęby drugiego prześladowcy, słyszał tylko jęk i ciche zawodzenie. Pomyślał: dobrze mu! - I krzyknął: - Oddajcie buty!

Tamten przestał jęczeć. Drugi powiedział zduszonym głosem: - Zabiłeś, poczwaro, Siwego! Teraz idę do Dowódcy i

wrócimy tu. Wrócimy, aby ciebie zabić! Przeraził się.

- Oddajcie buty - krzyknął jeszcze raz. – To były moje buty! - Podskoczył ze złości na nogach raz i drugi i zaraz jęknął, bowiem stopy trafiły na coś ostrego.

Kiedy tamten nie odpowiadał, ostrożnie podkraśl się pod otwór i próbował dojrzeć coś w półmroku pò drugiej stronie. Nie zauważył nic.

- Nie myśl, że Pędrak taki głupi i wyjdzie - mruknął pod nosem. A idź sobie, dokąd chcesz! - powiedział głośno. - I tak tu nie wejdziecie. Nigdy! - wrzasnął. Nie otrzymawszy odpowiedzi, pokręcił się w miejscu stąpając ostrożnie, potem bojąc się podstępny i zemsty, ruszył swoją debrze znaną drogą. Szedł i myślał: zabiłem Siwego. Tego podleca, złodzieja i donosiciela! - Zabiłem go! - wykrzyknął w mrok i nagle... pojał! Teraz zrozumiał sens słów, które wdarły się w mózg i wypełniły go.

- Zabiłem Łowcę!

Trafił na wąski kruzganek i puścił się pędem w wiadomym tylko jemu kierunku. Przy końcu wyhamował i nadśluchiwał - zdawało mu się, że doszły go jakieś głosy i dźwięki. Wstrzymał oddech i zaraz stwierdził, że to było złudzenie. Skręcił w lewo, otworzył drzwi niedużej sali i wszedł w ciemność bez obawy; wiedział już, gdzie jest i że tutaj już go nie dostaną.

Namacał swoją latarnię, wdusił mały przycisk na jej ścianie i gdy błysnęło światło, poczuł się raźniej.

Spojrzał na swój cień wygięty i załamany na ścianie i powiedział:

- Zabiłem tego podleca, Siwego!

Potem poszedł dalej.

Długo kluczył i przeciskał się przez sterty gruzów, aż wreszcie trafił do „gorącej sali”. Tutaj usiadł, pod ścianą i rozpląkał się. Żał mu było butów...

Obudził się, bo zdawało mu się, że słyszy jakieś głosy. Spojrzał zrazu nieprzytomnie, czując strach, ale kiedy zobaczył znajome, dziwne postacie, zaraz uspokoił się.

Zjawy stały na środku sali i o czymś zawzięcie dyskutowały. Widział poruszające się usta i gestykujące ręce; usłyszał znajome słowa i tajemniczą treść: „Czas nadchodzi...”

- O co im może chodzić? - myślał, obserwując i słuchając.
- Kim są i skąd tak nagle się tu pojawiają? Właśnie tu? - westchnął ciężko, potem wstał, stwierdził, że już czas, że Enu może czeka, i ruszył w drogę.

Siedziała nad czarną dziurą w ziemi i kiedy podszedł, odwróciła się do niego.

Zaczął mówić chaotycznie i bez składu, potem lekko zdyszany usiadł obok Enu.

- Odebrali buty? - zapytała.

Spuścił głowę i jęknął: - Podlece... Co ja teraz zrobię?

- Nie martw się, przyniosę nowe – powiedziała po chwili, a widząc jego spływające łzy, dodała ciepło: - Najważniejsze, że ty jesteś.

Gdzieś daleko, na ciemnym horyzoncie rozległ się słaby trzask, a metaliczny pogłos przewalił się przez przestrzeń i zamarł.

Ciemno. Różowe niebo nie zapowiadało nic dobrego.

- Zawsze cię podziwiałem i podziwiam - powiedział lekko zachrypniętym głosem von Sadov, mierząc Wuka zmęczonym spojrzeniem.

Siedzieli przed kominkiem w niedużej sali ponuro oświetlonej ogniem strzelającym we wnęce paleniska. Von Sadov patrzył w zamyśleniu na swoje ciężkie buty okute blachą, potem ponownie przeniósł wzrok na gościa, na jego dużą bliznę nad uchem, z zaczątkami choroby aramusowej, gołą czaszkę z wyrastającym z jej czubka warkoczem długich, rzadkich włosów. Westchnął ciężko i rzekł:

- Wiesz, lata mijają i myślę nieraz, że już nie dojdziemy do niczego. Że każdy upływający rok, to powolne zbliżanie się do końca. Kobiety przestały rodzić. Brak prawdziwej, naturalnej żywności, którą dawała kiedyś ziemia, przyczynia się stopniowo do tego, że rozchorujemy się wszyscy na dobre.

Wuk milczał posepnie i patrzył w ogień. Von Sadov mówił dalej:

- Na południu, dokładniej: na wschód od Górskich Dziur, pojawiły się jakieś nie znane dotąd mutacyjne stwory, ni to podobne do ludzi, ni to... diabli wiedzą do czego! I nikt nie wie, skąd nadeszły, bo niemożliwe jest, żeby pokonały Szklaną Pustynię. Źle się dzieje, źle.

- Jeżeli wszyscy nie zrozumieją - zaczął cicho Wuk - że tylko zjednoczenie się i skupienie w jednym miejscu stworzy szansę przetrwania, to dni ludzi faktycznie będą policzone.

- Jeżeli opuścimy nasze miejsca - odrzekł von Sadov - to jak przeżyjemy w drodze? Wystawieni na Czarny Deszcz, szcziurołoty, Ratowników i diabli wiedzą, co jeszcze? To nic, że Uto-Khał zapewnił nas, że możemy się poruszać bez obawy, ale przecież są grupy, które nie wiedzą o jego rozkazie, bo są jeszcze w drodze do kwatery głównej.

- Przecież nie jesteście bezbronni - zauważył Wuk. - Zgódź się na przyłączenie do was Otto Kaznodziei. On ma najwięcej pojazdów. Przy jego pomocy możecie bezpiecznie i - co najważniejsze - bardzo szybko przemieszczać się z miejsca na miejsce.

- Otto Kaznodzieja... - zamyślił się von Sadov. - A jak ich tu pomieszczę? Pojazdy... Masz rację, że to poważny atut. Przemyślę tę sprawę, ale czy to się uda? I gdzie się skierować? Gdzie osiąść? W jakim miejscu? Przecież wszędzie jest tak samo; martwa, martwej jeszcze raz martwa ziemia... Do diabła!

- Powiem ci coś - szepnął Wuk. - Za górami ożyła podobno ziemia. Wiem też, gdzie są ukryte te statki i gdzie mają bazę Ratownicy.

Von Sadov milczał chwilę, potem powiedział:

- Już sam nie wiem, czy to nie jest jakaś szatańska gra szczurołotów z tymi statkami. A skąd wiesz o tej Ożywionej Ziemi? Nie od Aramusan? Oni nieraz plotą niestworzone rzeczy.

- Trzy miesiące temu byłem u Grubej Katarzyny i tam dowiedziałem się, że Jednakowi trafili na Ożywioną Ziemię. - Wuk spojrział na niego z ukosa. W świetle drgających płomieni twarz von Sadova wyglądała na zmęczoną i starą. - To fakt, że informacja wyszła od Aramusan, ale Jednakowi się jej trzymają. Aramusanie dużo wiedzą i wiele mogliby jeszcze powiedzieć, ale nie chcą. Mówią tylko wtedy, kiedy któryś z nich umiera. Tak było z Kamiennymi Wieżami - bo to od nich się zaczęło - tak jest z Wielką Niziną. A wiesz, dlaczego szczurołoty tak bardzo pragną zdobyć Górskie Dziury?

- Teraz już rozumiem - mruknął Sadov. - Ale skąd oni o tym wiedzą? - zapytał szybko.

- Może od Ratowników? Nie wiem. A co do Jednakowych... - Wuk zastanowił się chwilę. - Pamiętaj - szepnął - walczyłem przy boku Kultinaka, Sępa z Gór i zakonników Wikarego pod Małą Czugą, daleko na wschodzie, bo stamtąd te parszywce nadeszły, w największej bitwie ostatniego dziesięciolecia i wiem, na co ich stać. To nic, że Jednakowi wiecznie

się kłóć o swoje stare sprawy, że biorą się za łby z byle powodu, ale jak przychodzi co do czego, potrafią stanąć ramię w ramię. A reszta? Sadov! Gdyby inni byli tacy, moglibyśmy myśleć o nowym początku i odwecie! Nie wiecznie przebąkiwać o przegranej cywilizacji z Roku Chińskiego Lisa! Podstawowa sprawa, to rozprawić się ze szczurołotami. Ostatecznie i definitywnie! Żaden podział świata: my tu, a wy tam. My byliśmy wszędzie i będziemy!

- Jednakowi... - prychnął von Sadov. - Znowu o nich słychać. Kultinak ma najliczniejszą grupę w tej Stronie Świata, ale nie odebrał Pałacu Kon-Kordzie!

Wuk spojrział na niego spode łba.

- Odbiorą go. I nie chciałbym być w skórze Zarządcy, kiedy oni powrócą.

- Tak, masz rację. Kon-Korda, to podle bydlę. Pałac zdobył w podstępny sposób, wycinając Jednakowych, których Kultinak zostawił na straży pięć lat temu, kiedy z innymi wyruszał na południe, szukać reszty swoich ludzi. Wiesz, wtedy nikt nie wiedział, co go tam ciągnie. Kon-Korda zadomowił się na tyle, że zapomniał o strachu. Opanował obszar Trzech Karuzel i czerpie z niego tyle, ile się tylko da, nie myśląc o przyszłości. Nie ma takiego problemu, jaki mają inni z wyżywieniem swoich ludzi, bo ma obszar Trzech Karuzel! Dodatkowo Pałac ma własne źródło energii, ukryte gdzieś dobrze, zresztą takie samo ma też Kana.

- Ma - potwierdził Wuk spokojnie. - Od Ratowników. I co z tego? Kiedy wrócą Jednakowi, odbiorą mu wszystko!

- Wiesz, zastanawiam się nieraz, po co oni chcą tam wracać? Ty byś wrócił, gdybyś na przykład znalazł Ożywioną Ziemię? - von Sadov spojrzał na Wuka uważnie.

- Nie znasz Jednakowych. Podobno w Pałacu pozostało coś takiego, co jest dla nich bardzo ważne... jakaś świętość... nie wiem. Kon-Korda o tym nie ma pojęcia, zresztą to mglista historia, powtarzana od dziesiątek lat. Oni po to wrócą, jak się upewnią, że to właśnie tam jest.

- Może... - westchnął von Sadov. - Słyszałem też, że wiedzą, gdzie są ukryte te statki.

- Przecież też wiesz i jak dotychczas tylko lawirujesz i nic nie możesz zdziałać. Masz u siebie pilotów, których nie mają Jednakowi. Daj im propozycję, umów się i gadaj. Ale nie! Wy wszyscy musicie to robić sami! W imię czego? Głupiej sławy? Że to właśnie von Sadov zdobył statki?

- Nie, nie o to chodzi, ale Uto pilnuje tego miejsca tak jak oka w głowie! Wiąże nas tym jeszcze, że posiada dokładne dane bazy Ratowników. Myślałem, że jeżeli zaprowadzi mnie do miejsca, gdzie są statki i pozwoli je wypróbować, to wyróżnę tych futrzanych zbójów w czasie kontrolnych lotów i wówczas pomyślimy o odwecie! Taki miałem plan.

- A co do tej bazy. Jak chcesz zdobyć jej plany? - zapytał Wuk.

- Pertraktuję cały czas z Uto-Khalem - warknął von Sadow. - Wiesz, że jego szcziurołoty znalazły w mieście symulator lotu - niech ich szlag trafi! Pogmatwało to moje plany, ale jeszcze ich wykiwam!

Wuk słuchał w spokoju.

- Dam Khalowi pilota, ale on musi zaprowadzić mnie do statków i pozwolić sprawdzić, czy one w ogóle nadają się do lotu. Jeżeli sprawdzę, że tak, może wówczas zaatakuję, poświęcając pilota... Statki byłyby nasze! Co o tym sądzisz?

- Ryzykowny plan, ale dobry, choć przed tym mógłbyś porozmawiać z Jednakowymi i przeprowadzić operację wspólnymi siłami - mruknął Wuk cicho. - Zastanów się nad tym, bowiem przed tym trzeba by było zebrać wszystkie grupy w jednym miejscu, i to najbezpieczniejszym. To warunek podstawowy. Czy wiesz, co się potem stanie? To będzie początek nowej wojny z nimi. Zdajesz sobie sprawę? A jak oni mają kontakt z bazą Ratowników? Jak ich powiadomią, czym dysponujemy? Trzeba to dokładnie rozpracować i obmyślić tak, żeby się nie zorientowali, co jest co. Musimy się naradzić z przywódcami innych grup, bo to plan szalony i odważny.

- Uto ciągle mówi, że chce tylko przenieść się na Drugą Stronę i do tego są mu potrzebne statki, by z lotu ptaka szukać innych grup i szybciej połączyć się z nimi.

Co im tak zależy na tym zjednoczeniu i tej Drugiej Stronie? - z poirytowaniem zapytał Wuk.

- Oni wiedzą, że tam coś może być. Nie mogą tego sprawdzić, bo na przeszkodzie stoją Górskie Dziury. Ale dlaczego nie wysyłają tam zwiadowców? Co tu jest grane? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?! Musimy znać odpowiedź na te pytania. Tylko jak? Może od tych nowych, którzy trafili w okolice Kany? Jedno pozostaje pewne - nie można im wierzyć! Trzeba mieć się na baczności, bo coś za bardzo podejrzana jest ta ich inicjatywa i te wszystkie propozycje. Przez lata nie rozmawialiśmy z nimi, teraz nagle oni zaczynają sami i co jest pretekstem? Statki!

- Tak, masz rację - mruknął von Sadov. - To wszystko jest za szybko przeprowadzane.

- A nie pomyślałeś przyjacielu, że plan opanowania planety oni rozłożyli na całe~ lata? No, bo chyba nie myślisz, że tak ot, po prostu zrezygnują z tej Strony, pozostawiając miasto. A przecież to, co jest w mieście, jest niebezpieczne - nie dla nas, ale w naszych rękach - dla nich. Uzbroili się w cierpliwość, bo wiedzą doskonale, że my nie posuniemy się o krok do przodu owdądnięcia jedną myślą: jak się zemścić i kto ma uzyskać władzę nad wszystkimi grupami. Znają nas dokładnie, a my co o nich wiemy? Nic albo prawie nic. To przerażające! Oni się przystosowali - zresztą zawsze byli. I wiesz, Sadov, co będzie dalej? Wrócą tu za parę albo paręnaście lat, silni, pewni, butni i zrobią z nami koniec! Czy ty wiesz, w jakim tempie oni się rozmnażają?

- Wiem. Niestety wiem! I mogą być władcami? - zapytał von Sadov. - Panami całej planety?

- Może?... Zresztą wątpię, przyjacielu, żeby to im się udało. Tak źle z nami jeszcze nie jest. Musimy zrozumieć, że siła jest tylko w jedności! Jeżeli się nie zjednoczymy i nie umocnimy, przegramy! To proste! I oni na to liczą.

- A więc jakie pozostaje rozwiązanie? Mam na myśli sprawę statków.

- Prowadź dalej te rozmowy i nalegaj, żeby pokazali ci ten symulator. Zgódź się na przeszkolenie, ale najpierw muszą zaprowadzić cię do statków. Przeciągaj, lawiruj, a ja będę działał. Zwołam Wędrowców. Użyjemy naszej mocy i doprowadzimy do zjednoczenia. Obiecuję ci to! Muszę dotrzeć też do Jednakowych, ale przedtem wyruszę do Pałacu. Mam tam swojego człowieka. Trzeba zbadać sytuację na miejscu. Szkoła pozostawić tych ludzi z tym szaleńcem. Teraz liczy się każde życie, każda kobieta. A on ma u siebie dużo kobiet!

- A nie boisz się Kon-Kordy? To podstępne bydlę, zaprzędane Ratownikom.

- Jak będzie trzeba, zniszczę go przed ich przyjściem - powiedział Wuk takim głosem, że von Sadov wzdrygnął się. - I nie podejrzewam, żeby Kon-Korda, tak hermetycznie odcięty od innych, wiedział, co się dzieje poza Pałacem.

- Dam ci moich wojowników wyszkolonych specjalnie do walk z Ratownikami.

- Nie, to niepotrzebne, przyjacielu. Dam sobie radę, zresztą jak zawsze zostawię u ciebie człowieka. Poprzez niego będziesz miał kontakt ze mną, a ja z tobą. Ze swojej stacji łączności korzystaj normalnie. Podejrzewam, że tak jak i twoja, tak i inne są na podsłuchu szczurołotów i Ratowników, ale to nieważne. Zdaj się na mnie, a będziesz wiedział wszystko. Sześć statków nas nie urządzi, by zaatakować, a już dzielić się z tymi pomiotami? Musimy mieć wszystkie! Myśl p tym i działaj. Ja wyruszę jutro. - Spiesz się - dodał von Sadov - bo nadchodzi Czarny Deszcz, a z nim nie ma żartów.

- Zdążę. Teraz powiedz mi jeszcze, dlaczego chowasz kobiety? Czy to przed oczami obcych? Nie widziałem żadnej u ciebie.

Sadov spojrział na niego zdumiony i zaskoczony pytaniem.

Wuk uśmiechnął się lekko.

- Czy uważasz tak jak inni, że obce oko może rzucić urok?

Von Sadov zaśmiał się krótko i odpowiedział z dozą irytacji i zażenowania.

- Wiesz, że nasz największy skarb, to kobiety. Bez nich nie znaczymy nic. Powiem ci jeszcze jedno: sądzę, że Niszczyciele popełnili błąd, który ich zgubi. Gdyby zabili wszystkie ko...

- Nie kończ! - przerwał mu Wuk ostro. - Wiem, co masz na myśli.

Von Sadov przyglądał mu się uważnie.

- A może - zaczął, mrużąc lewe oko - miałbyś chrapkę na którąś?

Wuk parsknął szczerym śmiechem. Śmiał się długo, a von Sadov patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

Pytanie długo pozostawało bez odpowiedzi. Pędrak, pograżony w swoich myślach, siedział i wpatrywał się w czarną dziurę przed sobą. Ileż to razy w chwilach kompletnego załamania, kiedy uważał, że wszystko wokół niego zawaliło się i runął cały świat, miał chęć skoczyć w tę otchłań - czarną jak jego rozpacz. I jedno, co pozostawało dla niego niewiadome i co go powstrzymywało przed tym czynem, to lęk przed nieznanym - przed tym, co tam może być.

Enu milczała, wreszcie przemówiła cichym głosem:

- I co teraz będzie? Boisz się wrócić?

Pokiwał głową, że tak, ale zaraz odpowiedział zupełnie inaczej.

- Nie, nie boję się, tylko żal mi butów.

- Obiecałam nowe, ale to potrwa. Przełożona pilnuje mnie i nie mogę chodzić tak jak kiedyś tam, gdzie chcę. Musisz wytrzymać. Przyniosę ci też trochę jedzenia.

- Nie trzeba, Enu - powiedział zrezygnowanym głosem. - Dam sobie radę. Mam trochę zapasów.

- Wiesz, kiedyś trafiłam pod ziemię na takie miejsce, o którym inni chyba nie wiedzą. Stoją tam sterty blaszanych

pudełek, w które ludzie pakowali kiedyś żywność. Pójdę i przyniosę ci tyle, ile tylko zdołam udźwignąć.

- Moglibyśmy iść razem - zaproponował nagle, bowiem ożywiła go ta propozycja. - Udźwignęlibyśmy więcej, no i zobaczyłbym miasto, o którym tyle słyszałem.

Pokręciła głową.

- To niemożliwe. Wszędzie pełno moich krewniaków - szczurów. One są wartownikami i gdyby cię tylko zobaczyły, zawiadomiłyby strażników albo mogłyby same zaatakować!

- Te małe stworzonka? - zdziwił się i zapytał:

- A jak ty dajesz sobie z nimi radę? Nie robią ci żadnych trudności?

Zachichotała cicho.

- One mnie lubią - powiedziała. - Zawsze porwę z kuchni worek placków, za którymi przepadają, a przeznaczonych tylko na stół przywódców. Kiedyś gonila mnie Przełożona z pomocnicami, wtedy one mi pomogły i zaprowadziły w takie miejsce, gdzie nikt nigdy by mnie nie znalazł.

- To może je przekonasz i mnie wpuszczą? - zapalił się. - Jeszcze nigdy nie widziałem miasta, a tyle o nim słyszałem.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- To jest niemożliwe. Mogłyby nabrać podejrzeń, o co u nich bardzo łatwo, a zdobyć zaufanie - bardzo trudno. Ich przywódca jest pupilem Uto-Khala i są z tego dumne.

- No dobra - zrezygnował. - Jeżeli nie chcesz, to nie.

Milczeli chwilę, wpatrując się w czarny otwór przyciągający wzrok tak jak niebo, które było przestrzenią nieznaną i zaskakującą, ale w przeciwieństwie do dziury mogli oglądać jego kolorowe przemiany. Dziurę natomiast widzieli, bo mieli przed sobą, nie wiedzieli jednak, co kryje w sobie i czym może zaskoczyć.

- Zaprowadzę cię tam - szepnęła po chwili i dodała: - Ale zejdziesz sam.

- Zgodna, Enu!

- A nie boisz się ciemności?

- Nie. Zresztą mam lampę.

- A co będzie, jak nie wrócisz? - zapytała szybko.

- Wrócę, Enu.

- Skąd wiesz?

- Wiem.

- Byłoby mi smutno - westchnęła. - Zostałabym sama.

- Wrócę - powiedział twardo i już żył tym, co miało się stać niebawem. - Byłbym pierwszy! - pomyślał. Poczul dreszcz emocji i coś na kształt kielkującego lęku, ale odgonił to uczucie. I tak nie miał już nic do stracenia. Do ludzi nie było po co wracać - wiedział, co go może teraz czekać, gdyby się pokazał. Pozostały mu tylko te partie Pałacu, znane tylko jemu i nikomu więcej, nie licząc dziwnych zjaw. Teraz pojawiła się szansa poznania czegoś, o czym tyle słyszał i czego

nikt z ludzi jeszcze nie widział, nie mówiąc już o takich, którzy podobno kiedyś w mieście byli. Ci już nie żyli od dawna; tak mówili Aramusanie i najstarsi z ludzi. Z tych rozważań wyrwał go głos Enu.

- Pora na mnie. Muszę iść. Spójrz na niebo.

Machnął ręką.

- Zostań jeszcze i opowiedz mi o mieście.

- Innym razem. Teraz muszę iść, bo mnie będą szukali. - Wstała. - Jutro przyniosę ci buty - powiedziała odchodząc. Będąc już przy ostrokole, zawołała: - Uważaj na siebie!

Spojrzał na nią.

- Nie martw się, nie znajdą mnie i już nie ujrzą.

Kiedy znikła dodał cicho: - Nigdy.

Wstał i nie zaprzatając sobie tym problemem głowy, ruszył w powrotną drogę, mając oko na wszystko. Było parno, a ciężkie powietrze wisiało nieruchomo. Fioletowoczerwone pasma mgły snuły się nisko. Wchodził w nie, znikał, to znowu się wyłaniał, by kluczyć po nierównym terenie, omijając zdradliwe rozpadliny. Dotarł wreszcie do swojego przejścia i zagłębił się w ciemną gęstwinę liści, gałęzi i sprężystych macek, nie zapominając mruknąć: - To ja, Pędrak. Wracam już. Przepuście mnie...

Rozsunął gąszcz i zniknął w ciemnym otworze, który drgające liście natychmiast zasłoniły.

Molanzy Kana siedział w obszernej jaskini, zwanej Jaskrawą, i w milczeniu słuchał relacji szefa zwiadu - Burego. Kiedy ten skończył mówić, Kana odezwał się swoim cichym, schorowanym głosem:

- Trzeba sprawdzić, co to za jedni. Dobrze mówię, Kurt? - zwrócił się do zgrzybiałego starca, który zajmował fotel obok niego.

Kurt Janowitz podniósł swoją starczą, siwą głowę z resztkami potarganych włosów i mruknął:

- Brakuje nam tu jeszcze jakichś przybłądów!

- Tak! - podniósł głos Molanzy Kana, a w jego oczach pojawił się złośliwy błysk. - Wystarczy - powiedział - że mam już tu, na karku, twoich ludzi!... - zarechotał nagle, zanosząc się kaszlem.

Janowitz zaklął szpetnie pod nosem i dalej milczał. Zdawał się drzemać.

- A swoją drogą - zwrócił się Kana do szefa zwiadu - jak mi wytłumaczysz to rewelacyjne odkrycie? Zapewniałeś, że nasz teren dobrze przetrząsnęliśmy i że pozbawiony jest żywej duszy! Więc skąd oni się tu tak nagle pojawili? I do tego te ich dziwne pojazdy? Co o tym sądzisz, Kurt? - zwrócił się db Janowitza i zaraz dodał: - Nie śpij, Kurt, do diabła, bo cię kiedyś stąd wyniosą!

- Może pokonali Szklaną Pustynię? - mruknął starzec i krzyknął: - Nie śpię, Kana, barbarzyńco! Czuwam ciągle i myślę!

Szef zwiadu poruszył się niespokojnie.

- Zostali odkryci w tydzień po bitwie, kiedy Rumiz wycofał się nagle, a my przeczesywaliśmy okolice, czy nie zostawił

gdzieś desantu. Wtedy odkryliśmy tych nowych i te ich pojazdy na samej granicy ze Szklaną Pustynią. Zbadamy tę sprawę i dowiemy się, kim są i skąd przybyli.

- Zbadaj to natychmiast, Bury, bo nie chcę mieć do czynienia z jakąś nową niespodzianką w postaci zarazy, którą oni mogą wlec z sobą. Weź najlepszych ludzi i pilnujcie ich! Diabli wiedzą, z kim mamy do czynienia. Ile czasu zajmie ci przejście przez przełęcz? Myślę, że ze trzy dni. A co do Szklanej Pustyni, to się tym nie przejmuj - jej nie mogli przejść, boby się usmażyli. Musieli nadejść gdzieś z boku. Teraz melduj mi o szczerolotach.

Kurt Janowitz na dźwięk tego słowa poruszył się i mruknął tylko: - Dobre mają mięso ich młode samice.

Kana spojrział na niego, potem przeniósł wzrok na Burego.

- Mów! - rozkazał. - A ty milcz, degeneracie!

- Pozostały bardzo małe grupy, które trzymają się z daleka od naszych gniazd. Główne siły wycofały się i nie wiemy, czym to tłumaczyć.

Molanzy Kana zasepił się.

- Może to przegrupowanie? Albo czekają na posiłki? Knują coś te zbóje! Musimy się dowiedzieć, co też zamierzają. Jeńcy?

- Wyśpiewają wszystko - odpowiedział Bury. - Już nad nimi pracujemy.

- Tylko delikatnie z samicami - mruknął Kurt Janowitz.

Kana zaśmiał się chrapliwie.

- Stary rozpustniku! - zdobył się na okrzyk.

- Co ci jeszcze łązi po tej zgniłej łepetynie? - A do Burego:

- No to bierz się do tych nowych. I weź z sobą Mściciela. On jest z was najlepszy! I ostrożnie! - ostrzegł. - Byś nie przywłókł tu zarazy. Jeśli się okaże, że to jakaś mała grupa włóczęgów i stwierdzisz u nich chorobotwórcze objawy, zlikwidujesz problem na miejscu! Ani szczurołoty, ani Ratownicy, ani obcy ludzie nie mają prawa szwendać się w pobliżu Górskich Dziur! Zresztą kiedyś ostrzegałem wszystkich. I jeszcze jedno: jeżeli będą mieli kobiety, weźmiesz tylko je i przyprorowadzisz tutaj

- Kana machnął ręką dając znać, że Bury może odejść.

Dowódca zwiadu ruszył do wyjścia.

Wielki Buga czekał na niego razem z Rybą. Po bitwie zostali awansowani na dowódców grup i przeniesieni do zwiadu. Teraz spojrzeli na Burego pytająco.

- Bierzemy się do tych nowych - oznajmił im, zdejmując hełm i zapalając cygaro. – Zbierzcie ludzi.

Starzec przyszedł, kiedy Pędrak spał po dość obfitym posiłku z dawnych zapasów. Teraz zbudził się i nie wiedział, czy stało się to za sprawą starca, czy też tak po prostu z wyspania się. Stracił też rachubę czasu. Nieraz musiał wychodzić na

powierzchnię, aby się przekonać, jaka jest pora albo - zakradał się na wyższe poziomy i nasłuchiwał. Jeżeli dochodziły go odgłosy, wiedział, że Pałac nie śpi i jest jeszcze dzień.

Teraz zerkał na mglistą postać zastanawiając się, o co jej chodzi. Czekał, kiedy zacznie przywoływać go ręką.

Starzec długo patrzył na niego, wreszcie gestem ręki przywołał go.

- Zaraz zniknie - pomyślał karzeł, ale Starzec stał uparcie w miejscu i czekał.

Pędrak poczuł się nieswojo. Zimne mrowie przewędrowało przez jego plecy i usadowiło się w czubku głowy. Wstał wolno, namacał latarnię i zapalił ją. Sylwetka starca pobladła nieco, ale nadal była widoczna. Pędrak podniósł latarnię przed siebie na wysokość oczu, oświetlając tamtego dokładnie. Zauważył zaraz, że na ścianie nie pojawił się cień. Szybko obejrzał się za siebie, sprawdzając swój - był za nim, załamany w miejscu styku posadzki ze ścianą. Spojrzał na starca.

- Do licha! - pomyślał. - Co jest? - Ostrożnie ruszył przed siebie. Do ściany miał nie więcej jak dziesięć kroków. Kiedy był tuż przed nią, zatrzymał się, a starzec wszedł w ścianę i zniknął. Pędrak zrobił krok i stanął przed murem. Dotknął go ręką, nadusił mocniej i jeszcze mocniej. Nic - chropowata, szara płaszczyzna.

- Głupia zabawa - mruknął do siebie i zastanowił się, co też może być za ścianą. Ruszył do drzwi i wyszedł na korytarz,

którego prawa ściana była gładką, jednolitą płaszczyzną. - Gdzie on wchodzi? - myślał. - I jeszcze mnie woła? Po co? O co mu idzie? Czego chce? - Zastanawiając się nad tymi pytaniami, posuwał się powoli przy ścianie, aż doszedł do zakrętu, gdzie korytarz kończył się wnęką. - Nie ma przejścia - stwierdził wracając. - Trzeba spróbować z innej strony. - Wrócił do punktu wyjścia i teraz skierował się w lewo, ale tutaj korytarz był do połowy zasypany, a dalej zamknięty srebrną siecią długonogiego stwora. - Może przejdę - zdecydował, ostrożnie wchodząc na gruzowisko i uważając, aby nie pokaleczyć nóg poowijanych w szmaty. Mozolnie przedzierał się do przodu, coraz bardziej zbliżając do srebrnej sieci. Po chwili kłęczał przed nią.

- I co dalej? - pomyślał, dotykając delikatnie pajęczyny. - Lepka - stwierdził. - Może to jest jakaś stara sieć? A za nią będzie przejście, jakieś drzwi lub dziura w ścianie? - Palce namacały długi plaster tynku, ręka wzięła zamach i po chwili sieć pękając sprężyście, rozstała się na boki, przyklejając się do ścian i sufitu. Pędrak ruszył przed siebie oświetlając drogę. Gdzieś po lewej stronie zauważył ciemniejszą od ściany płaszczyznę drzwi, dalej - jeszcze jedno i takie same naprzeciwko.

Doszedł na czworakach do pierwszych i usiadł na zwałach gruzu.

- Trzeba będzie to odwalić - stwierdził - bo inaczej tam się nie dostanę. - Ustawił latarnię i zaczął odrzucać gruz na

jedną stertę pod przeciwległą ścianę. Pracował uparcie w kurzu, krztusząc się i kaszląc, wreszcie dobrnął do posadzki. Usiadł na chwilę na zwałowisku, by odpocząć, potem trzymając latarnię w jednej ręce, drugą położył na klamce. Nie zastanawiając się długo, nacisnął. Drzwi wydały dziwny, nieprzyjemny odgłos i otworzyły się na tyle, na ile pozwalał usunięty gruz. Przez tę szparę włożył teraz rękę z latarnią. Zaraz za światłem przesunął się cały. Wszedł do środka pewnie i nagle poczuł, że gdzieś leci!

Spadł na coś twardego, nie zdążył nawet krzyknąć. Jęczał cicho z bólu i cieszył się, że nie stracił latarni. Macał ręką prawy bok, na który upadł, potem spojrział w górę; z boku ściany, w stronę drzwi pięły się schody, ale tuż przed wejściem brak było podestu. Zrozumiał.

Rozejrzał się wokół siebie, masując obolały bok, w który dodatkowo wbiła się boleśnie rękojeść sztyletu przymocowanego do pasa.

Pomieszczenie, do którego wpadł musiało być o wiele większe od innych, bowiem nie mógł dostrzec ścian; wszędzie widział jakieś urządzenia, zwisające liny, łańcuchy i płataninę najróżnorodniejszych rur.

Gdzie jestem? - pomyślał i wstał z trudem. Ruszył wolno przed siebie, klucząc pomiędzy zmurszałymi linami i różnej grubości łańcuchami, które przy poruszeniu zrzucały z siebie siwy pył i wydawały metaliczny dźwięk. Wszystko ginęło

gdzieś wyżej - w ciemnościach, których nie mógł przejrzeć. Szedł ostrożnie dalej, gdy nagle zobaczył płaskie, kwadratowe i nieduże wzniesienie, na kształt skrzyni lub platformy, umieszczone na podłodze. Z jej lewego narożnika wystawał zakrzywiony gruby pręt. Pędrak wszedł powoli na powierzchnię skrzyni, oparł się o pręt, chcąc powiesić na nim latarnię, gdy skrzynia drgnęła nagle. Zeskoczył z niej jak oparzony. Powierzchnia skrzyni chowała się powoli w podłodze, a on patrzył na to z zaskoczeniem i przestachem w szeroko otwartych oczach. Patrzył, jak odsłania się pod nim dziura. Zbliżył się ostrożnie i zajrzał w dół, skąd wychodziło jasne światło. Poczuł też chłodniejszy powiew powietrza, który owiał jego rozdziawioną gębę. Pochylił się jeszcze bardziej i zajrzał w młą poświatę tego tajemniczego wnętrza pod sobą.

- Dziwne... - myślał. - Co tam jest i jak tam zejść? A może skoczyć? W końcu nie jest tak wysoko... Ale skąd ta jasność? Przecież tutaj wszędzie jest ciemno... - Dumał tak i nagle jedna myśl jak iskra zaświtała w nim i przeraziła. - Może... Może to jest jakieś nie odkryte jeszcze wejście do miasta?! Może Pałac jest z nim połączony?!

Z wrażenia aż usiadł.

Otto Kaznodzieja był już stary, ale jak na swój wiek trzymał się jeszcze niezłe. Spojrzał teraz na swojego syna Kiro i powiedział:

- Jeżeli po drodze nie złapie nas Czarny Deszcz, jakiś większy oddział szczurołotów lub co gorsza - nie odkryją nas Ratownicy, to wygramy.

- Wiem, ojcze, że szczurołoty zajęte są zgrupowaniem u podnóża Górskich Dziur i wątpię, aby podejrzewały, że jakaś większa grupa ludzi odważyła się wyruszyć w drogę - odezwał się syn. Był wysoki, dobrze zbudowany, o ciemnych włosach i śniadej cerze.- A Czarny Deszcz? - Kiro spojrzał na różowe niebo. - Tak szybko nie nadejdzie. Myślę, że dopiero za parę dni albo jeszcze później, tylko że wtedy będziemy już u von Sadova.

- Oby, chłopcze powiedział starzec. - Ale możemy natknąć się na jakiś przypadkowy oddział szczurołotów; mało to ich ciągnie na wezwanie tego zbója? No, a Ratownicy? Pomyślałeś o nich? A co będzie, jeśli nas wypatrzą?

- Obserwowaliśmy niebo przez wiele tygodni, ojcze. Chyba opuścili naszą przestrzeń i udali się gdzie indziej. Nie obawiaj się, jesteśmy dobrze uzbrojeni, mamy silne, wytrzymałe pojazdy i co najważniejsze - siedmiu Wędrowców, którzy są z nami. Będą penetrować okolicę tymi swoimi szczególnymi zmysłami. Uda się, ojcze, zobaczysz!

- Źle, że nie powiadomiliśmy von Sadova.

- Wiesz przecież, dlaczego tego nie uczyniliśmy.

Starzec nie odpowiedział. Spojrzał zmęczonym wzrokiem na setki ludzi stłoczonych przy pojazdach i wznosząc nagle ręce do góry przemówił:

- Siostry i bracia moi! Mijają szybko chwile, raz po raz

życie umiera, coraz rzadziej rodzi się nowe. I oto nadszedł dzień, kiedy przyszło nam podjąć rozdzierającą serca decyzję, albowiem wybiła godzina - musimy opuścić dom nasz na zawsze. Wkroczymy niebawem na drogę nieznaną, ale prowadzącą do innego jutra; ufamy, że będzie ono dla nas lepsze. Bóg, w którego z dziada pradziada wierzyli zarówno nasi ojcowie, jak i matki, zapomniał o ich dzieciach i odwrócił swoje oblicze od wybranego przez siebie i ukochanego świata. Teraz już wiemy, że nie ma żadnego Boga, bowiem pozostawił dzieci swoje na pastwę złego losu. Ale tkwi w nas niezłomna wiara i nadzieja, że człowiek, genialne dziecko Natury, nie wszystkim jeszcze umarł! Trzyma nas przy życiu obowiązek - zemsta!

Zmartwychwstaniemy, odżyjemy i zażądamy zapłaty za krzywdę naszą, albowiem dzień ten jest już bliski.

A więc przygotujcie się matki, przygotujcie ojcowie i synowie, albowiem powiadam wam - czas ostatecznej zapłaty już nadszedł! Tak chłopcze... - zwrócił się do swojego syna mówiąc cicho: - No to w drogę... - I ruszył powoli w stronę pierwszego pojazdu przypominającego autobus gęsto opleciony grubą kratownicą, ze wzmocnionym podwójnie dachem, z gniazdem miotaczy na przodzie i karabinów maszynowych w tyle. Wszedł powoli do środka i zajął miejsce w głębokim fotelu. Czekający na zewnątrz w czarnych, długich

pelerynach Wędrowcy weszli zaraz za nim i bez słowa usiedli obok.

Mały chłopczyk, który kurczowo trzymał swoją matkę za rękę, spojrział na nią przelęknionym wzrokiem i zapytał:

- Gdzie są ściany tej ogromnej sali? – wskazał rączką okolice. - A gdzie sufit, mamuś? Boję się... - zakwilił cicho,

- Nie bój się, syneczku - rzekła matka prowadząc go do pojazdu pośród długiego szeregu innych kobiet z dziećmi. - Zaraz będziesz pomiędzy ścianami i sufit też będziesz miał nad główką...

- I nie wrócimy już do tej dużej sali?

- Nie, synku.

- Daj sygnał - powiedział Otto Kaznodzieja w pierwszym pojeździe, nie patrząc na syna.

- Niech ruszają. - Jego ciemna, pomarszczona twarz wyrażała smutek i przejmujący ból.

Kiro podszedł do kierowcy.

- Ruszamy, Tino.

Mężczyzna siedzący w fotelu wdusił nogą pedał i kiedy usłyszał głęboki, basowy pomruk silnika, pociągnął za zwisającą rączkę uchwyty sygnalizacyjnego. Rozległ się głośny i aksamitny dźwięk, do którego dołączyło po chwili pięćdziesiąt siedem innych, tworząc potężną i przejmującą do głębi pożegnalną kakofonię.

Kiedy ruszyli, tworząc zwarty, wielkości dwustu metrów czworobok, nikt z jadących nie obejrzał się za siebie, by pożegnać siedzibę, która dla większości stanowiła miejsce

urodzenia, dla innych - tylko przejściowe schronienie, ale tych było niewiele.

Potężny, dziesięciopiętrowy, okrągły, o promieniu stu metrów, blok mieszkalny, obwarowany wałami ziemi i wysokim murem, został opuszczony i patrzył pustymi, czarnymi oczodołami okratowanych okien na odjeżdżających.

Ciemny czworobok dziwnych pojazdów, których grzmiące silniki wprawiały w drżenie powietrze i podłoże, posuwał się powoli mając przed sobą pustą, szklistosiwą okolicę, a nad sobą - żółte niebo porysowane krwawymi pasami chmur.

Ponad półtora tysiąca istnień ludzkich grupy Otto Kaznodziei z nadzieją w sercach, z lękiem i strachem w oczach, próbowało zajrzeć w przyszłość, ale ta była dla nich nie odgadniona, mroczna i daleka jak daleka i niewiadoma była droga, na którą zdecydowali się wkroczyć.

Obsługi gniazd obronnych przeczesywały okolicę i z lękiem patrzyły w nieprzyjazne, ale spokojne - jak dotąd - niebo. Kierowcy z rękami na drążkach sterowniczych kontrolowali drogę i wskazania liczników. Coraz bardziej oddalali się od swojego domu, będącego już teraz czarną plamą zlewającą się powoli z takim samym, od niepamiętnych czasów, zwężonym podłożem.

I tylko Wędrowcy, siedzący nieruchomo w fotelach, patrzyli spokojnie w przyszłość, bo wiedzieli już, co czeka grupę u celu.

Skoczył.

Uderzenie nóg owiniętych szmatami odbiło się głuchym echem i zamarło gdzieś w głębi tego ni to tunelu, ni to korytarza, w którym się znalazł. Rozejrzał się wokoło i zszedł z platformy na posadzkę wyłożoną tak jak ściany, prócz sufitu, białymi kwadratowymi płytkami połyskującymi w mlecznym świetle.

Znalazł jego źródło. W suficie, co kilka metrów, rozlokowane były półkule, z których sączyła się ta mdła poświata; tylko nad sobą miał czarny prostokąt pustki. Patrzył tak chwilę w nią i zrozumiał nagle, co uczynił.

- Jak się stąd teraz wydostanę? - pomyślał szybko. - Ale ze mnie głupiec! - Usiadł na obrzeżu platformy i spojrzał w perspektywę korytarza zakręcającego w połowie odległości od niego w lewo.

- Żadnych drzwi - pomyślał - tylko dziwna, gładka ściana... A jeżeli tutaj zaczyna się już miasto? - przeraził się nagle. - Jeżeli za zakrętem czają się szczurołoty? Ech! - zachnął się zaraz. - Przecież dawno by tu były. Ale jak stąd wyjść? - Wstał i obszedł platformę; kopnął ją nogą, potem pchnął rękami. Nic, nawet nie drgnęła. - Trudno - stwierdził. - Trzeba iść i poszukać innego wyjścia.

Ruszył wolno przed siebie, zapominając zgasić latarnię. Panująca cisza, chłód i światło spływające z półkul wyzwały lęk. Wolałby już ciemności, pośród których czuł się lepiej.

Podchodził do zakrętu, trzy mając się cały czas ściany.

Będąc już przy łuku, ostrożnie wyjrzał - dalej korytarz był zamknięty ścianą. W niej zauważył dziwne drzwi. Podszedł do nich ostrożnie. Były metalowe i nie takie jak te napotykanego dotychczas. Zauważył, że nie mają klamki, tylko pośrodku nad jego głową, było duże koło. Stał przed tymi drzwiami nie wiedząc, co robić. Na dodatek poczuł głód i narastający lęk przed czymś nieznanym.

- Trzeba zawrócić - pomyślał. - Tędy nie przejdę. Metalowe drzwi bez klamki? Jak je otworzyć? - Dotknął zimnej obręczy koła i szarpnął - nawet nie drgnęło. Chwilę postać, mrużąc jakieś przekleństwa, po czym zawrócił. Doszedł do platformy, spojrzął do góry w czarny otwór, przez który tu skoczył, i bez namysłu ruszył teraz w prawą stronę korytarza. Droga była taka sama i kończyła się też ścianą i metalowymi drzwiami. Stanął przygnębiony i zrezygnowany. - I co dalej? - zapytał sam siebie. Odpowiedział mu żołądek, burcząc cicho. - Jeść! Ale skąd wziąć pożywienie? W ciepłej sali były jeszcze zapasy, ale jak tam wrócić? - Kopnął drzwi ze złością i pomaszerował z powrotem do platformy. Wszedł na nią i spojrzął w górę. Patrzył tak i rozważał: - Przecież ona sama tu nie spadła! Zaraz... Wlazłem na nią, a ona drgnęła i zaczęła chować się w podłodze... - Nagle zastanowił się:

- Przecież sama nie mogła się ruszyć, a więc co sprawiło, że tu spadła? I nie spadła, a zjechała wolno - poprawił sam siebie i krzyknął: - Pręt! Ten wystający, krzywy pręt! - Echo słów odbiło się po ścianach. Pędrak zamarł w bezruchu i skulił

się. - Pręt - powtórzył cicho, uradowany tym odkryciem. - Przecież chciałem na nim powiesić latarnię. Ależ tak! Wtedy go ruszyłem! No dobrze, tam był pręt, a tutaj? - Rozejrzył się wokół. - Tutaj nie ma nic takiego. - Zszedł z platformy, obszedł ją jeszcze raz i stanął, patrząc ze złością w górę. Potem usiadł pod ścianą, schował głowę między kolana mówiąc do siebie: - Nigdy stąd nie wyjdę... Zostanę tu na zawsze... - Na pewno... Enu! - przypomniał nagle. - I jej już też nie ujrzę! - Był bliski płaczu. Długo siedział w tym bezruchu, aż poczuł przejmujące zimno, podniósł głowę i spojrzął przed siebie wzrokiem pełnym bólu i rozpacz.

- Drzwi - pomyślał. - Metalowe drzwi bez klamki. Jeżeli to są drzwi, to musi być sposób ich otwierania.

Wstał powoli, poprawił wysuwający się zza pasa sztylet i szybko ruszył w stronę lewej części korytarza. Stanął przed drzwiami i wyciągając ręce nad głowę, złapał koło. Szarpnął je raz, potem drugi, wreszcie za następnym razem prawa ręka ześliznęła się z obręczy i... koło drgnęło. Wyczuł to. Zaraz zaczął nim kręcić w prawo tak długo, dopóki nie poczuł oporu. Ramiona bolały od wysiłku, więc opuścił je teraz.

- I co dalej? - zapytał sam siebie, stwierdzając, że drzwi nawet nie drgnęły. - I co z tego, że koło się kręci? - Czuł narastającą wściekłość. Złapał obręcz ponownie i szarpnął z całej

siły, skłonny wyrwać, gdyby tylko mógł. Nagle coś drgnęło. Jeszcze nie wiedział, czy były to drzwi, czy koło. Puścił je i patrząc na drzwi, stwierdził, że wysunęły się ze ściany minimalnie. Poczul w sobie nowy przypływ nadziei i energii. Natarł na nie odchylając na tyle, że powstała szpara pozwoliła zajrzeć do środka, ale tam, po drugiej stronie, była ciemność.

- A jeżeli tam się coś czai? - pomyślał nagle. - Coś, co czeka, żebym tylko wlaź?

Odwrócił się i ruszył biegiem po latarnię. Kiedy wrócił, dobył z pochwy sztylet - zdobycz z ostatnich penetracji zakamarków - ścisnął go w dłoń i wsuwając najpierw rękę z latarnią, wśliznął się przez szparę, czując jakieś dudnienie w skroniach. Spojrzał w lewo, potem w prawo, a następnie przed siebie, nie wyławiając z mroku nic, co by mówiło coś o otoczeniu, w jakim się znalazł. Podniósł latarnię wyżej, ale światło jakby słabło, bo oświetlało tylko najbliższe sąsiedztwo w odległości dwóch, trzech kroków. Ruszył wolno do przodu i w miarę jak oczy oswajały się z ciemnością, wyłowił jakiś kształt naprzeciwko. Kształt ten nie był duży, ale odbijał słabe światło latarni. Pędrak cofnął się do drzwi i naparł na nie plecami. Kiedy otwarł je na oścież, mdła poświata tunelu wlała się do środka pomieszczenia. Teraz podszedł bliżej i z zainteresowaniem patrzył na ten dziwny kształt błyskający siwawymi refleksami. Zbliżył się ostrożnie do niego, podnosząc latarnię wyżej. Przed sobą miał wizerunek jakiegoś stworzenia. Pierwsze skojarzenie, które mu się nasunęło było takie,

że jest to płaskorzeźba szczurolota. Stwór ten miał rozcapierzone jedno skrzydło, o ostrych końcach, jednak w niczym ono nie przypominało szczurolocięgo. Głowa też była inna: mała, z groźnym jednym okiem i zakrzywionym dziobem, z którego wystawał niewielki język. Dalej łuskowaty, owalny korpus i wychodząca z niego jedna niby noga z rozcapierzonymi palcami-szponami.

Pędrak patrzył na to stworzenie i nie wiedział, co przedstawia. Przypatrywał się wypukłemu wizerunkowi uważnie i nagle stwierdził, że stwór ten ma w ogóle jedną nogę i jedno skrzydło. Podeszedł bliżej z latarnią i im dłużej przyglądał się srebrzystej płaskorzeźbie, tym bardziej nabierał przekonania, że prawa strona ze skrzydłem i druga z nogą odpadły, bowiem obrzeża wizerunku były nierówne, jakby poszarpane. Spojrzał pod nogi w nadziei, że może znajdzie brakującą część i struchlał. Nawet nie zadziałał odruch, który kazałby odskoczyć. Zamarł i stał jak sparaliżowany wytrzeszczając oczy na białe kości leżącego pod ścianą kościotrupa - w czarnym podartym odzieniu.

Byłby wypuścił latarnię i sztylet, gdyby nie ta drętwota, która nim zawiądnęła. W pierwszej chwili chciał wrzasnąć, ale nie mógł dobyć głosu. Poczul tylko jeszcze większe zimno i coś lodowatego musnęło go po twarzy. Wzdrygnął się i z trudem oderwał wzrok od pustych, mrocznych oczodołów czaszki z dziwnym nakryciem. Zaczął wolno cofać się do

drzwi. Nagle zauważył kątem oka słabe, migotliwe światła wylaniające się z prawej strony ciemności. Doszły go też jakieś dźwięki, jeszcze słabe i dalekie, potem szeptane chóralnie sława, a na koniec dostrzegł pośród tych zbliżających się światel, wiele zwiewnych jakby falujących postaci, które prowadziła jedna, odziana na biało, trzymająca w wyciągniętych nad głową rękach migocącą gwiazdę.

Pędrak już nie czekał. Czuł, że mu w głowie coś za chwilę pęknie. Wydobywszy z siebie ryk przerażonego zwierza, rzucił się do ucieczki.

- Kultinak nie przybędzie. Przysłał Krzywego - powiedział Wikary, rozpinając zamek swojej szarej poplamionej peleryny sięgającej ziemi. Zrzucił kaptur zasłaniający jego nagą czaszkę i popatrzył na zebranych. - Nareszcie razem, co? - stwierdził udając radość. - Będziemy gadać do rzeczy czy znowu weźmiemy się za łby? - zapytał ze złośliwym błyskiem w oczach.

Rosły Bolko z Gór, brat Sępa, zmierzył go rozbawionym wzrokiem i powiedział:

- Cieszę się, Wikary, że jednak dałeś się namówić i przybyłeś ze swoimi zakonnikami. Szkoda, że nie ma Kultinaka, ale sama obecność Krzywego wystarczy. - Bolko rzucił szybkie spojrzenie w stronę zgarbionej postaci, wspierającej się na rurze wylotowej miotacza. - Występuję w imieniu brata i

myśle, że nie weźmiecie mu tego za złe, iż sam się nie zjawia.

- Dobra. Zaczynamy już - przerwał mu Krzywy, spoglądając ponuro spod krzaczastych brwi. - Szkoda czasu. Mów, Bolko, po co to nagle, alarmowe zwołanie? Dogadałeś się może z tymi parszywcami?

- Wiesz, że z nimi ciężko się rozmawia - zaczął brat Sępa, siadając na obszernym, wyciosanym z drewna krześle. - Będę mówił skrótowo. Jeszcze nie wiem, w co oni grają, ale wszystko niebawem okaże się jasne. Żeby sprawdzić, jak zareagują, zaproponowaliśmy im wspólny atak na bazę Ratowników. Odmówili. Nie są tym zainteresowani, bo - jak twierdzą - Ratownicy nic im złego nie zrobili!

- Jasne - syknął Wikary. - Diabeł przeciwko diabłu się nie zwróci!

Zaśmiali się wszyscy. Bolko mówił dalej.

- Oni twierdzą, że my doskonale wiemy, gdzie są statki, ale nie jesteśmy w stanie ich zdobyć.

- Bo co? - burknął Krzywy szybko.

- Bo nie damy rady.

- Komu? Tym parszywcom? - Krzywy parsknął krótkim, złośliwym śmiechem. - Zapomnieli Małą Czugę? W każdej chwili stać nas na to, by rozwalić ich i te Kamienne Wieże!

- Zgoda, ale co by nam to dało? - spytał Bolko.

Krzywy zaklął cicho, i powiedział:

- Nic, to fakt, ale niech nie pieprzą! Niech nie będą tacy pewni!

- Co się wściekasz? - wtrącił się Wikary. - Jasne, że możemy dać im łupnia w każdej chwili, ale wtedy sprawa statków się odwlecze albo też wcale ich nie dostaniemy.

- Ano właśnie - zauważył Bolko. - Pomyślcie spokojnie i logicznie. Spapralibyśmy całą sprawę!

- No już dobrze - mruknął Krzywy. - Szlag mnie trafia, kiedy o nich słyszę! O nich i tych diabłach - Ratownikach! I co dalej, Bolko?

- Im zależy na tych sześciu statkach, bo chcą się dostać na Drugą Stronę. Jaki mają w tym cel? Po pierwsze, zapewnili, że tę Stronę nam zostawią, a po drugiej chcą założyć swoje pierwsze państwo, no i żyć spokojnie. Ma nas dzielić Szklana Pustynia i łańcuch gór Molanzy Kany. To gwarancje bezpieczeństwa.

- Czy oni uważają nas za durni? - przerwał mu oburzony Wikary.

- Pustynia i góry gwarancją bezpieczeństwa? Przecież będą mieli statki!

- Tak, masz rację - wtrącił Krzywy. - Widzę tylko jedno wyjście. Zjednoczyć się jak najszybciej i zaatakować! Poświęcić miasto i wydusić ich pod ziemią! Nie ma miejsca dla nich na tej ziemi.

Bolko pokręcił głową.

- Wtedy przylecą Ratownicy, a teraz, kiedy jest względny

spokój, ich uwaga jest uśpiona. Totalna wojna ze szczurolotami odkryłaby powód. Wskazałaby przyczynę!

- A więc jakie mamy wyjście? - zapytał Wikary

- Mamy czas, aby się zastanowić. Fakt, że trzeba działać szybko, i to wspólnie, ramię w ramię, bez prywatnych interesów poszczególnych grup. Cel jest jeden! Nikt dokładnie nie wie, gdzie jesteśmy i gdybyśmy nagle zaatakowali Pałac, odwrócilibyśmy ich uwagę od Kamiennych Wież.

Krzywy obserwował uważnie Wikarego, a Bolko . kontynuował wywód:

- Sęp będzie nadal prowadzić z nimi rozmowy i zaprzeczy, że cokolwiek ma z tym wspólnego, von Sadov również, no a Otto Kaznodzieja nie wchodzi w rachubę. Kiedy uderzymy jako odrębna grupa, będą zaniepokojeni, bo siedlisko Uto-Khala jest w pobliżu. W tym czasie von Sadov wyśle im pilota pod warunkiem, że pozwolą sprawdzić stan tych statków. Zresztą sześć nam nie wystarczy. I dwanaście będzie mało! Jednocześnie z tymi działaniami inne grupy musiałyby być już zebrane w jednym miejscu, i to najbezpieczniej! A takim są tylko Górskie Dziury Kany!

Kiedy skończył mówić, spojrzał na nich oczekując reakcji.

- To niewykonalne - pierwszy odezwał się Wikary. - Zabraknie nam czasu! Jeżeli von Sadov da im pilota, to skąd

gwarancja, że nie zatrzymają go siłą? Nie zmuszą do wyjawienia tajemnic pilotażu? A co do zebrania wszystkich w jednym miejscu... Przecież wiemy doskonale, od jak dawna Wędrowcy agitują na rzecz zjednoczenia. No i co? Jakiego tego mają rezultaty? A co do Górskich Dziur... Kana się nie zgodzi.

- To go zabijemy - odezwał się spokojnie Krzywy. - Niektórzy przywódcy stoją na przeszkodzie zjednoczenia - mówił dalej, widząc, że są zaskoczeni. - A dlaczego? - wiemy. Sposób na to? Wystarczy ich po prostu zabić... a reszta przyłączy się do silniejszego!

- Jeżeli natychmiast nie pojawi się następca - zauważył Wikary. - Znamy te walki o sukcesję i pierwszeństwo!

- Znamy, znamy - powtórzył głucho Krzywy. - Ale nie to teraz jest najważniejsze. Plan Bolka jest dobry - zauważył - tylko trzeba dopracować go do perfekcji i działać ostrożnie. Ważne jest, że zgadzamy się w jednym: należy Kon-Kordzie odebrać Pałac. I to właśnie kazał mi przekazać Kultinak. A teraz powiem wam dlaczego. Otóż niedawno dowiedzieliśmy się od Aramusan, że Ojciec Damian pochowany jest w Pałacu!

Prawie, że wstali, usłyszawszy tę wiadomość. Krzywy ciągnął dalej.

- Żyją jeszcze tacy, którzy go dobrze pamiętają, ale jak dotychczas nikt nie wiedział, gdzie jest jego grób. Po wojnie ze szczurołotami, po tej całej zawierusze, wiele śladów zostało

na zawsze zatartych. Teraz znaleźliśmy! U Grubej Katarzyny zmarł Ojciec Dariusz. Przekazał wiadomość i pewien przedmiot dla Kultinaka. Jak wiecie ci dwaj rozeszli się bardzo dawno temu, bo ich poglądy były sprzeczne. Kultinak wierzył tak jak my w walkę, Ojciec Dariusz - nie. A więc jest zapisana wiadomość, którą Aramusanie, za pośrednictwem Wędrowców, dostarczyli nam, wykonując tym samym ostatnią wolę Dariusza. Dlatego Kultinak nie przybył, lecz wysłał mnie. Zresztą czuje się nie tak... Teraz powiem wam coś, przy czym wszystko inne jest nieważne. Musimy zdobyć Pałac, żeby znaleźć grób, bo w nim tkwi odpowiedź, gdzie jest Sztandar!

Stali i wpatrywali się w niego szeroko rozwartymi oczami.

- Nasza najświętsza relikwia! - wyszeptał Wikary. - I dopiero teraz o tym mówisz?!

- Czy to pewna informacja? - zapytał szybko Bolko, ochłonawszy po pierwszym wrażeniu.

- Pewna. Jak to, że sam tu jestem!

Zamilkli patrząc na niego w napięciu.

- Powiem wam coś jeszcze, czego nie wiecie. W ubiegłym tygodniu wróciły oddziały z dalekiego zwiadu - Krzywy mówił już spokojniej. - Przyniosły wieści spoza gór. Wiemy już, że Ożywiona Ziemia, o której mówili Aramusanie, to nie wymysł, ale prawda. Najprawdziwsza prawda! - Z satysfakcją patrzył na ich zaskoczone miny. - Teraz wiemy, dlaczego szczurołotom tak bardzo zależy na zdobyciu Górskich Dziur! - wykrzyknął i dodał:

- A co jest za Szklaną Pustynią, dowiemy się też, i to nie-
bawem!

Pierwszy raz widzieli Krzywego w takim stanie.

- Czy ktoś odważy się teraz powiedzieć, że jesteśmy prze-
graną rasą? - zawołał jeszcze, a kiedy nic nie mówili, powie-
dział cicho: - Damy radę. Odzyskamy wszystko, a potem... -
Ledwo uchwytyny cień rozmarzenia przemknął przez jego su-
rową, ogorzałą twarz.

- A potem?. - podchwycił Bolko z jakimś niepokojem w
głosie.

- A potem - westchnął Krzywy - kiedy odzyskamy straco-
ne chwile, czas zacznie już pracować dla nas.

- To do dzieła! - dorzucił rosły zakonnik. - Tak, by zdążyć
przed żarem i Czarnym Deszczem, bo nadchodzi jego pora!

- To jest nam na rękę - zauważył Krzywy, mrużąc zagad-
kowo oczy.

- Bałam się - mówiła Enu szybko. - Przychodziłam tu
dwa razy dziennie i myślałam już... Och, że cię zabili!

Dotknął ręką jej ramienia i opowiedział wszystko.

- Nie mam pojęcia, jak wyszedłem z tego korytarza - do-
dał na koniec. - Jak dostałem się na górę przez otwór i w ogó-
le, jak trafiłem z powrotem. Nigdy już nie pójdę w tamte stro-
ny! Dobrze, że mam sztylet i latarnię, choć świeci coraz słabiej.
Ale najważniejsze - dodał zaraz - jest to, że mam nowe

buty! I nie szkodzi, że są za duże.

- Zobacz, ile naznosiłam pudełek - wskazała ręką stertę puszek. - Teraz już nie będziesz musiał martwić się o pożywienie.

- Widzę, Enu. Dużo tego. Jak ty to uniosłaś? A nie miałaś z tym kłopotów?

- Nie - machnęła ręką. - Wartownicy są zadowoleni, bo dostali to, co lubią, a zaniiosłam tyle, że zrobili też zapasy - zachichotała cicho. - Mogę teraz chodzić po pudełka, kiedy tylko zechcę.

- Weźmiesz mnie z sobą? - zapytał nieśmiało.

- Nie wiem, Pędrak, nie wiem. Boję się... Teraz dużo u nas mówią o was i jest wielkie zamieszanie. Uto-Khal czeka na jakąś grupę bardzo ważnych ludzi - dodała przejętym głosem i zamilkła nagle jakby powiedziała za dużo.

Niemożliwe! - zdziwił się. - Ludzie mają przyjść do Uto-Khala? Ale po co? Przecież wiesz, jak my... - urwał i poprawił - ... jak oni żyją z wami.

- Nie wiem, po co przyjdą - powiedziała - ale wszyscy są bardzo nerwowi. Nawet Przełożona... - urwała.

- Co? - podchwycił.

- Eee, nieważne...

- Powiedz - nalegał, a kiedy nie odzywała się, mruknął: - Nie masz do mnie zaufania...

- To nie to! - zareagowała gwałtownie. - Przełożona... Ja już tam nie jestem od dwóch dni! - wyrzuciła z siebie nagle. - Gdzie mam teraz iść? - zakwiliła cicho. - Ona zbiła

mnie i gdybym nie uciekła, to...

Wyprostował się raptownie.

- Za co? - podniósł głos.

Nie odpowiedziała. Widząc, jak siedzi skulona, mruknął cicho:

- Nie martw się, Enu. U mnie jest dużo miejsca. Mamy też jedzenie, a jak nam zabraknie, to pójdziemy razem tam, skąd je przyniosłaś.

- Boję się, Pędrak - szepnęła zdławionym głosem. - Powiedz, za co oni tak mnie... tak... - szukała odpowiedniego określenia, a kiedy znalazła, powiedziała: - ... tak nienawidzą? Przecież nic nikomu nie zrobiłam. A że moja sierść jest inna?

- Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Czuł w sobie złość. Złość na wszystko.

- Twoja sierść jest piękna - wypowiedział to zduszonym głosem. - Za to nienawidzą cię najbardziej. Bo zazdroszczą! Bo... Bo nie mogą takiej mieć! - wyrzucił jednym tchem i zaraz spytał: - A mnie za co nienawidzą? Sam też nie wiem! - Chwilę milczał, potem odpowiedział sobie: - Bo też jestem inny. Ale nie mogę pojąć, za co ta nienawiść. Zamiast żyć spokojnie, w zgodzie - urwał, by po chwili ciągnąć dalej. - Dla nich wszystko, co jest obce, to jest złe. Inny człowiek - wróg! I szczurołot też, bo obcy, inny! - podkreślił z naciskiem. - A tu tyle miejsca - zatoczył ręką koło - że dla każdego wystarczy.

- Tak masz rację - odpowiedziała cicho i dodała:- Ale dla nas nie ma...

Spojrzał na nią szybko.

- Nie ma? - zastanowił się. - Nie. Gdzieś na pewno jest i my je znajdziemy - zakończył twardo. Wstał, pozbierał blaszane pudełka do dużego worka, potem zarzucił go sobie na plecy i wyciągnął rękę do Enu.

- Chodź - powiedział.

Podając mu łapkę, ruszyła razem z nim bez słowa sprzeciwu.

Szedł kołysząc się na krzywych nóżkach, przytłoczony ciężarem, ona drepcząc z boku, rzucała na niego ukradkowe spojrzenia pełne nadziei.

Niebo zaciągało się coraz bardziej krwawymi smugami. Zza dalekiego horyzontu nadchodziło ciche dudnienie przesłonięte jak złowrogi pomruk budzącego się gdzieś niewidzialnego stwora.

Nie mieli więcej do pokonania niż pięćset metrów pochylego zbocza. Teraz obserwowali to dziwne, długie wzgórze ciągnące się w prostej linii. Jego koniec ginął gdzieś w dalekich mgłach.

Wzgórze było bardzo wąskie i uformowane prawie że na granicy ze Szklaną Pustynią, której powierzchnia błyszczała złowrogo. Dalej nie było już nic, albo tylko śmierć. Obserwowali wzniesienie: przed dużym czarnym wejściem, widniejącym w jego boku, poruszały się jakieś sylwetki. Takie same

zauważyli na ścianie frontowej - coś tam robiły. Postaci przy wejściu kręciły się wokół małych prostokątnych pojazdów. Bury zebrał wszystkich i powiedział:

- Kana kazał z nimi zrobić taki sam porządek jak ze szczurolotami, ale wydaje mi się, że nie mamy rady, bo jest ich cała masa! Sam zliczyłem chyba z setkę... Wyznacz trzech zwiadowców - zwrócił się do Bugi - niech zejdą do nich. Daj im białą flagę, żeby tamci wiedzieli, że mamy pokojowe zamiary, bo gotowi jeszcze strzelać! Jeżeli mają pojazdy, to na pewno mają i broń. Trzeba to wszystko dokładnie sprawdzić. My w tym czasie zajmiemy odpowiednie pozycje i będziemy ich osłaniać. Czy zbadano już pobliski teren?

- Tak - odpowiedział mu Ryba.

- No i co? Nie ma przypadkiem tych parszywców z piekła rodem?

- Nie zauważono.

- Mogą się ukrywać, diabły, ale myślę, że nie odważyłyby się zaatakować. Zresztą gdyby nawet były, to dobrałyby się wpiern do tych w dole.

- Uważam tak samo - wtrącił Wielki Buga.

- Dobra. Ruszamy.

Schodzili powoli i ostrożnie, chowając się za skalne złomy, ustępy, nisze i rozpadliny. Posuwali się naprzód, uważnie obserwując tamtych.

- Sporo ich jest - mruknął Buga, kiedy zatrzymali się i ukryli za dużymi blokami, mając już przed sobą jakieś trzysta metrów odkrytej równiny.

- Nie wiadomo, ilu jeszcze siedzi w środku - dodał Ryba.

Bury doczołgał się do nich i przyłożył dużą lornetkę do oczu.

- Jacyś dziwni - mruknął i zapytał zaraz: - Czy to czasem nie są Jednakowi?

Ryba drgnął na dźwięk tego słowa.

- Identycznie są ubrani... - szeptał Bury pod nosem.

- Jeżeli to są Jednakowi - zauważył Buga - to nie mamy się czego obawiać. Oni nas nie zaatakują. A jeżeli tu są, to na pewno zatrzymali się, by odpocząć, a potem - założę się - ruszą dalej.

- Jesteś tego pewien? - zapytał Bury. Był zdenerwowany i nie wiedział, jak postąpić.

Wielki Buga spojrział na niego, zobaczył pobladłą twarz, i kręcąc głową, powrócił do obserwacji.

- Wielkie chłopy - mruknął jeszcze. - Nie chciałbym takiego spotkać w walce.

- A kto tu mówi o walce? - obruszył się Ryba.

Bury oderwał wzrok od lornetki i zdecydował:

- A może nie ryzykować, tylko wycofać się? Wyślemy zwiadowców, a jeżeli tamci ich zaatakują?

- Niemożliwe! Pójdę z nimi - oznajmił Buga.

- Jeszcze nie gadałem z Jednakowymi.

- Nie wiem, jak postąpić - kręcił głową Bury.

- W końcu ty tu decydujesz - zauważył Ryba.

- A nie po to męczyliśmy się, żeby teraz zrezygnować i wycofać się.

- Idź, jak chcesz - powiedział Bury. - I pamiętaj: o nich różnie się mówi.

Ryba poczuł dziwne mrowie wędrujące mu po plecach. Przypomniał sobie nagle Szustina i jego dziwne słowa, które wypowiedział przed śmiercią.

- Pieprzysz Bury! - powiedział ostro.

Buga spojrział na niego ciekawie.

- Dziwni są - mówił Ryba - to fakt, ale nie mniej dziwni i zagadkowi niż Wędrowcy, a tych przecież znasz, bo Kana ma przy swoim boku jednego. Wiemy wszyscy, co o tych ostatnich się mówi. Ile bzdur i legend o nich krąży. Ale to są ludzie! I ostatni z najmądrzejszych - dodał ciszej.

Bury oderwał wzrok od lornetki i zmierzył Rybę powłóczytym spojrzeniem.

- A skąd wiesz, że Kana trzyma u siebie jednego Wędrowca, co? - zapytał podejrzliwie. - I czemu tak nagle wzięłeś Jednakowych w obronę?

Ryba chciał się odciąć, ale Buga zameldował, że ruszają. Podniósł się ciężko zza głazu, machnął ręką na trzech stojących z boku zwiadowców, poprawił ogromny karabin przewieszony przez ramię i wkładając między zęby długie cygaro, mruknął do Ryby:

- Życz mi powodzenia.

- Połam nogi!

- Żeby cię skreśliło!

Ruszyli.

Wielki Buga kroczył dostojnie, obserwując tamtych w dole, i rzucał od czasu do czasu zdawkowe uwagi zwiadowcom idącym po jego bokach. Sięgali mu ledwie do ramion, choć

sami również nie należeli do ułomków.

- Czyżby jeszcze nas nie zauważyli? - dziwił się Buga, kiedy pozostało im nie więcej niż sto metrów drogi.

- Na pewno nas widzą - mruknął zwiadowca z flagą. - Stwierdzili, że jesteśmy ludźmi, więc się nie chowają. Zresztą Jednakowi nikogo się nie boją. Tak słyszałem...

Nagle powietrze przed nimi przeszył długi gwizd, a z góry spadły, na krzątających się przy pojazdach, strzały.

Wielki Buga zorientował się błyskawicznie w sytuacji. Zawył przeraźliwie, widząc szybujące szczuroloty i nie czekając na resztę, ruszył do ataku. Zauważył, jak Jednakowi zaskoczeni nagłą napaścią kryją się w wielkim, mrocznym wejściu wzgórza, pozostawiając za sobą dwóch lub trzech trafionych.

Potężny karabin Bugi zagrzmiał basowo, a spadające ciała szczurolotów uderzały głucho o podłoże.

Walka była krótka. Parę szczurolotów zorientowawszy się z kim mają do czynienia, próbowało ratować się ucieczką, ale trafione kulami zwiadowców, spadły gdzieś, trzepocząc słabo błoniastymi skrzydłami.

- Dobijcie je! - wrzeszczał Buga. - Żeby mi się żaden nie uchwiał!

Zwiadowcy ruszyli biegiem w tamtą stronę. Buga obejrzał

się za siebie, skąd nadbiegała już reszta. Stanęli przy nim i rozejrzeli się wokół.

- Skąd ci zbóje tu się wzięli? - zapytał Bury, próbując unormować oddech.

Ryba zapalał cygaro i klnąc szpetnie na czym świat stoi, kaszłał długo.

- To chyba jakaś zabłąkana i niewielka grupa - myślał głośno Buga, potem odwrócił się w stronę wzgórza i zanie-mówił nie mogąc dojrzec otworu wejściowego. - Co jest?! - wrzasnął. - Oni się zamknęli! Hej, wy tam! Wyłażcie! Nic wam już nie grozi! - Po chwili spokojnym głosem: - Dziwne, żeby Jednakowi zwiali tak bez walki.

W tym czasie Bury i Ryba przyglądali się najbliżej leżą-cym.

- Wielki chłop - zauważył Ryba. - Może jeszcze żyje? - Pochylił się, przewrócił leżącego na wznak i odskoczył zaraz z przestraczem.

Bury spojrzał zaskoczony i też cofnął się o krok.

- Co jest, Ryba? - zapytał szybko.

- Przecież... Przecież to... To nie jest Jednakowy! - wy-krztusił z siebie.

Buga słysząc to, podszedł szybko.

- Co ty pieprzysz, Ryba?! - krzyknął z irytacją.

- Wiem, co mówię!

- Spokój! - teraz krzyknął Bury, a zwracając się do Ryby zapytał: - Znałeś ich? widziałeś? że tak twierdzisz.

- Znałeś! Widziałeś! - mrucał Ryba, wpatrując się w łuskowatą twarz leżącego, w ciemne punkty małych oczu i ledwo widoczne otwory nosowe.

- Znałem Jednakowych i widziałem jednego z nich. Tylko jednego! Był nim Szustin! - wyrzucił z siebie nagle.

- Co takiego?! - Wielki Buga zaniemówił.

- Biedny Szustin, nasz dowódca, Jednakowym? - zapytał, rozdziawiając gębę. Spojrzał teraz na Burego z marsową miną. - Jaki z ciebie szef zwiadu? - spytał. - Ryba wie o tym, a ty nie?

Bury spojrzał na niego z ukosa.

- Nie wiem - zaczął trochę przestraszonym głosem - ale słyszałem, że Kana poszukuje takich, którzy znali, bądź też znają Jednakowych albo wiedzą, jak do nich dotrzeć.

- Tak? - zapytał przeciągle Buga. - A po co mu oni?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia!

- A znalazł już takiego pośród nas?

- Tego nie wiem!

- Nie wiesz? - kpił Buga. - Nie wiesz, po co Kanie Jednakowi? Ty, szef zwiadu? Tfu! - splunął w bok.

Ryba stanął między nimi i powiedział:

- Uwierz, Bury. Szustin był naprawdę Jednakowym. Kiedy został trafiony strzałą i nie zdążył jej wyrwać... - urwał. - Byłem świadkiem, jak umierał! Wtedy mi powiedział. To było dla mnie takim samym zaskoczeniem jak teraz dla ciebie.

- Wierzysz mu? - zagrzemiał Buga. - Bo ja tak!

- Wierzę - Bury się przestraszył. - A... A nie powiedział ci, gdzie ich szukać?

Ryba zaprzeczył ruchem głowy. Otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale zawahał się i zrezygnował.

- No to wiemy wszystko - powiedział Buga, odwracając się w stronę wzgórza. - W takim razie kim oni są? Do diabła! Co to za dziwaczne stwory? Ale gęby takie jakieś... inne i nie nasze.

- Musimy to zbadać - oświadczył Bury i krzyknął w stronę zwiadowców: - Miejcie na nich oko! - A do zarysowującego się otworu w ścianie: - Hej, wy tam! Nie bójcie się! Możecie wyjść! Pomachaj im flagą - rzucił do zwiadowcy w tyle.

Po dłuższej chwili kwadratowe zamknięcie w ścianie drgnęło i zaczęło powoli się opuszczać w dół. Kiedy opadło na podłogę, utworzyło rodzaj pochylni. Patrzyli na to zaskoczeni, bowiem ta potężna kłapa, która drgnęła i odsłoniła mroczne wejście, błyszczała od wewnątrz metalową poświatą.

- Ki diabeł?... - mruknął Buga, zaciągając się nerwowo cygarem. - Metalowa kłapa w ścianie góry? - pytał sam siebie, przestępując z nogi na nogę.

Ryba patrzył w otwór z przejęciem, a Bury obracał przygasające cygaro w zębach.

- Teraz mają nas jak na dłoni - zauważył któryś ze zwiadowców.

Buga poczuł się nieswojo, bo to była prawda. Nie wiedzieli

z kim mają do czynienia. Zebrał się w sobie i krzyknął:

- No, dalej, wyłaście! - Bardzo wolno, nakazując sobie spokój, położył prawą dłoń na kolbie karabinu. Palce poszukały przycisku spustu.

W otworze ukazały się trzy postacie ubrane na ciemno i w błyszczących hełmach na głowach.

- Idą! - rzucił podnieconym głosem Ryba.

- Tylko spokojnie. Tylko spokojnie - powtarzał Bury. - I bez nerwów... - uspokajał siebie.

Tamci schodzili wolno z pochylni. Ich szare kombinezony nabrały w świetle dnia srebrzystej barwy.

- Niby Jednakowi - zauważył Ryba - a nimi nie są...

Byli już w połowie drogi od grupy Burego i zatrzymali się nagle.

- No i co dalej? - zapytał cicho Ryba.

- Nie są uzbrojeni - zauważył Bury i jakby odetchnął.

- Zdaje się, że mają tak samo pietra jak my - mruknął Wielki Buga. - Tylko że ci w środku mogą do nas celować, diabli wiedzą z czego. Idziemy! - zdecydował nagle.

- Gdzie?! - przeraził się ktoś w tyle.

- Do nich! Przecież widzicie, że stoją jak wryci! Dalej! - powiedział rozkazującym tonem i ruszył wolno przed siebie, obserwując tamtych. Stali nieruchomo. Usłyszał, że Ryba i Bury idą też za nim i poczuł się raźniej. Będąc od nich nie

dalej niż dziesięć kroków, wyciągnął ręce przed siebie i powiedział siląc się na spokój:

- Witajcie! Kim jesteście i skąd przybywacie?

Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, podszedł bliżej i powtórzył:

- Kim jesteście?

Stojący w środku poruszył wolno ręką, podniósł ciemną szklaną osłonę swojego hełmu, odsłaniając łuskowatą twarz, i powiedział coś, czego Buga nie mógł zrozumieć; usłyszał tylko głos Burego:

- Do diabła! Nie dogadamy się z nimi! Jakim językiem oni mówią?

Buga był niezmordowany.

- Czy możesz mi powtórzyć, przyjacielu, to, co powiedziałeś? - zapytał.

Tamten powiedział coś szybko, wyciągając rękę do góry, potem opuszczając ją, wskazał ziemię.

- Oni nie są stąd - stwierdził Buga i rzekł do nieznanego: - Nie potrzebujecie się obawiać tych latających zbójów; nie ma ich i już nie nadlecą.

- I zaraz dodał bezradnym głosem niby do siebie:

- Jak tu z nimi gadać? Pierwszy raz mam do czynienia z takimi... - i nagle urwał, by z wielkim przejęciem zapytać: - A może oni przeszli Szklaną Pustynię?

- Zwariowałaś - jęknął Bury.

Nieznajomy w srebrnym kombinezonie zrobił dwa kroki do przodu, stanął przed Wielkim Bugą, który przy nim wcale nie był wielki, i wskazał ręką na cygaro. Mściciel zaśmiał się cicho.

- Zdaje się - powiedział - że dawno nie paliłeś. Masz, brachu, zakurz sobie! Nie mam nowego. – To mówiąc, wyjął z ust cygaro i podał je przybyszowi. Ten obejrzał je dokładnie i włożył powoli w wąski otwór ust. Zaciągnął się parokrotnie i pokiwał głową jak gdyby z uznaniem.

Ryba również wyjął z kieszeni skórzanej kamizelki cygaro i wyciągnął je w stronę jednego z tych dwóch pozostających w tyle. Nieznajomy podszedł i wziął je bez wahania; włożył między szerniałe zęby i przyjął podany ogień. Trzeci zbliżył się także i podał Buremu trzymany w palcach cienki biały walec.

Bury już miał wziąć podarek, ale Buga trzepnął go w rękę z uśmiechem na twarzy i przyjął biały przedmiot, oglądając go uważnie. Kiedy zobaczył przed sobą mały drgający płomień - zrozumiał. Włożył to dziwne cygaro do ust i przypalił.

Bury przełknął ślinę i nic nie powiedział; stał skołowaciały i z trudem nadażał za biegiem wydarzeń.

- Jest dobrze - stwierdził Buga i dodał, z białym cygarem w zębach: - To nic, że gadacie inaczej niż my. Myślę, że gdybyśmy mieli czas, dogadalibyśmy się szybko.

- Jeżeli zechcą pozostać - zauważył Ryba.

- Wątpię, żeby im Kana pozwolił - wtrącił Bury, chcąc przypomnieć, że to on tu jest dowódcą.

Nie zwrócili na niego uwagi.

- Musimy się dowiedzieć, kim są -: zdecydował Buga.
- To nieważne! - uciął Bury. - Rozkaz Kany jest jasny! Szczurołoty, Ratownicy ani obcy ludzie nie mają prawa przebywać w granicach Górskich Dziur. Przykro mi...
- Głupi jesteś, Bury! - skwitował sprawę krótko Buga. - Powiedział ci to już Ryba i ja ci też mówię! Kana jest już stary, a jego kumpel Janowitz - zidiociał! Zakazy były dobre kiedyś.

- Co?!

- Stul pysk, bo działasz mi na nerwy! Trzeba się dowiedzieć, kim są, skąd przybyli i co chcą tutaj robić? Nie widzisz, że mają pojazdy? Nie widzisz, ilu ich jest? A w środku może być ich z dwustu, trzystu albo i jeszcze więcej. Nasze Dziury wzmocniłyby się, bo to chłopy jak się patrzy! Nie kapujesz, jak bardzo te pojazdy przydałyby się nam i gdyby ten stary osioł, Kana, dowiedział się, że zlekceważyłeś sprawę.... - Buga roześmiał się głośno. - Wrócisz, bałwanie, i zdasz mu relację, a my z Rybą zostaniemy i spróbujemy się z nimi dogadać. Myślę, że jakoś nam się uda.

Bury był błądy i z trudem hamował wściekłość. Po chwili opanował się i zapytał: - A jak chcesz z nimi się porozumieć, mądralo?

- Skąd jesteście? - zapytał Buga tego, który stał przed nim, pokazując na niego palcem.
- Czuni. - Usłyszał głęboki, gardłowy głos.
- Czuni? Czuni! Nazywa się Czuni! Wspaniale!

Ja jestem Wielki Buga - wskazał na siebie i powtórzył: - Buga.

- Buga - powtórzył nieznajomy.

Mściciel spojrział na osłupiałą twarz Burego triumfująco i mruknął:

- No i co, baranie? Dogadamy się czy nie? - Odwrócił się do swojego rozmówcy i klepnął go w ramię, mówiąc: - Fajny z ciebie chłop!

Reakcja przybysza była taka sama. Kładąc swoją rękę w czarnej rękawicy na ramieniu zwiadowcy, powiedział:

- Buga. - Jego małe oczy zapaliły się jasnym blaskiem.

- Czuni.

- I jest ich dużo, bardzo dużo - mówiła cicho Enu, leżąc na ciepłej posadzce i wpatrując się w szary sufit. - Stoją obok siebie w długich szeregach, łączą się z sobą, ale bywają też takie rozdzielone, a nawet oddalone od siebie. Pomiędzy nimi są czarne przepaście, gdzie nie widać dna. A wszystko zaczyna się od ziemi i nie rozumiem, dlaczego ludzie budowali takie wielkie miasta pod nią, a nie na jej powierzchni?

Pędrak leżał obok z głową wspartą o ścianę. Kiedy prze-rwała, zapytał:

- Opowiesz mi jeszcze, co jest w tych domach? Słyszałem, że kiedyś, dawno temu, ludzie budowali miasta na powierzchni i sam już nie wiem, ile w tym prawdy, ale tak

słyszałem... No, a chociażby ten Pałac - co to za ogromny dom! Ile w nim komnat, sal, korytarzy, najprzeróżniejszych tuneli i innych pomieszczeń, w których żaden człowiek nie był i chyba nie będzie. Wiesz - dodał szybko - podobno na samym szczycie jest taka sala, z której widać tę Stronę Świata, ale tam też jeszcze nikt się nie dostał, bo cała góra zajęta jest przez roślinę. Ona nikogo nie przepuści, ale mnie tak - zakończył dumnie i dodał: - Przyjaźnimy się i nigdy krzywdy mi nie zrobiła.

- A w tych domach - zaczęła Enu - jest wiele małych pomieszczeń i dużo różnych przedmiotów. Jedne znam, inne nie, ale są takie, które przydałyby się tutaj.

- Tutaj? Jakie? - spojrzał na nią.

- Krzesła, stoły, łóżka, naczynia...

- Krzesła, stoły, łóżka...- powtarzał mechanicznie. - I naczynia? W Pałacu też są. Ale po co nam to? - zapytał. - Przecież mamy tu gdzie siedzieć, no i spać. Enu? - uniósł się na łokciu. - A czy tam są lampy, które świecą?

- Są - odpowiedziała - ale też nie wszędzie.

- Powiedz, jak to jest, że ona świeci? - wskazał głową na latarnię, z której sączyła się słaba poświata. - Kiedyś dawała jasne światło, aż bolały oczy, teraz coraz słabsze.

- Nie wiem, Pędrak, nie rozumiem tego. Świeci. Światło zawsze świeci. Może ono żyje tak jak my, a kiedy świeci coraz słabiej, to umiera... też jak my.

- Może - mruknął. - Posłuchaj: nieraz, kiedy niebo jest ciemne, widać na nim jasne punkty. Łowcy mówią, że to gwiazdy, Aramusanie wierzą, że one żyją. Słońce też podobno stale świeci, nawet wtedy, kiedy go nie widać. A jak myślisz - umrze kiedyś?

- Chyba umrze. Nie wiem, Pędrak. Nie wiem...

- Wiesz, jak jeszcze ciebie nie znałem, widziałem kiedyś na niebie dwa ogromne światła. Leciwały wysoko i zniknęły gdzieś daleko. Całe były złote i czerwone i gwizdały tak, że musiałem zatykać uszy... Później nie widziałem ich już nigdy więcej. Wiele razy, kiedy siedziałem sam nad dziurą, patrzyłem na niebo i czekałem mając nadzieję, że jeszcze wrócą, ale już nie nadleciały. Szkoda, były takie piękne. Długie i ogromne, złote i czerwone.

- Nie widziałam takich światel - westchnęła - ale widziałam inne, małe, spadające z nieba i błyszczące jak ogniste iskry. To też było piękne... Pędrak, zawsze chciałam cię zapytać, ale zapominałam: dlaczego ludzie noszą ciemne zasłony na oczach, kiedy wychodzą poza Pałac?

- Skąd wiesz?

- Wiele razy ich widziałam. Szczuroloty czegoś takiego nie noszą i ty też nie?

- Ludzie boją się choroby, która atakuje oczy.

- Co to jest choroba?

- Choroba? - zastanowił się. - To coś niewidzialnego. Jak zaatakuje, wtedy człowiek jest chory i robi się słaby, potem umiera.

- I umiera! - przeraziła się. - A dlaczego jej nie widać?
- Nie wiem, Enu, nie wiem...
- Ale ty się jej nie boisz, prawda?
- Nie, nie boję.
- A kim są ci o zielonych włosach?

Parsknął cicho.

- To Aramusanie. Na ich głowach rośnie taka roślina i oni są z tego bardzo dumni. Tak mi kiedyś powiedzieli. Zresztą to jedyni ludzie, którzy nie zrobili mi nigdy krzywdy. Trochę dziwni, ale dobrzy.

- Wiesz, tak myślę sobie, że są dobrzy ludzie i są źli, i że ludzie to jest dziwna i niezrozumiała rasa. Jedni chcieliby żyć w zgodzie, inni znowu chcą zabijać, nie tylko nas, ale innych ludzi także. Nie rozumiem tego, Pędrak. Powiedz... A najgorszy jest podobno człowiek, na którego mówią Wuk. Nie słyszałeś o nim nigdy?

Nie widział, że utkwiała w nim pełne napięcia i wyczekiwania spojrzenie. Milczał chwilę, po czym odrzekł cicho:

- Też zabiłem... A tamtego nie znam i nic o nim nie słyszałem.

- Szkoda... Ale ciebie napadnięto, a to już jest co innego, kiedy bronisz swego życia. A w Pałacu nie słyszałeś coś przypadkiem o tym Wuku?

- Nie słyszałem. Coś ty się do niego przyczepiła?

- Nie, już nic... Nieważne... To wszystko takie trudne do pojęcia. Mówią, że ludzie żyli kiedyś w miastach. To dlaczego

opuścili je i błakają się tylko po powierzchni?

- Nie wiem, Enu. Może kiedyś do nich wróca.

- Ale przecież tam żyjemy my! A więc jak to będzie?

Znowu bitwy, rzezie, wojny? Szczuroloty nie opuszczą miasta!

Pędrak spojrział na nią i milczał.

- U nas słycać tylko jedno - mówiła dalej - i wpajają to każdemu od najmłodszych lat: „Człowiek to zdradziecka rasa. Nie wierz mu, a jak się zdarzy, że go spotkasz na swej drodze, to uciekaj albo... zabij! Zabij, bo inaczej on zabije ciebie!” Dlaczego tak jest? Dlaczego tak ma być?

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- Ludzie - zaczął cicho - powtarzają też to samo o was. Mówią ciągle: „My byliśmy i jesteśmy władcami tego świata i pozostaniemy nimi”. Przecież świat jest taki duży i pomieściłby wszystkich.

- Wiem, że Uto chce opuścić miasto i wyruszyć poza góry. W tym celu właśnie mają przybyć na rozmowy ważni ludzie.

- Wiesz, Enu - zaczął - ja nie wierzę w to. Ty byś opuściła miejsce, gdzie jest wszystko? Gdzie jest tyle pudełek z jedzeniem?

- Nie - przyznała. - I dlatego mnie to dziwi.

- A jak Uto zechce się dostać poza górskie szczyty lub przejść Pustynię?

- Nie wiem. Słyszałam, że dużo będzie zależało od tych ludzi.

- Dziwne. Bardzo dziwne.
- Wiesz, zawarto nawet układ.
- Jaki układ?
- Uto-Khal zakazał szczurołotom napadać na ludzi, a i ludzie powiedzieli, że także nie będą tego robić. Podobno chcecie się zjednoczyć i zamieszkać w jednym miejscu.
- Pierwsze słyszę. Układ? Nie do wiary! No i gdzie mielibyśmy mieszkać?
- Tego nie wiem. Tyle podsłuchałam podczas pracy. Przełożona tak mówiła.
- Pędrak długo nad czymś myślał, wreszcie odezwał się.
- Jak znam tych z Pałacu, to wiem, że stąd nigdzie się nie ruszą. Tu Kon-Kordzie jest najlepiej, a Trzy Karuzele, to niewyczerpalne miejsce, gdzie jest tyle żarcia, co i tam u ciebie. Więc gdzie mieliby się wynieść?
- Nie wiem, Pędrak. Mówię, co słyszałam. A co będzie, jak naprawdę wszyscy się wyniosą? Co zrobimy wtedy?
- My? Co będzie z nami? - podniósł głos. - Będziemy mieli Pałac! Calusieńki! Dla nas dwojga! Chyba... - urwał nagle.
- Co takiego? - zapytała.
- Chyba, że powrócą Jednakowi. Uniosła głowę i spojrzała na niego uważniej.
- Jednakowi? Kto to taki?
- Prawowici władcy Pałacu. Tak powiedział mi kiedyś jeden Aramusan, a Kon-Korda jest tu tylko zarządcą. Moja

matka też mi to mówiła. Jej również nie lubili, bo nie bała się rośliny.

- Twoja matka? Powiedz, Pędrak, jaka ona była?

- Była piękna, no i bardzo dobra... - powiedział rozmazonym głosem. - Dokąd żyła, nikt nie ośmielił się mnie ruszyć. Potem, kiedy umarła... Ech, czy musimy o tym mówić?

- No, a kto cię nazwał Pędrak? Matka?

- Matka, ale nie mówiła Pędrak, lecz Pędraczek.

- Ładnie, bardzo ładnie - szepnęła i dodała: - Obiecałeś kiedyś, że mi powiesz, co to znaczy?

- Pędrak? - zastanowił się i zapytał: - A czy muszę?

- Nie, jak chcesz...

- No, bo widzisz, ci z Pałacu mówią na mnie „ty, poczwaro”, a więc Pędrak, znaczy tyle, co poczwara.

- A poczwara? Co to jest poczwara?

Wzruszył ramionami i powiedział:

- Pędrak.

- Pędrak - powtórzyła sennym głosem. - To brzmi ładnie.

Nie odzywał się i ona też milczała, choć już wiedział, że powoli zasypia. Patrzył w sufit, potem wyczuł nagle, że prócz nich jest tu ktoś jeszcze. Zauważył starca; znowu wzywał go kiwaniem ręki.

- Nie, nie, nie! - rzucił w jego stronę przytłumionym głosem. - Zbyt drogo kosztowała mnie ostatnia wycieczka. Nie

nabierzesz mnie już więcej. O mało co zginąłbym! Idź do diabła! - Podniósł się na łokciu, spojrzął na śpiącą Enu i szepnął w stronę zjawy: - Widzisz ją? Teraz mam z kim gadać i nie jestem sam. Znalazłem przyjaciela. Nie mam po co łązić gdzieś, skąd nie ma wyjścia i jest strasznie. Chcesz, to idź tam sam, a mnie daj. spokój!

Starzec patrzył szklanym wzrokiem, potem zniknął w ścianie.

Pędrak westchnął i zatopił się w swoich myślach.

Zza grubych ścian dochodziło ciche i dalekie dudnienie zapowiadające Czarny Deszcz, który nadchodził powoli i nieubłaganie.

Uto-Khal wystroił się na tę wyjątkową chwilę; obciągnął jeszcze poły czarnego surduta i stanął przed lustrem, obserwując swoje odbicie. Biała sierść jego niedużego ciała harmonizowała z czernią materiału, na którym błyszczało złoto wisiora.

Odwrócił się i w milczeniu przeszedł do następnej sali, gdzie czekali już wszyscy ważniejsi przywódcy największych grup wchodzących w skład przyszłego Imperium Phakha.

Uto wahał się co do samej nazwy przyszłego państwa, ale za namową jednych i ulegając naciskom drugich, zgodził się, by w dowód uznania pierwszego szczurołota - Phakha Białego, który rozpoczął dzieło zjednoczenia - pozostawić jego imię ku pamięci przyszłych pokoleń.

Usiadł na swoim miejscu i spojrzął na zebranych.

- Witam was - zaczął - w tej uroczystej chwili, bowiem waga tego spotkania jest wielka. Von Sadov zgodził się - przyśle nam pilota! Chciałbym, aby grupa tych pomiotów, która będzie mu towarzyszyła, czuła się bezpiecznie - zawiesił na chwilę głos, czekając aż umilkną pomruki niezadowolenia. - Żeby byli otoczeni szczególną troską. Podczas bardzo trudnych rozmów, przeciągających się w nieskończoność z winy ludzi, zgodziliśmy się na drobne ustępstwa. Otóż w czasie, kiedy pilot będzie czekał tutaj, Ken-Hal wpuści ludzi do podziemnych pomieszczeń, aby mogli sprawdzić użyteczność statków.

Szczuroloty zaczęły nagle szemrać, usłyszawszy tę wiadomość.

- Posłuchajcie! - uciszył ich. - Przecież tak chcieliśmy! Będziemy wiedzieli, czy te statki są sprawne! A jak inaczej chcieliście to zbadać? Przecież nie mamy nawet pojęcia, jak się dostać do ich środka! Najważniejsze, że wszystko przebiega tak, jak zaplanowaliśmy.

- Nie wszystko - odezwał się Rumiz, kierując w niego przenikliwy wzrok. - Nie wszystko! - powtórzył. - Popełniłeś błąd, Uto, wycofując nasze oddziały z powierzchni i odwołując mnie spod Górskich Dziur. Nie byłem jednak taki naiwny i pozostawiłem małe grupy, które obserwują wszystko!

Po tym, co powiedział, pośród szczurolotów zrobiło się zamieszanie. Z oburzeniem patrzyły na zuchwałość Rumiza,

ale nie protestowały, przecież był zastępcą Uto-Khala. Ten spojrział na niego złowrogo.

- Ty śmiesz twierdzić, że jestem głupi?! - zapiszczał Uto. - Głupi jesteś ty! Pospieszyles się! Po pierwsze - nie udało ci się zdobyć Górskich Dziur, choć rzuciłeś do walki największe siły, po drugie - niepotrzebny był ten atak. Chciałeś się popisać! A przecież wystarczyło ich okrążyć, zablokować szlaki zaopatrzeniowe i położyć łapę na nielegalnym handlu i przemyśle, który pomimo ostrego zakazu wiele grup prowadzi nadal, nie mogąc zrozumieć, że tym samym pomaga przeżyć śmiertelne mu wrogowi!

Myślałeś, że kiedy zdobędziesz twierdzę tego przekłętego Kany, umocnisz swoją pozycję na tyle, że zagrozi mojej?! Tak, Rumiz! Wiem, że ostrzysz sobie kły na ten fotel, ale on szybko nie będzie pusty!

Rumiz wstał raptownie, a Uto spokojnie, lecz stanowczo rzekł:

- Siadaj i słuchaj mnie uważnie, bo nie czas na kłótnie i wewnętrzne rozgrywki!

Rumiz usiadł z pewnym ociąganiem się. Ze złością spojrział na boki, ale milczał. Uto mówił dalej, nie patrząc na swego zastępcę.

- Wypadki rozgrywają się błyskawicznie i tak samo musimy teraz działać my. Odwołałem cię, Rumiz, bo zażądali tego ludzcie. Zgodziłem się na to zawieszenie broni, obiecując również, że nikt ich nie zaatakuję, jeżeli przystaną na nasze

warunki. Sadov, ta przebiegła bestia, dał odpowiedź - przyśle nam pilota, ale równocześnie chce sprawdzić statki!

Szczurołoty poruszyły się niespokojnie.

- I zgodziłeś się? - zapytał Ken-Hal, dowódca oddziałów strzegących Kamienne Wieże.

- A co miałem zrobić? - Uto rozłożył swoje błoniaste ramiona jak gdyby w geście bezradności.

- Zresztą, jak wam już mówiłem, to nam odpowiada.

- A jeżeli się okaże, że te statki nie są sprawne? - wtrącił się szybko Rumiz. - Jeżeli oni tak orzekną? Skąd będziesz wiedział, że nie kłamią?

Uto uniósł łapę. Uciszyli się.

- Myślisz, Rumiz, że im wierzę? - spojrzał na swojego zastępcę lekceważąco. - Każę, dajmy na to, wrywkowo uruchomić jeden. Zobaczymy, czy potrafią!

Przez salę przebiegł pomruk podziwu i zaskoczenia. Uto popatrzył na Rumiza triumfująco.

- A jeżeli się wykręca? - kontynuował Rumiz.

- Wtedy będziemy wiedzieć, że coś knują, ale uważam, Rumiz, że chęć sprawdzenia i zbadania będzie większa niż ochota na wybiegi. Przecież im zależy na tych statkach bardziej aniżeli nam! Nawet gdyby powiedzieli, że są do niczego i byłyby to nieprawda, to powiedz, jaki mieliby w tym cel? Wówczas wszystko zacznie się od nowa i oni o tym wiedzą: my nie opuścimy rejonu Kamiennych Wież, a oni nie są w stanie ich zdobyć.

- Założmy, że spróbują - odezwał się Ken-Hal.
- Tym samym zdradzą się, że statki są sprawne! Obojętnie, co by zrobili i tak nie mają wyjścia. Albo współpraca z nami, albo wieczny konflikt. Bez naszej pomocy nie wydobędą statków na powierzchnię, a tylko z niej można startować!

Przyznali mu rację.

- To jest jedna sprawa - odezwał się Rumiz.

Uto-Khal spojrział na niego nieprzyjaźnie.

- Mam tu najnowsze informacje od mojego zwiadu - mówił dalej Rumiz - że Otto Kaznodzieja opuścił swój Okrągły Dom i wyruszył w drogę. Jest już bardzo blisko von Sadowa.

Szczurołoty spojrzały na Uto-Khala, który w skupieniu słuchał relacji Rumiza:

- Zauważyliśmy również ożywione ruchy Aramusan, co jest dla nas zaskoczeniem, bowiem nigdy nie opuszczali siedziby Grubej Katarzyny; spotkaliśmy także pewną grupę Jednakowych, która...

Przez salę przebiegł szmer.

- ... która kieruje się wprost na Pałac Kon-Kordy! Ponadto dowiedzieliśmy się, że zza gór powróciły oddziały Kultinaka...

- To on jeszcze żyje? - przerwał mu Uto-Khal.

- Tak - potwierdził Rumiz i mówił dalej: - Oddziały te przyniosły wieści o Zielonej Nizinie! Okazuje się więc, że nie tylko my wiemy, że Ożywiona Ziemia istnieje po drugiej stronie Górskich Dziur. To wszystko jest niepokojące i nie zapominajcie o jednym: człowiek od pradziejów był przebiegłą

bestią, a ty, Uto - Rumiz spojrzal na przywódcę - po raz pierwszy pozwoliłeś im na zbyt wiele. Oby to nas wszystkich zbyt dużo nie kosztowało! - zakończył i usiadł.

- Tak, masz rację - zabrał głos Uto. - Człowiek od pradziejów był przebiegłą bestią i my teraz, po raz pierwszy, mamy nad nim przewagę. Wiesz dlaczego? Znamy jego historię - tę najświeższą i nie tak dawną również. Zapytasz, na czym polega ta przewaga nad ludźmi? Na tym, że oni jej nie znają! Zapytaj ich, dlaczego doszło do tak strasznej katastrofy? Dlaczego Niszczyciele przylecieli i bez dania racji spacyfikowali Ziemię? Po co brali te miliony do niewoli? Miliony... - prychnął ironicznie. - Ludzie mówią o milionach, a my sami już nie wiemy, ilu stąd ich wywieziono? Spytaj o to, Rumiz, ciekawe, co odpowiedzą! Do dnia dzisiejszego nie znają prawdziwej przyczyny tej apokalipsy. Mówią, że zostali napadnięci bez powodu... Ale my znamy prawdę! Przyjdzie czas, kiedy im ją wyjawimy, ale wtedy - wiercie mi- ona ich zabije! Swoją tragiczny wypadek nazywają Rokiem Chińskiego Lisa. Vulpecula, zwana Lisem, to gwiazdozbiór na południe od Łabędzia, tuż przy gwiazdzie Albireo. Najpiękniejszy obiekt tego gwiazdozbioru, to Dumb-bell, zwany Chinką. Jest mgławicą planetarną oddaloną od nas o około pięćset świetlnych lat! Pięćset świetlnych lat! - powtórzył. - Sam nie wiem, co to za odległość, powtarzam tylko dane, które kiedyś usłyszałem. A oni chcą tam lecieć, bo im tak dyktuje jakiś

dziwny nakaz, czy też święty obowiązek. Niepojęte! Zresztą mniejsza o to. Taki jest dokładny adres Niszczycieli, no i Ratowników. Stamtąd przysłała śmierć... Teraz wiecie - urwał na chwilę i zamyślił się spoglądając na stół, potem powiedział: - Mówisz, Rumiz, że na zbyt wiele im pozwalam... Przecież człowiek od swojego prapoczątku jeszcze nigdy nie żył w zgodzie z drugim człowiekiem. Myślisz, że oni się zjednoczą? Rumiz! Teraz zacznie się dopiero u nich walka! O pierwszeństwo! O sukcesję! Zobaczycie, co się będzie działo. My natomiast musimy umiejętnie kierować całą sytuacją. Oni wiedzą, że zależy nam na statkach, wiedzą także, jaki atut mają w ręku. Stawiają ciągle żądania i będą stawiać nowe, bo ich chciwość nie ma granic! A my? My będziemy się godzili. Przypuszczam, że zażądają, byśmy pozwolili im na penetrację miasta. Pozwolimy, ale tylko jednej grupie - tej wybranej, której przywódca będzie mało znaczył u innych. Naprowadzimy go na magazyn broni, potem... Potem wypuścimy na powierzchnię - Uto urwał nagle, patrząc na ich zaskoczenie. Po krótkiej chwili dodał: - Po co mamy tracić własne siły? Zabijemy ich - ich własnymi rękami! Czy to nie jest dobry plan? Co, Rumiz?

Rumiz spojrział na niego ponuro. Wiedział już, że przegrał pojedynek; zdobył się jedynie na cichy pomruk aprobaty.

Uto patrzył wciąż na niego, ale nie z triumfem, lecz spokojnie i dobrodusznie. Tego Rumiz nie mógł ścierpieć. Chciał

wstać i wyjść z sali, ale byłoby to jawną oznaką buntu. Siedział milcząc, ze wzrokiem utkwionym w stół. Wiedział, że to jeszcze nie jest koniec, że ma w ręku jedną kartę, której Uto nie przebiję. Wiedział też, że kiedy ją wyłoży, będzie górą. Pomyślał o księżniczce i jej ryzykownej akcji, na którą nie chciał się zgodzić, ale której nie był w stanie powstrzymać.

Gorące jak żar powietrze lało się z nieba, a on stał i krzychał coraz głośniej. Tłukł pięściami w drzwi okute blachą, wstawione w miejsce wysokiego i szerokiego okna, bo drzwi wejściowe, jedne z wielu, znajdowały się teraz głęboko pod ziemią, jak te pierwsze kondygnacje - poczynając od parteru. Wszystko pokrywał popiół, stopiony na szkliwo piach i szlaka. I nikt już nie wiedział, do której kondygnacji sięgało to, co z piekłem było spokrewnione.

Mężczyzna tłukł pięściami nadal i spoglądał co chwila na zachód: na różowiejące niebo, coraz szybciej przechodzące w purpurę, i wtedy walił ze zdwojoną energią. Kiedy uderzał w brudną blachę, czarna gumowa peleryna na jego plecach rozpościerała się jak skrzydła gigantycznego szczurolota. Przybysz wyjął z uszu na chwilę zatyczki i zaraz jego słuch został zaatakowany kakofonią dźwięków, poprzez które przebijał się ten najpotężniejszy.

Z zachodu coraz wyraźniej nadchodziło dudnienie, jak gdyby gdzieś w przestworzach niewidzialny kowal uderzał w swoje kowadło: dum-dum! dum-dum!

Trzask metalicznego pogłosu wzmagał się, rozdzierał przestrzeń i rodził niepokój.

Przybysz z powrotem wcisnął zatyczki w uszy i odwróciwszy się bokiem, spojrział poprzez czarne gogle, zasłaniające mu prawie całą twarz, na dwie skulone pod ciężarem bagaży postacie stojące za nim i ubrane tak samo jak on. Potem zadarł głowę i przyglądał się ścianie ciemnobrunatnej zieleni, niknącej w chmurach wiszących o tej porze bardzo nisko. Dolna ściana Pałacu drgała, zza zielonobrunatnych gąszczy przybyłych obserwowały dwie pary błyszczących oczu.

- Otwórzcie! - Obcy wrzasnął zachrypniętym głosem. - Do wszystkich diabłów, otwórzcie!

Kiedy tak wrzeszczał, zauważył zwisającą z boku ściany linę i zaraz bez zastanowienia, spoglądając uważnie pod nogi, czy nie jest to jakaś pułapka, zaczął ciągnąć sznur. Rozległ się dźwięczny i głęboki głos dzwonu ukrytego gdzieś poza drgającym gąszczem; dźwięk czysty, przejmujący, napawający trwogą jak dźwięk niewidzialnego kowadła, rozdzierający przestrzeń. Mężczyzna wyciągnął jeszcze raz zatyczki z uszu i wyczekiwał, ale jego słuch zaatakowały setki innych dźwięków prócz tego, który pragnął usłyszeć.

Przybysz wzdrygnął się i mocniej napał na drzwi, a

potem szarpnął linę dzwonu - jego dźwięk nie potrafił zagłuszyć coraz silniej, natrętniej atakujących słuch szeptów, nawoływań, okrzyków, westchnień, jęków, śmiechów i wrzasków. Poprzez to wszystko przebijały się lub nachodziły na siebie dźwięki dalsze - jakichś pojazdów, stukot tysięcy kroków, dźwięki muzyki - tonów odległych i bliskich - i tego jednego, co do którego on sam nie wiedział, czy jest prawdziwy, czy nie. Gdzieś z daleka, z pustej, zaciągniętej miejscami mgłą, przestrzeni napływały dźwięki organowej muzyki, dziesiątki głosów szeptały zgodnym chórem jakies słowa, a ponad tym dominował głos najdonioślejszy i najczystszy, przemawiający w języku, którego mężczyzna nie znał i dotąd nie słyszał. Potem nagle ktoś niewidzialny krzyknął mu w twarz: „Pamiętaj o nas”!, ktoś inny szeptał monotonnym głosem: „... za dzieci, które nie przeżyły swojego dzieciństwa...” Niewidzialny chór odpowiadał złowrogim pomrukiem: - „Zbaw je, Panie!”

- „Za dziewice, które niepokalane mężczyzną nigdy nie stały się kobietami, by spełnić odwieczną rolę rodziców...”

- „Zbaw je, Panie!”

- „Za młodzieńców, którzy nigdy nie stali się żołnierzami...”

- „Zbaw ich, Panie!”

I znowu głos natrętny: „Pamiętaj o nas!” Potem przejmujące wycie zrozpaczonych, płacz i histeryczny śmiech obłąkanych, krzyki trwogi, nawoływań, warkot wielu maszyn,

potworny odgłos wybuchów i jazgot jakichś pojazdów.

Mężczyzna zatkał uszy. Dźwięki umilkły - nastąpiła cisza. Odczekał chwilę i po raz wtóry odsłonił uszy, by zarejestrować dobiegający gdzieś z daleka, zza zielonej ściany, głęboki basowy głos. Nagły snop niebieskawego światła spadł z góry na miejsce, w którym stali.

- Kim jesteście, u licha?! Kto śmie prosić o wejście?!

- Ludźmi! Jesteśmy zmęczeni. Otwórzcie!

- Zmęczeni? Macie dużo szczęścia, że pozwolono was wpuścić! Odejdźcie teraz od pomostu, jeżeli nie chcecie być zmiażdżeni - powiedział głos z góry. Reflektor nadal ich oświetlał.

Drzwi zaskrzypiały, zadrżały i zaczęły z jękiem opuszczać się w dół. Przybysze stanęli z bólu. Zorientowali się bardzo szybko, że drzwi są właściwie skrzynią oderwaną od jakiejś potężnej wywrotki. Dwa amortyzatory, chowające się po bokach skrzyni, i potężne, napięte stalowe liny przytrzymujące wieko, spuszczały powoli pomost. Z wnętrza Pałacu dochodziły niewyraźne, ale liczne głosy. Dźwięki z zewnątrz też nie dawały za wygraną, natężając swoją intensywność.

Kiedy wieko skrzyni było w połowie uchylone, przybysze rozróżniali już gwar głosów i poszczególne słowa. Przez coraz bardziej powiększający się otwór wejścia wydostawały się smugi pomarańczowej poświaty; ciepłego powietrza ulatującego w postaci mgły, a głosy ze środka stały się bardziej

agresywne.

Mężczyzna wymienił spojrzenia z towarzyszami i wysunął się do przodu. Był o głowę wyższy od nich, a kaptur peleryny powodował, że jego postać wydawała się nienaturalnie ogromna.

Na burty skrzyni-pomostu wysypali się pierwsi mieszkańcy wnętrza Pałacu. Krzyczeli coś i wymachiwali pięściami. Naprzeciw im wybiegła grupa ludzi w czarnych kaskach i ustawiając się szeregiem, wycelowała miotacze ognia w przybyłych. Z ogólnego hałasu przybysze wyławiali najczęściej powtarzające się okrzyki:

- „Precz z przybłędami!”
- „Nie wpuszczać zarazy!”
- „Nie dostaniecie naszego żarcia i bab!”
- „Od razu ich zabić!”
- „Zabić ich! Zabić!”

Potem poprzez rozwrzeszczaną hałastrę przebił się głos bardziej potężny.

- Spokój, do jasnej cholery! Cisza!!!

Ten, który rozkazywał tubalnym głosem, wyszedł na środek skrzyni-pomostu z latarnią w ręce. Jego twarz ochraniała duża, czarna szyba przytrzymywana opaską. Gdyby nie ta osłona, wzrok porażony zostałby ostrością purpury i wiatrem, który niósł z sobą atakujące oczy mikroby. Na szyi mężczyzny zwisały okrągłe muszle słuchawek.

Paru nieposłusznym obwiesi otrzymało silne ciosy od Dowódcy, po których wycofali się, przeklinając pod nosem.

Zapanowała względna cisza, tylko z zachodu dało się słyszeć narastające złowrogie dudnienie.

- Kim jesteście?

Mężczyzna wszedł zdecydowanym krokiem na pomost i stanął dwa kroki przed nieznanym z Pałacu.

- Nieważne kim jesteśmy - powiedział. - Ważne, że jesteśmy ludźmi szukającymi schronienia i odpoczynku. I nie potrzebujemy waszego żarcia! - krzyknął, żeby dotarło do reszty. - Ani waszych bab!

Ten z Pałacu nawet nie drgnął.

- Kim jesteście? - zapytał, a jego głos zabarwił się groźniejszą nutą.

Przybysz jakby wyczuł ostrzeżenie, bo odezwał się dumnie.

- Jestem Wuk. Wuk, zabójca Phakha Białego! A ty? - drugie pytanie było twarde i zaczepne.

W zielonym gąszczu dwie ukryte postaci poruszyły się, a jedna z nich wydała stłumiony okrzyk przerażenia. Potem wysyczała coś, czego jej współtowarzysz nie dosłyszał: - „Nareszcie!...”

Mężczyźni na pomoście patrzyli na siebie poprzez czerń szyb i mierzyli się chwilę niewidocznym wzrokiem.

Przez tłum przeszedł szmer, wreszcie ten z Pałacu powiedział:

- Nazywają mnie Liw. Jestem Dowódcą Straży i Obrony.

Więc powiadasz, że zwiesz się Wuk, Zabójca Phakha Szczurołota? No dobrze, sprawdzimy to. A teraz, jak nie chcecie, aby spadł na was Czarny Deszcz, włączcie do środka. Musimy szybko postawić pomost, bo Czarny Deszcz to nie żarty! - rzekł.

- Doskonale o tym wiemy - odpowiedział Wuk.

- Prowadź!

Kiedy czoło straży utworzyło dwuszereg, Liw Dowódca obrócił się i środkiem szpaleru ruszył do Pałacu. Ci, którzy stali najdalej wejścia zasłaniali oczy przed jaskrawością ognistego nieba, inni szybko zakładali czarne okulary lub osłony z szyb.

Wuk szedł wyprostowany i bacznie patrzył na boki. Jeszcze nie chciał zdejmować ochrony oczu, czekał aż te przywykną do innego światła. Jego dwaj towarzysze trzymali się blisko niego. Po parunastu metrach wędrówki Wuk zdecydował się odsłonić oczy. Robił to bardzo ostrożnie, bo piankowa ochrona gogli, przylegająca do twarzy, odchodziła w niektórych miejscach wraz ze skórą. Wreszcie udało mu się przesunąć je na czoło; towarzyszące postacie uczyniły to samo, ale żadna z nich nie zdjęła kaptura, który głęboko osłaniał twarz. Byli w drodze od dawna i czekali teraz aż wzrok przyzwyczai się do innego oświetlenia.

Wuk idąc za Dowódcą obserwował w milczeniu mieszkańców Pałacu. Patrzył na nich pogardliwie, choć oni może tego nie zauważali. W pewnym momencie trafił - poza tą ciżbą - na zgarbioną postać mężczyzny, który spojrział na niego. Jego

oczy zabłysły na krótką chwilę zielonkawą poświatą.

- „Witaj” - odebrał Wuk i „odpowiedział” podobnie, dodając: - „Bądź gotowy, bo czas nadszedł. .” - Nie zatrzymując się, szedł dalej.

Reszta hołoty mruczała złowrogie groźby i przekleństwa pod ich adresem, ale nic poza tym nie czynili.

Kiedyś, w swoich wędrówkach, spotykał już takich - bezmyślny motłoch żyjący zwykłym instynktem zachowania życia. Znał ich - tych, których los oszczędził i tych nielicznych spośród nich, nazywanych Aramusanie, będących pozostałością potężnej ongiś i mądrej sekty religijnej. Dziś ich potomkowie - zdziczali i zdegenerowani - widać i tu znaleźli schronienie.

Spoglądał na rosnące na ich głowach, w symbiozie z włosami, zielone, cienutkie niteczki aramusa - rośliny, która pasożytowała na gruczołach łojotokowych i której system korzeniowy drażył z uporem kanaliki, wwiercając się w czaszkę, by po iluś tam latach dotrzeć do mózgu i... zabić. Zanim to następowało, ofiara przechodziła męczarnie, żyjąc z wiecznym, stale narastającym bólem głowy. Jednak śmierć, która zbliżała się powoli, w przekonaniu konających, była stanem wspaniałym i cudownym, porównywalnym tylko do głębokiego, narkotycznego odurzenia. Aramusanie twierdzili, że w momencie agonii mogli sięgać myślą w przeszłość i przyszłość i przepowiadać ją.

Szli dalej. Wuk patrzył na oświetlenie korytarza, na wielkie kandelabry i kinkiety fantastycznie oplecione cieniutkimi, zielonymi gałązkami.

Dalej tłum zrzędł nieco i przestał wykrzykiwać, od czasu do czasu dało się słyszeć jedynie głuchy pomruk. Wuk nie zwracał już na to najmniejszej uwagi. Co innego przyciągało jego wzrok - teraz dopiero zauważył silnie pokryte brunatną zielenią ściany korytarza oraz sufit. Pnącza wiły się i przyczepiały do wszelkich gzymsów, występów, bądź wnęk, zagłębień i pęknięć ściany.

Pierwszy raz w swej wędrówce napotkał roślinę, przypominającą bluszcz lub wij ca, która rozrosła się do tak monstrualnych rozmiarów. Ale nie dziwiło go to; nie dziwiło już nic i nic nie potrafiło zaskoczyć.

W korytarzu, do którego skręcili z głównego, było jakby spokojniej i Wuk zdecydował się zdjąć z głowy kaptur. Kiedy to zrobił, ukazała się naga czaszka z długim jasnym warkoczem wyrastającym ze środka głowy. Nad czołem głęboka czerwona blizna, a za lewym uchem duża narośl pokryta rudą szczeciną z widocznym zaczątkiem choroby aramusowej. Oczy miał zapuchnięte i wypełnione białą wydzieliną.

Liw Dowódca skręcił teraz w jeszcze węższy korytarz, gdzie nie było już nikogo i wskazał małe kwadratowe pomieszczenie, do którego drzwi były otwarte.

- Tu właśnie - powiedział zachrypniętym głosem. - Rozbierajcie się i do tamtej kabiny. A tu, z boku, do tej skrzynki będziecie wrzucać swoje łachmany. Zostaną oczyszczone i zdezynfekowane.

- O co chodzi? - zapytał Wuk podejrzliwie.

Podszedł do kabiny i kiedy rozsunął drzwi, wewnątrz rozświetliła błękitna poświata. Popukał w ściany, zbadał podłogę, następnie zajrzał do skrzynki.

Dowódca uśmiechał się pod nosem.

- To jest odkurzacz albo jak kto woli - napromiennik. Jedyny, jaki posiadamy. Oczyszczają się w nim tylko Łowcy po powrocie z terenu lub tacy jak wy, którym udało się tutaj dotrzeć... A więc do roboty. Potem zaprowadzę was do Konkordy. Na spowiedź! - uniósł brwi w ironicznym spojrzeniu. - Do Sali Prawdy! - zarechotał krótko. - Na badanie!

- O co chodzi? - ponowił pytanie Wuk. Poprzez zaropiałe szparki oczu twardo i podejrzliwie patrzył na Dowódcę. - Przyszliśmy tu odpocząć, chcemy przeczekać okres Czarnego Deszczu i ruszamy dalej.

- Gdzie? - W oczach Dowódcy pojawiła się ironia. - Gdzie chcecie iść? Przecież naokoło nic nie ma! I dalej też. I jeszcze dalej - tak samo!

Wuk nabrał głęboko powietrza i powiedział, hamując rozdrażnienie:

- Dla ciebie może nie ma nic. Wiedz jednak, że ja mam gdzie iść i oni także. - Wstał z szerokiej ławy i widząc podejrzliwy wzrok Dowódcy, dodał: - Zresztą, co ja ci będę tłumaczył...

A więc do tej kabiny, tak? Po kolei?

- Zgadza się! - Dowódca zaśmiał się triumfująco.
- To wyłaż na korytarz i pilnuj, aby nam nikt nie przeszkadzał.

- Dobrze. Zaczekam za drzwiami.

Po jego wyjściu Wuk stał chwilę nieruchomo, zapatrzone tylko na drzwi. Jego wzrok zapłonął teraz dziwnym blaskiem zieleni, ale tylko na chwilę, po czym zaraz wrócił do normy. Odwrócił się do swoich towarzyszy i powiedział:

- Odszedł, ale niedaleko - i dodał: - Tutaj nie ma Ratowników. Byli, ale bardzo dawno temu. Keio i Bilan, nie wolno wam się zdradzić, że jesteście kobietami.

Przytaknęły tylko głowami.

Bilan weszła do kabiny, a Keio, wrzucając swoje i jej odzienie do skrzyni, odezwała się do Wuka w języku Wędrowców:

- A jeżeli nas stąd nie wypuszczą? Jeżeli jesteśmy przez cały czas obserwowani? Jeżeli oni coś wiedzą? - spojrzała na niego z niepokojem.

Poprzez twarz Wuka przebiegł nikły uśmiech. Powiedział bardzo cicho, tak, że ledwie go słyszała:

- Czyżbyś zapomniała o miejscach, gdzie próbowano nas więzić?

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale z kabiny wyszła Bilan.

- Nawet dobry jest ten ich odkurzacz - powiedziała. -
Czuję się nieźle...

Keio wstała i poszła do kabiny, a Bilan wyciągając rzeczy ze skrzyni, zaczęła się ubierać. Wuk patrzył na nią z jakąś satysfakcją.

- Wspominasz? - odezwała się cicho.

- Tak to odczytałaś? - zapytał

Pokiwała tylko głową i szepnęła:

- Martwisz się, czy zdążymy i czy uda ci się przekonać
Zarządcę?

- Myślę, że wszystko się uda.

- A jak nie?

- Znasz odpowiedź.

- Znam.

- Musimy to załatwić szybko, by potem odnaleźć Kulti-
naka - urwał nagle, nasłuchując. Jego oczy ponownie zapa-
liły się zielonym blaskiem.

- Trzeba się spieszyć. Rozmowa będzie trudna.
Pomóż Keio.

Kiedy byli już ubrani, drzwi otworzyły się raptownie, a
Wuk odwrócił się błyskawicznie i spojrzał w twarz Dowódcy.

- Nie jesteśmy jeszcze gotowi! - warknął. - Dlaczego
nam przeszkadzasz?

- Zbyt długo to trwa. Wrócili Łowcy i odkurzacz musi być
wolny. Kon-Korda czeka i niecierpliwi się. - Chciał wejść, ale
Wuk stanął przed nim.

- A co mu się tak spieszy? Niech poczeka! I ty także!

Dowódca popatrzył chwilę na niego, po czym wycofał się niezdecydowanie.

- Coś diabło im zależy na tej rozmowie - powiedział Wuk do Bilan.

- W końcu nie było kto do nich zawitał - wtrąciła Keio z uśmiechem. - Dziwi cię to? Za człowiekiem, który tak się przedstawił, mogą nadciągnąć szczurołoty, Wędrowcy - zaśmiała się cicho - a co gorsza - Jednakowi. Taki gość, to niebezpieczeństwo i ryzyko... Powiedz mu, że jesteśmy gotowi.

Wuk popatrzył na nie i nie mówiąc nic, ruszył w stronę drzwi.

- Roślina jest coraz bardziej niespokojna - powiedział Pędrak, podając Enu otwartą puszkę. Męczył się nad nią, manipulując sztylblem, wreszcie ją otworzył. W środku były duże, mlecznożółte ziarna w jakimś płynie. - Zawsze jest niespokojna - wyjaśniał - kiedy nadchodzi Czarny Deszcz, a rada na to jest jedna: trzeba najeść się do syta i szybko zasnąć, by nie słyszeć, co będzie dziać się tam - za murami... - ostatnie słowa skierował pod jej adresem. - Trzeba się najeść i położyć spać. Owinę ci głowę szmatami - dodał jeszcze, widząc jej przestraszone oczka.

- Dlaczego? - zapytała. - Dlaczego chcesz mi owinąć głowę?

- Bo z nieba polecą huki i grzmoty, jakich jeszcze nie słyszałaś! Od tego uszy pękają i głowa się rozpada...

- Ojejku! - przeraziła się nie na żarty.

- A więc zjedz tyle, żebyś zasnęła od razu - poradził, opychając się dużymi płatami mięsa. Jadł szybko, rzucając niepokojne spojrzenia na coraz słabiej tłącą się latarnię.

- Umiera - pomyślał. - Co ja zrobię... Będę musiał zakraść się na górę i porwać jedną strażnikom. Jak ona zaśnie, wymknę się, pójdę tam szybko i zaraz wrócę. - Tak postanowił, obserwując ukradkiem Enu, która odstawiała pustą puszkę, wydała z siebie rozleniwiony pomruk zadowolenia, po czym ułożyła się w kącie na stercie kurtek i płaszczy, które Pędrak poznosił z różnych pomieszczeń. On sam wyciągnął się na posadzce i mruknął:

- Wyłączam latarnię. Śpij, Enu, i nie bój się. Nakryj się tym dużym płaszczem, to nie będziesz nic słyszała.

- Tak szybko nie zasnę - szepnęła przejętym głosem. - A ty? - zapytała.

- Czuję, że już mi się oczy kleją - ziewnął sztucznie.

- Och! - zapiszczała. - Poczekaj, aż ja pierwsza!...

- No to dalej - mruknął. - Przykryj się i śpij.

Patrzył, jak układa się w narożniku, nakrywa różnymi rzeczami i nieruchomieje. Odczekał dłuższą chwilę, po czym

podszedł do niej na czworakach i szepnął:

- Enu? Enu, śpisz?

Oddychała spokojnie. Upewniwszy się, że śpi naprawdę, wrócił pod ścianę i postanowił czuwać. Czekał, aż Pałac zaśnie, a strażnicy zmęczeni łażeniem po korytarzach, usiądą naprzeciw okien i głównego wejścia i też zaczną drzemać.

Siedząc tak nie poczuł nawet, kiedy sam zasnął.

Obudził się zlany potem. Widział matkę, którą gonili szczurołoty i słyszał, jak krzyczała przeraźliwie, wzywając pomocy. Oprzytomniał i spojrział w ciemność wyławiając w pauzach pomiędzy grzmotami i hukami jakieś inne dźwięki, które go zaniepokoiły. Zaczął nasłuchiwać, potem poirytowany podczołgał się pod drzwi i otwierając je ostrożnie, wyszedł na korytarz.

Dźwięki wydały mu się obce, na pewno nie były to odgłosy Czarnej Deszczu. Wstał, rozprostował się i kiedy chciał ruszyć wzdłuż muru korytarza, by sprawdzić co to takiego, poczuł nagle na swoich ustach żelazny uścisk zimnej ręki, a jakiś głos w tyle wycharczał mu do ucha:

- Bądź cicho, kurdupłu, bo ci poderżnę gardło! Potem ostry snop światła oślepił go i ktoś zapytał:

- Jest sam?" Sprawdziłeś?

- Jesteś tu sam? - warknął głos za nim.

Pędrak szarpnął się i wydał zduszony jęk.

- Puść go! - rozkazał drugi. - Kim jesteś i co tu robisz?

Karzeł chciał w pierwszej chwili wrzasnąć, ale obecność zimnego metalu na gardle przypomniała mu o niebezpieczeństwie.

- No! - przynaglił ostry głos.
- Jestem... Jestem Pędrak - bąknął trzęsącym się głosem.

- I... i tutaj się ukrywam...

- Ukrywa się. A przed kim? - zapytał ten sam głos.
- Przed... Przed tymi z Pałacu... - jękał się, odwracając głowę i mrużąc oczy przed ostrym światłem.
- A dlaczego?
- Co?...
- Dlaczego się ukrywasz?!
- Bili mnie... Przeganiłi i ... I okradli!...
- Dobra. A gdzie się chowasz?
- Tu - zaczął i głos zamarł mu nagle w gardle, bo przypomniał sobie śpiącą obok Enu. – Wszędzie - wyjąkał. - Gdzie się da...
- Ale masz jakieś swoje pomieszczenie, taką kryjówkę, co? - indagował głos.
- Różnie...
- Na pewno szwenda się po wszystkich kątach - dodał ten, który stał za nim. Odjął teraz zimny metal z jego szyi i powiedział: - Nienawidzisz tych z góry, co?

- Nienawidzę! - syknął i zauważył coraz więcej przybywających czarnych postaci. Coś szeptali między sobą, ktoś wydawał rozkazy stłumionym głosem, potem rozchodzili się w różne strony. Pędrak zadrżał znowu, mając przed oczyma śpiącą Enu.- Żeby tylko na nią nie trafili - pomyślał.

- No to dobra. Teraz słuchaj - odezwał się do niego ten sam głos. - Przybyliśmy tutaj, żeby zrobić z tymi na górze porządek!

Karzeł myślał intensywnie, jak ich odciągnąć od tego korytarza.

- Zaprowadzę - zaczął, ale tamten przystopował go.

- Znamy przejścia, a ty spokojnie tu poczekasz. Kiedy będzie koniec, bez strachu przyjdiesz na górę. W porządku? - zapytał nieznajomy i nachylił się nad nim.

Pędrak zobaczył błyszczące i przenikliwe oczy. Przytaknął szybko głową.

- Zostawimy tu jednego z naszych – dodał jeszcze tamten - tak dla towarzystwa i żebyś czasem nam nie nawiał...

Przeraził się.

- Ale po co? - bąknął. - Poczekam sobie tutaj...

- Razem ze mną - odezwał się jakiś głęboki, basowy głos z boku.

Pędrak westchnął ciężko. W głowie kłębiło się tysiące myśli i nie mógł sobie z nimi poradzić. Wypuścił powietrze i stał pod ścianą jak skazaniec.

Sala, w której czekał Kon-Korda była kompletnie zarośnięta przez zielony busz, tworzący przy suficie rodzaj naturalnego baldachimu; ścian i okien- nie można było dostrzec, tak gęsto pokrywała je brunatna zieleń, jednak spoza niewidocznych okien dochodziły głuche pomruki przestrzeni i rytmiczne, budzące grozę dźwięki niewidocznego kowadła.

Dowódca Straży i Obrony, prowadząc ich przez kręte i wąskie korytarze, ostrzegał przed zdradliwymi mackami wysuwającymi się niespodziewanie z gąszczu, kiedy zostaną podrażnione liście.

- Roślina jest niespokojna, czuje nadchodzący Czarny Deszcz. To źle. Niedobrze... Musicie uważać - tłumaczył. - Nie wolno jej dotykać, bo wtedy atakuje natychmiast, wyrzucając ukryte w gąszczu macki, które wbijają się w ciało niczym igły i wstrzykują paraliżującą ciecz. Jeżeli się w porę nie uskoczy, atakuje całą gałąź; wciąga w gąszcz i jeżeli nikogo nie ma w pobliżu, jesteś przegrany! Jad powoduje natychmiastowy paraliż i straszliwy ból. Nie można krzyczeć, bo głos nie ma się jak wydobyć z krtani! Potem puchniesz, wreszcie się dusisz... To pozostałość po Ratownikach. Tylko oni mogli formować i przycinać gałęzie jak tylko chcieli - zakończył i dodał ciszej : - Podobno Jednakowi też to potrafili...

- Tak? - zdziwił się Wuk. - A gdzie oni są?

Dowódca wzruszył ramionami.

- Odeszli, zniknęli... powiedział. - Zresztą nie pamiętam tego okresu, kiedy tu byli.

- Chciałeś powiedzieć: kiedy Pałac należał do nich, co? - zauważył Wuk.

Dowódca spojrział na niego z jakimś przestraczem w oczach.

- Nie wiem - bąknął cicho i przyspieszył kroku.

Wuk obserwował cienkie i młode pędy rośliny i pomyślał: - Jeżeli to jest pozostałość po Ratownikach, to znaczy, że ich tu od dawna nie ma, inaczej to świństwo byłoby przycinane. A więc jeżeli ono nie jest przycinane przez Ratowników, to nie jest też przycinane przez Jednakowych, bo ich tu także nie ma!

Szedł wolno i patrzył na skręcone jak sprężyny macki. Wszystko drgało w jakimś nerwowym, ledwo uchwytnym dla oka ruchu, rozprzestrzeniając się po ścianach i sufitach.

- Dziwne, że nie zajmuje podłóg? - zastanowił się, a głośno zapytał: - Dlaczego wy tego nie próbujecie przycinać?

- Nie zrozumiałeś mnie - odrzekł Dowódca. - Ich to nie zabijało, tylko nas - ludzi. Pomyśl.

- Mówiłeś, że Jednakowi potrafili przycinać roślinę, a przecież Jednakowi to też ludzie.

Dowódca milczał, po chwili odrzekł wymijająco:

- Mało o nich słyszałem. O nich i Wędrowcach. Nie wiem... Ja nic nie wiem. Spytaj Kon-Kordę. Jest jeszcze ktoś, komu roślina nie robi krzywdy i to jest też dziwne.

Tak? - zainteresował się Wuk. - Komu?

- Mamy tu w Pałacu takiego karła-pokrakę. Nazywają go Pędrak albo Poczwarą, bo wygląda ohydnie. Przepadł gdzieś, diabelski pomiot, ale go dostaniemy!

- A co takiego zrobił?

- Zabił Łowcę. Za buty.

- Powiadasz za buty?

- Tak. On się nie boi rośliny, bo chyba zarówno ona, jak i on spokrewnieni są z piekłem. Ponoć jego matka sparzyła się z Ratownikami - spojrzął na Wuka wymownie. - Ale jak mu głód w ślepią zajrzy, wyjdzie, bo wiemy, że gdzieś tu się chowa. To złośliwe bydło... Dostaniemy go!

- No dobra. A gdyby tak wypalić do niej z miotacza? - zapytał Wuk. - Co by było? Nigdy nie próbowaliście spalić tego świństwa?

Liw przystanął i popatrzył na niego jakoś dziwnie.

- Kiedy mnie tu nie będzie - wycedził cicho i z ironią - możesz spróbować. - Ruszył dalej.

Wuk nie pytał już o nic. Zachichotał cicho.

Skręcili w nieco szerszy korytarz, który wyglądem nie różnił się od innych. Wuk zastanawiał się, gdzie jest korzeń rośliny i co spowodowało wykształcanie takiej agresywności? - Ratownicy? - myślał z ironią. - obrońcy pokoju we Wszechświecie? Gdyby miłowali pokój, nie sadziliby takiego świństwa! Troska o przetrwanie rasy ludzkiej! - prychnął. - Morderca-dotleniacz! Gdzie jeszcze takie paskudztwo posadzili?

Kiedy tak rozważał, Dowódca zatrzymał się i powiedział:

- Jesteśmy na miejscu - wskazał na duże czarne skrzydła drzwi.

Wuk spojrział na nie i na resztki jakiegoś napisu widocznego nad nimi, którego nie mógł odczytać.

- I jeszcze jedno - mówił Dowódca. Roślina reaguje nie tylko na dotyk, ale też na krzyk - wtedy nie wybiera... Pamiętajcie o tym! I wchodząc, nie zapomnijcie powitać Kon-Kordy i Doradców - siedzą po jego bokach. - Otworzył drzwi i przepuścił ich przodem.

Wuk nie miał czasu zastanawiać się, dlaczego Liw powiedział mu o tym wszystkim i przed czym faktycznie ostrzegwał. A może straszyl? Wszedł do środka, schodząc pochyłymi schodami w dół, potem długim przejściem utworzonym pomiędzy rzędami foteli. Dziewczyny kroczyły za nim bez słowa.

Kon-Korda tkwił w fotelu pod czymś, co przypominało przezroczystą kopułę. Po jego bokach siedziało dwóch skurczonych starców odzianych w szare i mocno podniszczone kombinezony. Sam Kon-Korda miał na sobie zieloną tunikę. Jego twarz wyrażała lisią chytrą. Był stary. Zaczerwienionymi, małymi oczkami, z siną obwódka, świdrował przybyłych.

Doradcy byli jeszcze starsi i siedzieli z takimi samymi wyrazami twarzy: zgorzkniałymi i złośliwymi. Cała trójka miała

starannie ogolone głowy, prawdopodobnie w obawie przed chorobą aramusową.

Dowódca stanął w połowie pochyłych schodów skłonił się i rzekł:

- Oto oni i ten, który podaje się za Wuka - zabójcę Phakha Białego.

Doradcy milczeli, a Kon-Korda tkwiąc nieruchomo w fotelu przymknął powieki i nad czymś myślał, wreszcie podniósł je powoli i popatrzył na przybyłych zmęczonym wzrokiem.

Wuk zmierzył go twardym spojrzeniem, czując w sobie rodzącą się odrazę.

- Każdy za siebie! - powiedział, starając się, żeby powitanie zabrzmiało normalnie.

- Tylko Ratownicy za wszystkich - mruknął Kon-Korda w odpowiedzi i zaraz zapytał, unikając jego wzroku: - Jak mi doniesiono, zwiesz się Wuk - zabójca Phakha. Czy to prawda?

- Prawda.

- Dużo słyszałem o tobie, ale nigdy cię nie widziałem. A ci dwaj w tyle?

- Są ze mną.

Doradcy poruszyli się i unieśli wysoko brwi, ale nie odzywali się.

- No dobrze. Skąd jesteście i dokąd zmierzacie? - zapytał Kon-Korda przenosząc wzrok na zielone sklepienie. Przymknął oczy, by po chwili powoli je otworzyć.

- Jesteśmy z bardzo daleka i bardzo daleko idziemy - odpowiedział Wuk.

- Tak powiadasz? - wtrącił Doradca z lewej.
 - Znaczy się znikąd? Jesteście znikąd i idziecie donikąd...
- pokręcił w zadumie głową. - Ciekawe...

Kon-Korda przeniósł teraz wzrok na spowite misternymi siatkami pajęczyn liczne fotele, których ostatnie rzędy ginęły w zielonym gąszczu. Sala musiała być bardzo duża, ale zarośnięta sprawiała wrażenie małej.

- Każda droga ma swój początek jak rzeki, które kiedyś płynęły przez te ziemie - zaczął i skrzywił się na twarzy. - Każdy gdzieś się tam rodzi; a ty może nie znasz miejsca swoich narodzin, jak większość ludzi, lub nie chcesz nam go ujawnić? Rozumiemy to - pokiwał głową w stronę Doradców, a ci przytaknęli mu skwapliwie. - Ale jak nam udowodnisz, że jesteś tym, za kogo się podajesz?

- Widziałem tu Aramusan. Każ zawołać najstarszego - powiedział Wuk twardo - a ręcę ci, że i wśród reszty znajdują się tacy, którzy mnie pamiętają i znają.

- No dobrze - Kon-Korda machnął ręką.

- Wierzę ci, bo po co miałbyś kłamać? Zresztą jeszcze wrócimy do tej kwestii.

Wuk zacisnął zęby. Rozmowa nie szła po jego myśli. Von Sadov miał rację; to parszywe bydlę. Patrzył przenikliwie na Kon-Kordę.

- A może nam powiesz - zapytał ten nagle - przez jakie tereny prowadziła wasza droga? Od dawna nie wychodziłem na zewnątrz, więc nie dziw się, że jestem ciekaw... A moi

Łowcy nie zapuszczają się dalej niż do Trzech Karuzel; więc...

- Wszystkie okolice są jednakowe.

- Jesteś w błędzie - westchnął Doradca z prawej. - Czy kamień jest podobny do drugiego kamienia? Czy brat podobny jest do brata, choć pochodzą z jednej matki? No więc, jak nam możesz mówić, że wszystkie okolice są jednakowe, a tereny, przez które wędrowaliście - takie same?

- Wędrowniaki... - wtrącił nagle Doradca z lewej. - Wędrownicy... Ludzie, którzy podobno rozproszyli się po wszystkich ziemiach. Mądry lud o straszliwej mocy... Ponoć zabijają na odległość lub znikają z oczu, by pokazać się w całkiem innym miejscu... Ale czy to ludzie z krwi i kości?... Słyszałem, że mało już ich pozostało? Wiesz coś o nich? A może napotkaliście kiedyś Jednakowych?

Kon-Korda zdawał się drzemać, ale na dźwięk tego słowa drgnął i skrzywił twarz w grymasie nienawiści.

Wuk patrzył na Doradcę i myślał: - Czy on udaje, czy tylko nie skojarzył? Ani on, ani ten dureń Zarządca? Przecież każdy Aramusan wie, kto dowodził pod Małą Czugą! Zwariowali czy też biorą mnie za durnia! Jeśli tak?... Więc niech będzie tak jak tego chcą.

Odpowiedział pewnym głosem:

- Nie spotkałem ani jednych, ani drugich. A dlaczego pytasz? Obawiacie się Wędrowców albo Jednakowych?

Kon-Korda poruszył się niespokojnie. Wuk zauważył, że Dowódca stojący dotychczas z boku, zaczął kręcić się w miejscu, a potem wycofywać w stronę drzwi. Podejrzywał, co to może oznaczać. Postanowił zdwoić czujność.

- Dwadzieścia sześć dni temu byliśmy u von Sadova - powiedział. - Przez pięć dni.

- Dlaczego nie powiedziałeś od razu, że jesteś od von Sadova? - zapytał z nagłym ożywieniem Kon-Korda. Jego oczy rozbłysły żywszym blaskiem, ale tylko na chwilę. - Znam Sadova. Co u niego?

- Nie jesteśmy od von Sadova - sprostował spokojnie Wuk. - Tylko tam byliśmy.

Gdzieś zza niewidocznych okien przebił się jaskrawy rozbłysk, a potężny huk wyładowania wstrząsnął rośliną, która zafalowała niebezpiecznie i zaczęła podrygiwać nerwowo, wyciągając macki w stronę ludzi i wydając z siebie coraz głośniejszy szelest liści.

Doradcy i Zarządca spojrzeli ponad swoje głowy z przestraszeniem.

- Nie jesteśmy od von Sadova - powtórzył Wuk i spojrzął na tę trójkę gniewnie. Do stojących w tyle dziewczyn nadał: - „Z nimi się nie dogadamy, a roślina zaczyna mnie niepokoić... Uważajcie!”

Kon-Korda przymykając znowu powieki i siląc się na filozoficzną zadumę, zapytał:

- A co sływać u von Sadova? Ostatnie falowania przestrzeni uniemożliwiły nam utrzymanie łączności.

Wuk popatrzył na niego bardziej przeciągle. Wiedział już, że Doradcy i Kon-Korda z trudem panują nad strachem i hamują rozdrażnienie, że to całe przesłuchanie nie idzie po ich myśli. Zastanawiał się, kiedy i kto z nich pierwszy podniesie głos, zacznie krzyżeć i wywoła agresję rośliny? Wyczuwał intuicyjnie, że tak niebawem się staniej wynioskował to z zachowania Dowódcy, stojącego już przy drzwiach. Rozsunął poły peleryny i położył ręce na szerokim pasie, na którym wisiały olstry z ciężkimi miotaczami. - Oni mogą się bać tej bezrozumnej masy - pomyślał - ale ona powinna bać się ognia! - Postanowił zrobić użytek z broni, gdyby zaszła taka konieczność. Zapytał nieco głośniej:

- Czy tylko falowania przestrzeni uniemożliwiają utrzymanie łączności? A może celowo mówisz o tych falowaniach, żeby pod tym pretekstem kompletnie odizolować się od reszty?

- Co masz na myśli? - warknął Doradca z lewej.

- Nic. Von Sadov też wiecznie narzeka na zakłócenia i choć twierdzi, że one mają sztuczne podłoże, to nieprzerwanie utrzymuje kontakt z innymi grupami - odpowiedział Wuk szybko i zarejestrował nagle cichy szum w swojej głowie - jednostajny i monotony. Zbyt dobrze wiedział co to oznacza.

- Czyżby mieli penetratora? - pomyślał. - Albo pragnie znaleźć wejście ktoś, kto potrafi i chce coś przekazać?

- „Ktoś próbuje znaleźć kontakt - nadał do dziewczyn-

albo wejść w nas i skontrolować...” Szum był natarczywy i powoli wypełniał czaszkę.

- „Nie teraz!” - wysłał rozkaz i z największym trudem zablokował dostęp obcej ingerencji do pokładów swojej świadomości. Zaraz też zastanowił się, czy źródło tej biofali jest umieszczone w tym pomieszczeniu czy w jego pobliżu. Szum na chwilę ustał. Powiedział spokojnie:

- Von Sadov doszedł do porozumienia z Uto-Khalem. Pragną wspólnie wyruszyć na południe, w rejony, które znają podobno tylko szczuroloty, gdzie zwiadowcy Uto-Khala odkryli, że w sektorze Kamiennych Wież...

- Wiem, wiem! - uciął krótko Zarządca. - Von Sadov jest niepoprawnym marzycielem i starym idiotą, tak samo jak Jednakowi, którzy szukają z takim uporem Wielkiej Niziny, bo ponoć gdzieś tam ożyła ziemia! Wszystko to mrzonki wymyślone przez chore mózgi Aramusan! A Uto jest oszustem i zdegenerowanym zbójem! Słyszeliśmy już tę bajkę, że niby tam, pod ziemią, stoi dwanaście statków o zasięgu wewnątrzukładowym. Nawet gdyby były, to co? Ponoć zbójce Uto wyczuli to miejsce i strzegą go jak oka w głowie. Cha, cha, cha! Ten dureń, Sadov, skumał się z nimi tak bardzo, że poszedł na układ: szczuroloty bezpiecznie zaprowadzą go na miejsce, a on, w zamian za sześć statków, nauczy ich na nich latać! Paranoja! Ponoć o tym samym marzą Jednakowi.

Znaleźć Wieże, dostać statki i szukać Ożywionej Ziemi. Ziemia jest martwa! Nigdzie jeszcze nie ożyła i tak szybko nie ożyje, a gdyby nawet, to my byśmy o tym już wiedzieli! Wuk był już pewien, że Kon-Korda musi mieć dobre źródło informacji i zastanowił się, czy czasami nie pochodzą one od Ratowników? Słuchał dalej, nie wtrącając się.

- A co do von Sadova... Jeden patrzy, jak wykiwać drugiego i po drodze będą wystawiać się na różne próby, aż na końcu się pozabijają! Von Sadov jest kopnięty w mózg i to zdrowo! Jeżeli nawet ma nawigatorów w swojej grupie lub pilotów ze starego pokolenia, to powinien najpierw naradzić się z nimi, a nie kumać się z tymi parszywcami! Krokvicki też był pilotem! - wskazał nagle na Doradcę z lewej. Ten wyprostował dumnie swoje starcze ciało. - I co z tego? - ciągnął dalej Zarządca. - Wiele lat temu próbowali go uprowadzić Jednakowi, bo podobno wywodzi się od nich! Mógłby jeszcze dużo pokazać, ale czy jest sens? Ech!... - machnął ręką z poirytowaniem. - Wracając do tematu. Rozumiem, że von Sadov i tak dalej... Nie mogę jednak pojąć, dlaczego szczuroloty pozwoliły tobie swobodnie wędrować.

- Za chwilę. Mówiłeś, że Jednakowi chcą szukać Ożywionej Ziemi. Czy tylko? Szczurolotom statki są potrzebne, aby odszukać i zebrać wszystkie porozrzucane hordy. A nam, jak myślisz, do czego? - A widząc zdziwione spojrzenie całej trójki, dodał: - Zapomnieliście o świętym obowiązku i nkazie? O zemście?! Siedzicie tutaj i trzęsiecie się ze strachu

przed widmem zjednoczenia, bo to dla was złowróźbne widmo. Widmo utraty kontroli nad grupą, utraty wygodnego życia i koniec pogłosek o powrocie Jednakowych!

Kon-Korda aż wstał, a Doradcy poruszyli się niespokojnie, rzucając trwożliwe spojrzenia na zielony baldachim, teraz coraz więcej rozfalowany nad ich głowami.

- Możesz krzyżeć - powiedział Wuk spokojnie, patrząc na zmienioną wściekłością twarz Zarządcy. - No dalej, bo sam zacznę! Boicie się tej rośliny jak zjednoczenia i Jednakowych! A jedno i drugie już nadchodzi! A co do Uto-Khala, bo o to też pytałeś, powiem ci, że w skrytości ducha jest mi wdzięczny, że usunąłem z jego drogi Phakha Białego. Teraz mi powiedzcie, gdzieście byli dziesięć lat temu, kiedy garstka Jednakowych skrzyknęła innych, którzy bez wahania podążyli na ich zawołanie i stanęli ramię w ramię, naprzeciwko zbrojnym hordom Phakha Białego?

Milczeli ponuro. Wuk uspokoił się nieco i powiedział:

- Przyjdzie niebawem czas rozliczenia każdego. A co do Phakha... Był chory, bardzo chory. - Zauważył, że Kon-Korda powoli siada. - Wszędzie węszył zdradę i knowania. Chciał mieć prymat we wszystkim. Był bezwzględny dyktatorem i chorobliwie nienawidził nas - ludzi. Phakh nie liczył się z nikim i Uto o tym wiedział. Dostrzegał też błędną politykę,

która doprowadziła do pogromu jego armii w rejonie Małej Czugi, daleko na wschodzie.

- Stop! - Kon-Korda uniósł prawą rękę. - Teraz wiem, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Mówmy dalej.

Wuk parsknął śmiechem, opanował się i kontynuował, nie zwracając uwagi na ich poruszenie.

- Trudno jest upilnować wszystkich grup rozrzuconych po całym terenie. Zresztą my też nie jesteśmy bez winy; wiem, że porywa się, zabija, gwałci, a nawet je ich samice!

- Dosyć! - przerwał mu Kon-Korda.

- Czy słyszałeś o tym, że Uto jest albinosem? - wtrącił nagle doradca z prawej.

- Phakh był nim również - odpowiedział Wuk spokojnie.

- Oni uważają, że to jest dowód na pochodzenie z najstarszej dynastii.

- Jasne! - pochwycił Zarządca rechocząc. - Bowiem pochodzą w prostej linii od pradawnego szczura, którego nasi przodkowie tępili jak zarazę! Oto ich rodowód! Jakimś szatańskim sposobem złączyli się kiedyś z nietoperzami, a w tym mariażu pomógł chyba sam diabeł!

- Nie tak bardzo - wtrącił Wuk z ironicznym uśmiechem.

- W tych genetycznych zmianach maczali swoje brudne łapy Niszczyciele i to w Roku Chińskiego Lisa!

Kon-Korda zamachał rękoma jakby odganiał natrętą muchę i wyszeptał zachrypniętym głosem:

- No, nie wspominajmy przykrych chwil...

- Przykrych chwil? - zareagował Wuk ostrym tonem. - Dziewięćdziesiąt procent planety wyrżnięte w pień! Przykre chwile?! I nikt nie zna powodu?!

Zielony baldachim falował coraz niebezpieczniej, zza niewidocznych okien przedzierały się coraz częściej rozbłyśki i długie pogłosy wyładowań.

No dobrze już, dobrze - jęknął Kon-Korda próbując zmienić temat. - Von Sadov nie jest taki głupi i na pewno coś wymyśli, żeby nie dać tym parszywcom szansy dojścia do statków. Zresztą po co mu one? Czy jest sens gdziekolwiek latać? Albo szukać Ożywionej Ziemi? Ci Aramusanie namieszali co niektórym w głowach i to nieźle. Nie ma żadnej Zielonej Niziny czy Ożywionej Ziemi. Nie ma nic!

- Jesteś w błędzie - zaczął Wuk, ale Zarządca podniósł głos.

- Nie ma nic! Nic! Kompletnie nic! Wszystko to bzdura! Podstawowym celem jest przetrwanie!

Doradcy przytaknęli mu skwapliwie. . - Bez zjednoczenia jest to niemożliwe - powiedział Wuk spokojnie. Kon-Korda spojrział na niego nieprzyjaźnie.

- Czy ty czasami nie skumałeś się z tymi z Pierścienia Zachodu? - zapytał szybko. - Zjednoczenie? A pod czyim przywództwem, jeśli łaska? Może Bułchyczowa, co? Albo Grubej Katarzyny, czy Molanzy Kany? A może von Sadova albo Jednakowych, bądź Wędrowców?

Doradcy zarechotali cicho.

- Jednakowych - powiedział Wuk spokojnie. - Jednakowych - powtórzył - bo Wędrowców jest już bardzo mało.

Rechot zamarł nagle na ich starczych, pomarszczonych gębach. Spojrzeli na niego, mrugając głupkowato powiekami.

- Grupa Janowitza dawno przyłączyła się do Molanzy, Otto Kaznodzieja jest już z von Sadovem, ci z Pierścienia Zachodu wyruszyli na południe, Gruba Katarzyna jest też w drodze, teraz kolej na was!

Po tym, co powiedział, zaległo głucho milczenie.

Zarządca zbladł.

Wuk wyczuł, że za chwilę któryś z nich wybuchnie - nałożył na głowę kaptur, a Keio i Bilan zrobiły to samo.

Kon-Kòrda zerwał się ze swojego miejsca i w momencie, gdy salę rozdarł przejmujący grzmot, zawył niehumanym głosem:

- Niiigdy!!!

Wuk sięgnął błyskawicznie do miotaczy, ale nie zdążył ich wyszarpnąć, bo rozfalowany baldachim zaatakował. Potężna siła zwała się na jego plecy i przygniotła do schodów. Otrzymał wściekłe uderzenia gałęzi, ale nie czuł, by macki przebiły specjalną powłokę peleryny. Leżąc tak, poczuł po chwili, że napór zieleni niespodziewanie zelżał i zaczął ustępować na tyle, że mogli już wstać. Zdziwiło go to, więc rozejrzał się w poszukiwaniu przyczyny.

Kiedy nic nie znalazł, nic, co świadczyłoby o nagłym cofnięciu się rośliny, natrafił na trupioblada twarz Zarządcy i do granic przerażone - Doradców, skulonych pod czaszą.

Zawsze zdaje mi się - wyszeptał Kon-Korda trzęsącym się głosem - że ta głupia, bezrozumna masa, roztrzaska kiedyś moją kopułę i... i... Tak... Na czym to stanęliśmy? - zapytał z głupim uśmiechem na swojej lisiej twarzy.

Wuk ochłonął już na tyle, że mógł kontynuować rozmowę. Nie potrafił tylko pojąć, jakim sposobem roślina zrezygnowała ze swojego łupu; nie porwała ich, nie wciągnęła w gąszcz? Na pewno ktoś przyczynił się do tego - pomyślał. - Ale kto? Przecież Ratowników nie ma w Pałacu! A więc zrobił to ktoś; kto potrafi tak jak oni panować nad nią. Czyli że ten ktoś jest tu, w Pałacu. Nabrał głęboko powietrza i zrozumiał, że nie ma sensu rozmawiać dalej. Kiedy pod jego czaszką pojawił się znowu szum, uznał, że nadszedł właściwy moment, by zacząć działać. Chciano ich zabić, zabić świadomie. I jeżeli to się nie udało teraz, ci, którzy próbowali, mogą powtórzyć swój zamiar później. Powoli podniósł ręce, jakby chciał objąć swoich współtowarzyszyli nieprzypadkowo wycelował je w Doradców. Sam utkwiał wzrok w Zarządcy.

Jego oczy powoli nabierały zielonkawego blasku. Keio i Bilan skierowały spojrzenia na dwie starcze sylwetki; Doradcy zaczęli kręcić się w fotelach, później ich ciała zwiotczały nagle.

Liw Dowódca stojąc w drzwiach, nie zauważył nic; obserwował ze strachem zielony sufit, mając jeszcze świeżo w pamięci niedawne wydarzenia. Zarządca był odporniejszy. Próbował wyzwolić się spod tego spojrzenia, ale jakaś siła odbierała mu powoli zdolność poruszania głową.

Na twarzy Wuka pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech. Szepnął w języku Wędrowców: - Nie potrafi się blokować. To nie poprzez niego próbowano mnie sondować....

- Ten z prawej - Krokwicki. Ciekawe... - mówiła Bilan. - Same sprzeczności. Boi się, ale nie Ratowników, tylko... Głęboko ukryte... Ratowników nienawidzi w skrytości ducha i... Teraz już wiem! On się boi ciebie! Nie! - wykrzyknęła szybko. - Jednakowych! Jednakowych? - zapytała zaraz. - Jednakowych... Wuk!

Obejrzał się szybko za siebie.

- Wytrącasz mnie! Zamazujesz fałę! O czym mówisz?

Bilan stała spięta i sztywna. Jej oczy błyszczały nienaturalnym blaskiem, a przez całe ciało przechodziły fale drgawek.

- Źle interpretujesz! .- mówiła urywanym głosem.

Była już w głębokim transie.

- Co?!

- Przyjąłeś, że penetrującą fałą kieruje ktoś obcy i zablokował się. To był błąd! W Pałacu są Jednakowi! Z nimi jest ktoś od nas. To on próbuje się przedostać...

- Zestroilaś się? - syknął Wuk z uwagą obserwując jej twarz.

- Wejdz w to samo pasmo. On przynagla! - wyrzuciła z siebie chrapliwym głosem.

- Keio! Wiąz Doradców! - rozkazał, sam położył ręce na głowie Bilan. i wycelował w jej oczy swoje. Poświata, jaka wytworzyła się wokół ich głów, nabierała intensywności, pulsowała ostrą bielą, tryskała małymi wyładowaniami. Nagle - kiedy odebrali rozkaz - powoli zwrócili głowy i skierowali złączone spojrzenia w jeden punkt, by eksplodować energią skupioną jak błyskawica - cienką, długą wiązką.

Kon-Korda poderwał się ze swojego fotela - otoczony obłokiem skrzęcej się energii, i padł na stół stojący przed nim. Nie żył. Wuk odwrócił się teraz w stronę sparaliżowanego Dowódcy, stojącego w drzwiach z nienaturalnie rozwartymi oczami. Bilan wycelowała w niego rękę i opuściła ją wolno; Liw osunął się cicho pod drzwi, nie wydawszy nawet jęku.

Doradcy siedzieli sparaliżowani i patrzyli przed siebie nieobecny wzrokiem - przypominali kamienne posągi.

Wuk spojrzął na Bilan, która szepnęła: Są w podziemiach...

A więc nazywają cię Pędrak? - karzeł poczuł na karku ciężką rękę swego opiekuna. Nadaremnie próbował dojrzeć w

tych ciemnościach jego twarz.

- Pójdziemy do takiej sali w tym korytarzu - mówił, ten kierując nim w ciemnościach.

Pędrak zawahał się. - „Nie wolno mi tam iść!” - pomyślał, a głośno burknął: A po co? Nie możemy poczekać tutaj?

- Nie, mały. Tutaj byśmy tylko zawadzali - powiedział olbrzym. - Znam trochę te kąty i wiem, gdzie będziemy mieli spokój.

W ciemnościach trwał ciągły ruch, wydawane były ciche rozkazy, od czasu do czasu ktoś zaklął, inny zachichotał, a gdzieś z przodu było słyhać pracujących przy zagruzowanym przejściu

Pędrak szedł prowadzony ręką tamtego i czuł, że nogi robią mu się dziwnie miękkie, i to w miarę, jak zbliżali się do jego kryjówki. Jego i Enu.

Po chwili stanęli przed drzwiami. Olbrzym otworzył je, puścił do środka snop światła, lekko pchnął Pędraka; znaleźli się w jasno oświetlonej sali.

Karzeł przeraził się i zmrużył oczy. Szybko spojrział w kąt i wstrzymał oddech.

- No, tutaj sobie poczekamy mruknął mężczyzna stawiając pod ścianą ciężki miotacz. Zdjął też z pleców prostokątne pudło i położył je obok.

Pędrak przyglądał mu się ukradkiem. Ten człowiek ubrany był na czarno, a na jego głowie widniał kask z grubej skóry, który zasłaniał uszy i kark. Nad czołem, przymocowana do boków kasku, połyskiwała szyba. Olbrzym spojrział na Pędraka i zapytał:

- Czego się tak na mnie gapisz?

- Jakżeś to zrobił, że tutaj tak jasno? - Włączyłem światło.

- Jak? . pytał przejętym głosem Pędrak.

- O tu, w ścianie, jest taki mały guzik. Nie wiedziałeś o tym? zdziwił się nieznajomy, a widząc zdumione spojrzenie karła, przenoszone to na niego, to na ścianę, zaśmiał się i wyjaśnił: W ten sposób możesz zapalić światło prawie w każdym pomieszczeniu. Pałac ma swoje źródło energii - wyjaśnił i dodał ciszej: - No, może nie własne, bo подарowane od tych pomiotów z piekła rodem - Ratowników! Umieścili je na samej górze, gdzie trudno jest się dostać.

Pędrak rzucał cały czas ukradkowe spojrzenia do kąta. Jego myśli skupiały się teraz tylko na tym miejscu.

- Dlaczego ukrywasz się w podziemiach? - pytał Olbrzym.

- Wygonili mnie, bili podlece!

- Nie dawali ci żyć, co? - Przybysz stanął na środku sali pod żarzącą się kulą, potem ruszył w stronę sterty łachmanów.

- Nie!... - jęknął Pędrak z przerażeniem w oczach.

Olbrzym zatrzymał się i spojrzał na niego uważnie..

- Co tobie? - zapytał patrząc na malca także ten zaczął się wiercić w miejscu.

- Chodźmy stąd!

- Dlaczego?

- Bo... Bo tu... Tu zaraz przyjdzie starzec i... i przyjdą inni, i... - Pędrak jękał się.

Olbrzym podszedł i spojrzał na niego z góry.

- O czym ty mówisz?

- Zrób coś, żeby było ciemno, a zobaczysz. No zrób! - wyrzucił z siebie jednym tchem, podskakując nerwowo na swoich krzywych nogach. Za wszelką cenę chciał, aby pozostali w ciemnościach.,

- Jak chcesz, ale powiedz, co ty kombinujesz?

- Zrób! Zrób ciemno!

Mężczyzna zgasił światło i włączył swoją lampę

- Jak usiądziemy tutaj - Pędrak wskazał miejsce przy drzwiach - to zobaczysz. Tylko patrz na tamtą ścianę.

- Ej że, mały! - obruszył się nieznajomy. - Chcesz mnie nastraszyć? A może zamierzasz czmychnąć, co? - snop światła padł na przestraszone oczy karła. - Siadaj tutaj, przy mnie!

- Olbrzym złapał go za rękę, sam siadając obok drzwi. - Kazali mi cię pilnować, kapujesz? I nie próbuj nawiać!

- Już jest ta pora - mamrotał Pędrak, nie zwracając Uwagi na niego. Kątem oka obserwował stertę łachmanów. - „Enu chyba się obudziła - pomyślał - i na pewno teraz boi się i trzęsie... Żeby tylko nie zdradziła się!”

Nagle jakaś mgła zamajaczyła na przeciwległej ścianie, formując się w ludzki kształt. Po chwili starzec patrzył na nich swoim pustym jak gdyby nieobecny wzrokiem.

Olbrzym zerwał się nagle i wypadł na korytarz, wrzeszcząc zduszonym głosem:

- Dalej! Szybko! Wołajcie Wikarego!

Zrobiło się zamieszanie. Zatupotały liczne buciory. Pędrak wykorzystał to - skoczył do kąta i wkładając rękę pod stertę łachmanów, zamarł w bezruchu. Miejsce było puste! Nie miał czasu na zastanawianie się, bowiem do środka wpadł jego niedawny opiekun, a za nim dwóch innych ludzi.

Starzec widoczny na tle muru wykonał teraz rytualny ruch ręką i powoli wchodząc w ścianę, zniknął w niej.

- Światło! - ryknął ktoś z trójki.

Pędrak stał w kącie i patrzył na nich nic nie rozumiejąc. Nie obchodzili go. Był przerażony brakiem Enu. Machinalnie słuchał tego, co mówią.

- Wikary, co o tym sądzisz? - pytał niższy. Był też ubrany na czarno, z narzuconym na głowę kapturem.

- On dawał jakieś znaki. Krzywy mówił, że to jest tutaj, gdzieś w Pałacu...

- Co jest za tą ścianą? - zapytał Olbrzym.

- Trzeba sprawdzić.

- Często go widziałeś? - pytanie było skierowane do Pędraka.

- Co? A... A tak, zawsze. Co... co...

- Mówił jeszcze, że przychodzą też jacyś inni - zauważył Olbrzym, wskazując głową Pędraka, który opadł ciężko na ciepłe jeszcze miejsce po Enu.

Wsparł głowę na dłoniach i utkwił wzrok w posadzce.

- To prawda? - zapytał go ten, na którego mówili Wikary.

- Tak...

- Poczekamy.

- To musicie zrobić ciemno... „Gdzie jest Enu? Gdzie?” - myślał intensywnie. - „Wymknęła się, czy co? Ale jak? kiedy? i gdzie? A jeżeli ją złapią?...” - poczuł mróz w kościach. - Enu... - jęknął. Spojrzeli na niego szybko.

- Mały, co ci? - spytał Olbrzym.

Pędrak przeraził się.

- Mi?... N... nic...

- Gasić światło! - rozkazał ten w kapturze.

Postaci pojawiły się nagle. Pędrak nie patrzył na nie wcale; znał to wszystko na pamięć. Machinalnie rejestrował słowa - myślami był daleko. Potem zapalono światło.

- Tutaj jest potrzebny Wuk i Kultinak - odezwał się Wikary.

- Wuka będziemy mogli przyprowadzić po ataku. Teraz jest to niemożliwe - powiedział ten drugi i dodał: A Kultinak jest już w drodze. Będzie tu dopiero jutro.

- A gdzie jest ten mały! - krzyknął nagle Olbrzym.

Rozejrzeli się po sali.

- Wsiąkł!

- Nawiał!

Szukaj go! - rozkazał Wikary. - Zaraz zaatakujemy górę. Może wymknął się i chce ich ostrzec?

- Nie, to niemożliwe - odrzekł Olbrzym. - On ich nienawidzi. Zwiął, bo może się przestraszył?...

- Cholera! Jest potrzebny. Zna tu każdy kąt i zakamarek. Nie wiadomo, jak długo się ukrywa, co jeszcze widział, co wie? Szukaj go Głuchy! - Wikary wyszedł na korytarz. Olbrzym zaraz za nim.

A tam; gdzieś z głębokiej ciemności, dochodziło ciche, rozpaczliwe zawodzenie.

- Enuuu! Enuuu! Enuuu!... - Oddalało się co raz bardziej i bardziej.

Głuchy ruszył w tym kierunku, oświetlając sobie drogę.

Niewidzialny podniebny kowal walił w swoje niewidzialne podniebne kowadło coraz mocniej i mocniej. Metaliczny dźwięk rozdzierał czarną przestrzeń, którą co jakiś czas przeżywała jaskrawa poświata żółtego wyładowania i rozbłysku, a strugi Czarnego Deszczu, przechodzącego w ulewę lepkiego błocka, czyniły z okolicy widmowy przedsiónek piekieł.

A tam, gdzieś w połowie drogi, między czarną krechę horyzontu i monstrualnym gmaszyskiem Pałacu, samotnie opierający się lecącej z przekłętego nieba mazi, sunął złowrogi kondukt, ociekających czernią błocka pojazdów, przypominających ogromne kapelusze grzybów. Pomiędzy nimi, jak

i przed, i za, posuwało się małe, czarne i upiorne mrowie postaci, kroczących uparcie do swojego celu.

Rozbłyśki żółtawej poświaty nieba, które konwulsyjnie rozwierzało swoje rany, wylewając ropę, oświetlały zbliżających się w złowróżbnym milczeniu.

Nie milczała tylko przestrzeń: szepcąc, wrzeszcząc, nawołując. Szzydził chór niewidzialnych kobiecych głosów w histerycznym zawodzeniu i śmiechu; inny, zgodny, równy w takcie, powtarzał jedne i te same słowa jakiejś modlitwy. Ponad tym przebijał się dźwięk instrumentu - ostry i przesywający.

Głuchy chrzęst miazdżonego tysiącami buciorów blocka, przejmujące buczenie pojazdów oraz mowa przestrzeni - wszystko to zlało się w jedną całość i zbliżało do rozświetlanego wyładowaniami, upiornego gmaszyska.

A tam, w środku, przerażone sine usta dziesiątek i setek istnień stłoczonych przed potężną bramą, mamrotały imię tego, który nadchodził.

- Jest już! Stoi pod drzwiami!,- wrzasnął ktoś z ciżby.

Potem odezwał się zgrzyt łańcuchów - pomost drgnął, tłum jęknął w przerażeniu przed tym, który stał tam - po drugiej stronie.

Stojący z tyłu i po bokach, w czarnych pelerynach, z kapturami na głowach, wyrzucali z siebie urywane i gardłowe rozkazy.

- Na kolana! Na kolana! Na kolana!

Stłoczona ciżba drgnęła, zaszeleściły złowrogo zielono-brunatne gąszcza na ścianach; tłum załamał się i padł na kolana, wpatrując się trwożliwie w postać stojącą na tle szalejącej przestrzeni, podpierającą się długą laską.

Przybysza odróżniał od innych tylko jeden drobny szczegół - zwisający na piersi dziwny, srebrzysty przedmiot.

- Oto ten ryknął nagle donośny głos – który przyszedł was ocalić!

Chór niewidzialnych kobiet zaszydził historycznym śmiechem zlewającym się z przejmującym dźwiękiem instrumentu i uderzeniami dzwonu.

Postać na pomoście wzniosła lewą rękę. Ten, który krzyczał z tyłu, wrzasnął teraz.

- Oto prawowity władca waszych dusz - Kultinak!!!

Przez klęczący tłum przeszedł jęk rozpaczony, bólu i szaleńczej trwogi.

- Daruj nam - szepnął ktoś ze środka.

- Daruj nam! - podchwyciły inne głosy.

- Wybacz! - rozlegało się już zewsząd.

- Spokój! Ciszaaaa!!! - ryknął któryś z zakonników Wika-rego.

- Jeśli chcecie żyć i., przeżyć - odezwała się cichym głosem czarna postać - przysięgnijcie! - Złapała srebrzysty przedmiot wiszący na piersi i wzniosła go ponad klęczący tłum.

Ostry jak gdyby odłupany kawałek ni to skrzydła, ni to gwiazdy rzucił złowróźbny blask odbitej poświaty.

Dzień nie różnił się od nocy, kiedy szalał Czarny Deszcz, a przestrzeń wyła przeraźliwie, rodząc trwogę w tych, co żyli zwykłym nakazem przetrwania - instynktu, który upodobnił ich - ludzi do zwierząt.

Bez sprzeciwu i żadnego, szmeru zaprzysięgli swoje dusze Kultinakowi, godząc się na zmianę życia i opuszczenie Pałacu, mając świeżo przed oczami straszny widok: Kon-Kordy wrzuconego w roślinę.

Czarne postaci pojawiły się nagle; wychodziły z zielonego gąszczu, wyrastały spod posadzek, ze ścian, paraliżowały swoim wyglądem - sprawiały, że każdy widząc je, zamierał ze strachu.

Potem był już tylko wrzask, wściekły tupot setek podkutyh buciorów i wszystkich spędzono do sali przed głównym wejściem. Paru Łowców i Strażników stawiających opór, wrzucono bez ceregieli w gąszcz, gdzie nie zdążyli nawet jęknąć. Reszta poddała się woli czarnych widm, a na koniec temu, który przyszedł z Czarnym Deszczem. Ale kiedy dowiedzieli się, że ci, co przyszli, to Jednakowi, już myśleli, że wybiła ich godzina...

Stało się inaczej. Ten, z którego oczu wyczierała śmierć, wybaczył im i darował życie.

Kultinak witając się z Wukiem popatrzył z troską na siedzące w fotelach wątłe i zmęczone Keio i Bilan.

Wukian!- rzekł starzec. - Tyle lat! Objęli się ramionami. - Czułem to - mówił Kultinak, pozwalając zdjąć z siebie ociekającą błockiem pelerynę że dożyję tej chwili, kiedy zaczniemy dzieło zjednoczenia! Gdzie Wikary? rozejrzał się na boki.

- Zaraz przyjdzie - odrzekł ktoś.

- Opowiadaj, Wukian, opowiadaj - Kultinak usiadł na przygotowanym mu fotelu i nagle dodał:

- Nie! Do licha! Jednak jestem stary! Czyżby pamięć zawodziła? Oczy już niedowidzą? - Spojrzał na siedzące w tyle dziewczyny i wykrzyknął: - Keio! Bilan! Ale wyrosłyście!

Uśmiechnęły się blado, wycieńczone ubytkiem energii.

Do sali wchodzili wciąż nowi ludzie i składali meldunki zastępcom Kultinaka. Ktoś przyniósł parujący dzban jakiegoś napoju i postawił go na stole wraz z paroma kubkami.

Napijemy się ciepłego miodu - powiedział Kultinak. - Miodu, którego smak i wygląd już mało kto pamięta. Zdobycznego! dodał zaraz. - Po drodze moi ludzie zarzucili sieci na Karuzele i powyciągali trochę różnych dobroci. Nalejcie nam! - polecił, a do Wuka powiedział: - Zdaje się, że po raz pierwszy od dziesięciu lat uśmiechnął się do nas los. Czy wiesz, ile kosztowało mnie przekonanie Bułhyczowa i tych zwariowanych zbójów z Pierścienia Zachodu? Za nic w świecie

nie chcieli ruszyć się ze Swoich miejsc! Ale teraz są już w drodze do Molanzy.

Jakaś ciemna, zgarbiona postać przecisnęła się do przodu i stanęła z boku”.

- Kubran! - krzyknął Wuk. - Nareszcie jesteś! Gdzieżeś się podziewał? - Wstał i wymienił długi uścisk z nowo przybyłym. - Tyle lat... Tyle lat... - poklepywał go po plecach.

- Gardłem wyszedł mi już wikt zarządcy - mruknął zgarbiony Kubran, patrząc na Wukiana oczami pełnymi radości. - Ale nadal jesteś z nas najlepszy - dodał zaraz, potem spojrzął na Kultinaka i powiedział: - Witam również ciebie, na którego tyle lat czekałem. Chylę czoło!

- I ja dziękuję, żeś wytrzymał tu, na straży - odrzekł Kultinak i zapytał: - Czyżbyś wątpił w moc Wukiana?

Kubran zaśmiał się cicho.

- Nie spotkałem jeszcze człowieka, w którego nie mógłbym wejść - powiedział, ale Wuk mu przerwał:

- Teraz wiem! To ty szukałeś i chciałeś dostać się do mnie, kiedy tutaj byłem i...

- O tak, właśnie, przyjacielu! - przerwał mu Kubran. - Ale co dalej? - zapytał.

- Wszystko idzie według planu - westchnął Kultinak, siorbiąc z kubka. - Po raz pierwszy od dziesięciu lat...

Wuk uśmiechnął się pod nosem.

- Teraz trzeba nabrać sił - powiedział, patrząc kątem oka na dziewczynę. - Jutro musimy złapać kontakt z von Sadowem, no i z Wilkiem u Molanzy Kany. Gdyby Kana chciał się przeciwstawić, nakazałem go zabić... - dodał ciszej. - Zresztą, to jest nieistotne. Teraz nadszedł czas, by zabrać się do wykonania najważniejszego.

- Jutro - mruknął Kultinak sennym głosem i dodał: - Chyba już jest dzisiaj... Zresztą nie wiadomo. Kiedy leje Czarny Deszcz, to dzień jest równy nocy, a ten świat - przedsięwzięciem piekła...

- Trafnie to ująłeś - odezwał się głos w tyle.

- Wikary! - Kultinak zdobył się na okrzyk, choć był już bardzo zmęczony. - Chodź tu szybko, bo cię dawno nie widziałem!

Wikary podszedł, zrzucił z głowy kaptur i pokłonił się z uśmiechem.

- Witam cię, mój przewodniku - rzekł, siadając z boku. - Jak się czujesz?

- Kiepsko, bracie, kiepsko... Wiesz, że moje lata kończą się już, ale zamknę oczy, kiedy znajdę... Wiesz co mam na myśli?

- To jest tutaj - szepnął Wikary. - Moi ludzie przeszukują już podziemia.

Kultinak pokręcił głową.

- To nie będzie takie proste - mruknął. - Zresztą mamy trochę czasu i na pewno to znajdziemy.

- Masz na myśli sztandar? - wtrącił Wuk.

- Właśnie, bracie! Wówczas, myślę, że dowiemy się z jakiej matki pochodzimy. Potem sprawa statków, przerzut

ludzi poza górskie szczyty, no i zaatakowanie bazy Ratowników. Dalej wszyscy wiecie, co zrobimy.

Milczeli, ale każdy myślał o tym samym.

Olbrzym napał na drzwi całą swoją siłą; trzasnęły głucho, pękając w połowie. Zrobił krok do środka i runął w ciemność, nie zdążając zapalić lampy. Zaklął szpetnie, potem wstał, zapalił lampę i rozejrzał się wokoło.

- A do diabła! - warknął. Spojrzał w górę na urwany podest i krzyknął: - Pędrak! Wiem, że gdzieś tu jesteś! Przecież nikt ci nic nie robi? Czy nie możesz tego pojąć? - A pod nosem mruknął: - Czekaaj, kurdupłu, niech no tylko cię dopadnę!... - Ruszył przed siebie, lekko utykając na lewą nogę.

Kiedy stanął przy platformie, zastanowił się, mrużąc cicho: - Gdzie on może być? Dałbym głowę, że tu przepadł... - poświecił pod swoje nogi i znieruchomiał, widząc odcisnięte w grubej warstwie kurzu małe ślady stóp. - A jednak! - powiedział głośniej, opierając się o wystający z boku drąg.

Pędrak siedział nad czarną dziurą i płakał cicho. Nie obchodziło go wycie przestrzeni, wrzask niewidocznych głosów, błyski, grzmoty i spadająca maź, która oblepiała jego przemoczone łachmany. Było mu już wszystko jedno. Enu znikła!

Może uciekła do swoich? - myślał. - Ale przecież bała się i zaprzysięgła, że już tam nie wróci! A może, kiedy ją szukałem tam, w Pałacu, wpadła w łapy czarnych ludzi? - Przeraził się i nagle poczuł dotyk na swoim ramieniu. Zerwał się raptownie.

- Enu! - wrzasnął i z bezgranicznym szczęściem w oczach spotkał nienawistne ślepie szczurołota.

Potem dostał silne uderzenie w tył głowy i poleciał w ciemność.

Kesan, zwany Komandorem, siedział nieruchomo na krawędzi łóżka i wpatrywał się w podłogę. Co jakiś czas podnosił do ust rękę z papierosem, spoglądał na niego, potem zaciągał się i wypuszczał powoli dym, rozkoszując się jego zapachem. Na jego porwanej zmarszczkami twarzy malował się smutek, jakaś melancholia i nostalgia.

Jego współtowarzysze jeszcze spali.

Kesan popatrzył na nich, potem sięgnął po stojącą na stole butelkę, spojrział na znajomy napis i pociągnął spory łyk rozgrzewającego płynu.

- Rohan - odezwał się chrapliwym głosem do jednego ze śpiących. - Rohan!

Leżący drgnął, otworzył oczy i spojrział na siedzącego Komandora.

- Rohan - zachrypiął ten. - Czy ty wiesz, że ten napój kiedyś był napojem bogów?

- I co z tego? - mruknął rozespanym głosem Rohan. - Tylko boli po nim głowa...

- Bo nie umiesz pić, ty głupcze! Dalej, wstawaj i budź Kusego. Napijemy się, bo jutro - wierz mi - te parszywce już nie dadzą.

- Przespałbyś się, Kesan - Rohan usiadł i podrapał się po głowie - a nie kopcił to paskudztwo. Jak ich jutro będziesz szkolił?

- Głupiś, Rohan, głupiś. I nic nie rozumiesz. Powiem ci coś. Muszę wypić tego tyle - spojrzał na stojące pod ścianą kartony - żeby paść. Kapujesz?

- Ni cholery!...

- Jutro się połapiesz. Powiesz tym pomiotom, że to granda! Że to zamach! Że na pewno chcieli mnie tu otruć!

Rohan mrugał powiekami i przekrzywił głowę, nie kompletnie nie pojmując.

- Będę nieprzytomny, Rohan, a ty, z Kusym, narobicie bałaganu. Zanim mnie doprowadzicie do użyteczności - bełkotał Kesan - miną ze dwa dni - to pewne! Teraz możesz spać, jak nie chcesz pić, ty osłe! I pamiętaj o tym, bo tak uzgodniłem z von Sadovem.

Rohan westchnął ciężko, potem jego oczy zrobiły się nagle okrągłe ze zdumienia.

- Kesan! - jęknął, ale ten nie pozwolił mu dokończyć.

- Rozjaśniło się pod stropem, co? - wychrypiął, otwierając nieporadnie następną butelkę. - Mam już osiemdziesiąt siedem lat - mrucał wciąż pod nosem - i nie pamiętam, jak

wygląda wolant albo dźwignia ciągów... - zachichotał nagle i zakaszłał.

Rohan słuchał z rozdziawioną gębą i przewracał oczami. Kesan mówił dalej.

- Tu, w tej starej lepetynie - puknął się niezdarnie w głowę - zapisane są najgorsze chwile życia. Tyle lat musiałem żyć pod ziemią wraz z innymi, wyczekiwać, kiedy będzie można wyleźć, bo te skurwysyny z Dumb-bell zgnoili naszą Ziemię i wybili prawie wszystkich ludzi. Potem, gdy już większość zwariowała, ja stwierdziłem, że to koniec życia tej planety. Tak, mój drogi przyjacielu... A te niedobitki, które teraz żyją, to zdegenerowane formy najświetniejszej ongiś rasy! Najwspanialszej cywilizacji! - wykrzyknął nagle. - Zresztą, co ty możesz wiedzieć, przecież nie znasz tej historii, bo już nie ma takich, którzy by ją przekazali... - uporał się wreszcie z otwarciem butelki, przyłożył ją do ust i zaczął pić, aż bulgotało. Potem ciężko łapał oddech, spojrzał mętnym i przekrwionym wzrokiem przed siebie i zapytał śpiewnym głosem: - Kamikaze. Czy ty wiesz, co znaczy kamikaze?

Rohan wzruszył ramionami.

Kesan beknął obrzydliwie i mamrotał:

- Ka... kami... Kamikaze... - czknął nagle i zwymiotował.

- Kamikaze to jest napój bogów - dokończył za niego Rohan. - A ty jesteś Kesan - pilot, a nie kamikaze - bóg... - powiedział i położył się ponownie spać. Wiedział już, co będzie

robił z rana. Wiedział dobrze, ale bał się o tym myśleć.

Wisiał przywiązany za ręce do dwóch haków wbitych w sufit. Był u kresu sił. Te dwa grube szczuroloty stały teraz w dole, pod nim, i patrzyły nienawistnie. Jeden warknął:

- I śmie jeszcze wymawiać imię tej, która otoczona jest tu czcią i chwałą?!

- Enu... - jęknął Pędrak, już nic nie pojmując. - Biedna Enu... - bełkotał.

Jeden ze szczurolotów wymierzył w jego brzuch silny cios pałką.

- Ty pomocię diabła! - zapiszczał. - Masz powiedzieć, skąd znasz księżniczkę! Czy planowaliście mord?! Tak, to do was jest podobne! - Następny cios padł na żebra; zachrzęściły cicho.

Pędrak jęknął tylko, potem zwiesił głowę i już tak pozostał.

- Zemdlął, ścierwo! - warknął jeden z oprawców, biorąc małe wiadro z wodą. Chlusnął nią na wymęczone, zakrwawione ciało, przez które przeszedł dreszcz.

- No, już dosyć! - odezwał się nagle głos od drzwi, na którego dźwięk struchleli.

Uto-Khal stał w progu w towarzystwie drugiego szczurołota i patrzył na tę scenę z odrazą. Powiedział spokojnie:

- Wszystko już się wyjaśniło, Księżniczka jest u siebie i

śpi pod strażą, choć przyrzekła, że już więcej nie ucieknie, a ten tutaj... - zawahał się chwilę i dokończył: - zasłużył nawet na nagrodę. Tak!

Szczurołot przytaknął głową.

- Księżniczka przechodziła chwile... - Uto zastanawiał się, szukając odpowiedniego słowa - chwilę załamania. Zresztą to nieważne. Miała kaprys poznać życie ludzi, no i przy tym zdobyła bardzo ważne informacje. A ten pomiot opiekował się nią. Tak... - westchnął i rozkazał: Weźcie i wyrzucie go na zewnątrz! Mamy tutaj tych od von Sadova - poinformował. - Teraz śpią i nie chciałbym, aby ten tu znowu zaczął wyć, jak to robił wczoraj. Tamci mogą go usłyszeć, no a wtedy... Bez zastanowienia bierzcie i wyrzucie go na zewnątrz!

- A może by go tak... bąknął nieśmiało szczurołot, który przyszedł z nim, ale Uto-Khal spojrzał na niego ostro.

- Księżniczka życzyła sobie - zaczął i nie kończąc tej myśli, uciął krótko: - Na powierzchnię! - Odwrócił się i wyszedł, a towarzyszący mu szczurołot za nim.

Oprawcy weszli na krzesła i odcięli wiszącego, który spadł bezwładnie na podłogę, wydając z siebie głuchy jęk.

- Odporne ścierwo! - mruknął jeden z nich. Ja bym go!...

- Nie słyszałeś? - warknął drugi, łapiąc karła za rękę. Dalej, bo jest ciężki jak... - stęknął.

Drugi nachylił się, złapał za lewą rękę i pociągnęli go do drzwi. Męczyli się z nim długo, klucząc po korytarzach, schodach i przechodząc z domu do domu, aż dobrnęli z nim do wyjścia, przekazując większym od siebie, strażnikom.

- Macie go odnieść tam - mruknął rozkazującym tonem jeden z oprawców - skąd go wzięliście! - Puścili ręce i odeszli bez słowa.

Strażnicy spojrzeli na siebie, po czym jeden warknął:

- Zawsze my! I teraz w to błocko! Niech to!...

Ruszyli na powierzchnię, ciągnąc za sobą ciało umazane krwią i błotem.

Pędrak ocknął się nie wiedząc, gdzie jest i co robi w tym mokrym, ubłoconym miejscu. Powoli unióśł głowę i wydał z siebie cichy jęk.

- Enu...

Spojrzał na okolicę i dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że jest w znanym sobie miejscu. Próbował wstać, jednak ciało przeszło ostry ból.

- Chcieli zabić, pomioty - pomyślał i zastanowił się: - Ale przecież jestem tutaj, a nie u nich! A więc im uciekłem! Nie, to przecież niemożliwe, no bo jak? - Podniósł powoli obolałe ręce, dźwignął się i przewrócił na lewy bok, wydając zaraz przeraźliwy okrzyk.

Niebo nad nim rozerwało się nagle, wyrzucając jaskrawo-żółtą błyskawicę.

- Porwali mnie i Enu! - przemknęło mu przez głowę. A ja uciekłem. No dobrze. Ale jak? W jaki sposób to zrobiłem?

Nie pamiętał nic.

Grzmoty i dźwięki podniebnego kowadła rozbijały przestrzeń. Pędrak podniósł oblepioną mazią głowę, spojrzął w to nienawistne, czarne niebo i zawył: - Enuuu! Eenuuu!... - Pełen rozpaczy i bólu głos zamarł w krtani, bo piekło nad nim odpowiedziało kakofonią wrzasków.

- Jak długo tutaj jestem? - zastanawiał się, wysilając pamięć nadaremnie. Czuł przejmujące zimno, to znowu gorąco rozpałało wnętrze. Zdobył się na wysiłek i usiadł, wyjąc z bólu. - Co z nią? Co z nią? Co z Enu?! - Jedna myśl tłukła się po mózgu, przez który coś przebłysło, przecisnęło się i zapytało: - „Przecież o niej coś mówili... Zaraz, zaraz. Powoli... Pytali o nią!” - Spojrzął rozgorączkowanym wzrokiem w czarną dziurę przed sobą i im dłużej patrzył, tym bardziej nie mógł uwierzyć, bowiem obraz poszarpanej czeluści nabierał ostrości, barwy i kształtu.

- Enu... - wyszeptał spękany, porozbijany wargami. Z trudem wyciągnął rękę chcąc dotknąć jej futerka i nagle tracąc równowagę runął w tę otchłań wydawszy jeden, jedyny, przejmujący i wypełniony trwogą, okrzyk.

Leciał tak i leciał, a Enu uciekała przed nim, potem wyciągnęła do niego rękę, a on nagle wpadł w te objęcia, patrząc...

w twarz matki! Matki, która wyszeptala czule: „Już jest dobrze, mój Pędraczk... No nareszcie... Dobrze, że już jesteś...

Molanzy Kana chodził szybko po swojej jaskini, klął i złorzeczył wszystkim, rzucając co chwila wściekłe spojrzenia na śpiącego Janowitza.

- Gruba Katarzyna?! - wrzeszczał. - I ten stary przygłup - Otto Kaznodzieja? Ci z Pierścienia Zachodu? Banda Bułhyczowa? I kto jeszcze? I kto jeszcze? - opierając się o duży fotel, dyszał ciężko.

- Kurt! - zasyczał nagle. - Ty degeneracie! Nie śpij! Wszystkie diabły z piekła rodem podążają do nas, a ty sobie chrapiesz, jakbyś obżarł się na zapas! - Rzucił szybkie spojrzenie na Burego i zapytał: - Mówisz, że tych nowych są tam setki lub tysiące? Że ten Buga-Mściciel, no i Ryba, tam zostali? I że Szustin był w rzeczywistości Jednakowym! A mówiłem zabić go, kiedy knuł tu zdradę! Nie! To ponad moje siły! Ta zaraza o zjednoczeniu zaczęła się od niego! To Szustin pierwszy przebąkiwał i namawiał - teraz sobie przypominam! Gdzie jest Profesorek? - zaryczał nagle. - Leć do niego, Bury, niech gotuje już maszynkę! Oni wszyscy się sprzysięgli! Chcą odebrać mi Górskie Dziury! Niedoczekanie! Ogłoś alarm, fajtłapo! Trzeba się przyczaić, wyciąć wszystkich! Ogłoś w gniazdach pogotowie. Niech szykują się do boju!

Bury stał jak skamieniały. Patrzył na Molanzy Kanę z przestachem. Jego twarz usiana ropiejącymi wrzodami była

nabrzmiała i czerwona z gniewu i wściekłości. Bąknął jednak cicho:

- Ryba mówił, że podobno u nas jest Wędrowiec. Czy... Czy to prawda?

Kana znieruchomiał i spojrzał na niego przeciągle, potem przeniósł wzrok na Janowitza.

- Słyszysz, Kurt! Ryba... - prychnął. - Mściciel... Szustin... Mam jednego. Trzymam go w zamknięciu! - krzyknął, wybałuszając oczy na Janowitza. Potem szepnął głosem zabarwionym przerażeniem: - Tam! Tam, za nim! Jakiś cień!...

Bury drgnął, zamrugał powiekami i wbił oczy w śpiącego starca.

Kana szeptał z niepokojem: - Ich jest dwóch! Czy mi się zdaje? Bury! Kto to? On jest... On jest w nim! Bury! Na ratunek!

Dowódca zwiadu stał jak sparaliżowany.

Kana zerwał się, zatoczył i doskoczył do ściany, porywając z niej błyszczący miecz.

- Nie dam! - charczał. - Tak, on czai się za Kurtem albo?...

Starca postać Janowitza zaiskrzyła się fioletem, potem otoczyła ją jakby biała aureola. Kana zbladł i zsiniał na twarzy; zaczął niebezpiecznie wymachiwać mieczem. Jego usta z trudem łapały powietrze. Kaszłał, dusił się i dławił, jednak zdobył się na wysiłek i doskoczył do śpiącego. Wziął szeroki zamach - świst powietrza i odrąbana głowa odpadła na bok, tocząc się pod ścianę.

Starczym ciałem Kany wstrząsnął dreszcz. Na zakrwawiony kadłub Janowitza nałożyła się zakapturzona postać. Drgała, przenikała, to znowu się cofała, wciąż pulsując.

- "Nadszedł czas..." - usłyszał Kana głos dochodzący z podłogi. - Odrąbana głowa przemawiała! Kana spojrzał na dowódcę zwiadu - jego oczy zapalały zieloną poświatą, a usta poruszyły się bezwiednie:

- "Czas twej śmierci... Już powstaje nowe, a co stare, podłe i zdradliwe, musi odejść..."

Molanzy Kana złapał się za gardło. Wypuszczając zakrwawiony miecz i wybałuszając oczy, padł na skóry szczurołotów, nie wydawszy nawet jęku.

- „A ty idź” - usłyszał Bury. - „Otwórz bramy, spuść pomosty. Słuchaj tych, co nadchodzą”.

Dowódca zrobił w tył zwrot i sztywnym, mechanicznym krokiem opuścił jaskinię.

Von Sadow odstawił pod ścianę swój wielki miotacz, zdjął z pleców kwadratowy pojemnik z paliwem, przesunął szybę polaryzacyjną hełmofonu do góry i spojrzał pytająco w czerwone ślepie dowódcy szczurołotów.

- Możemy schodzić - powiedział ten cieniem głosem.

- W porządku. - Sadow dotknął mimowolnie rękojeści pistoletu ukrytego pod lewą pachą, z którym nigdy się, nie rozstawał, namacał schowany w kieszeni granat, a widząc

spojrzenie szczurołota, wyjął z tej samej kieszeni cygaro i zapalił je z beztrząsą miną, uśmiechając się drwiąco.

Droga nie nastęczała większych trudności i jak Sadov domyślał się, schodzili niezbyt głęboko pod ziemię. Po chwili stanęli w długim, słabo oświetlonym tunelu, pośrodku którego biegł rząd szyn, ginących w dalekich ciemnościach.

Zatrzymali się przed trzema płaskimi wózkami ustawionymi na torach. Szczurołot wyjaśnił:

- Do pierwszego wsiadamy my, do drugiego wy, do trzeciego - straż tylna.

Zrobili, jak kazał, zajmując miejsca na twardej ławce. Platformy były połączone z sobą; teraz drgnęły i ruszyły do przodu, nabierając rozpędu.

Von Sadov milczał i wpatrywał się w starczą twarz swojego drugiego pilota, pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu, potem przeniósł wzrok na spokojne oblicze Wędrowca. Czuł zdenerwowanie. Myślami był w miejscu, gdzie przebywał Kesan i w Pałacu opanowanym przez Jednakowych. Zastanawiał się też, jak dotarli do Górskich Dziur inni wraz z Otto Kaznodzieją, który ze swoimi ludźmi nie zabawił u niego długo. Czy będą żyli zgodnie z Aramusanami od Grubej Katarzyny i najbardziej agresywną grupą wojowników Pierścienia Zachodu i co okaże się u celu - w podziemnych hangarach? O tym ostatnim miał się dowiedzieć już za chwilę.

Jadąc w ciemnościach mijali jakieś skrzyżowania - odnogi tunelu prowadzące gdzieś w nieznanne kierunki, wreszcie

wyczuli powolne hamowanie, aż stanęli przed potężną, siwą, betonową ścianą przedzieloną od góry do dołu prostą krechą.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział im szczurolot w skórzanym, trochę przydługim kombinezonie i dziwnym szyszaku na głowie. Zeskoczył z platformy pierwszego wózka, a reszta zrobiła to samo, trzymając w pogotowiu swoje niebezpieczne kusze z wybuchającymi grotami.

Sadov popatrzył na nich ironicznie i powiedział:

- Czego się boicie? Przecież oddaliśmy naszą broń na górze.

- Nie boimy się - odpowiedział szczurolot.

- No to po co oni wciąż celują do nas? Nie potrzebujecie się obawiać, dotrzemy danego słowa.

Dowódca szczurolotów zrobił gest, po którym strażę opuściły kusze. Ruszyli w stronę ściany, wsłuchując się w ginące gdzieś w oddali echo swoich kroków.

- Zaczęła się gra - pomyślał von Sadov i ze zdziwieniem odebrał myśl Wędrowcy: - „Którą my musimy wygrać!”

- Teraz wszystko zależy od ciebie, Fechner - szepnął Sadov pod adresem milczącego wciąż pilota.

Ten mruknął cicho: Bądź spokojny. Wiem co robić. Nie zawiodę.

Patrzyli, jak szczuroloty doskoczyły do kołowrotów i kręcąc korbami, nawijały stalowe liny na duże bębny. Po chwili

krecha w ścianie zaczęła się rozsuwać i powiększać. Kiedy była wystarczająco szeroka, ich przewodnik wskazał gestem ręki ciemne przejście.

Ruszyli powoli i niepewnie, zauważając już z tej odległości potężny kształt najbliższego pojazdu.

- O Boże!... - jęknął pilot i zaraz zamilkł.

Von Sadov i Wędrowiec spojrzeli na niego uważnie.

Kiedy weszli do środka, któryś ze szcurołotów zapalił światło zawieszone gdzieś wysoko pod stropem, rozpraszając ciemności.

Sadov spojrział zafascynowanym wzrokiem na ogromną, cygarowatą bryłę pojazdu. Dowódca szcurołotów obserwował uważnie zachowanie i każdą reakcję ludzi.

Pilot, dotąd zgarbiony i z ponurą miną, teraz jakby urósł - wyprostował plecy i powoli ruszył w stronę walcowatego podwozia. Przeszedł pod trójkątnym, rozłożystym, sięgającym ogona skrzydłem, zatrzymując się przy poczwórnych grubych kołach, potem ruszył dalej, nie zwracając uwagi na postępujących za nim. Doszedł do kadłuba, odwrócił się i zajrzał w ciemne, prostokątne otwory dysz silników z ukrytymi w głębi turbinami, zadarł głowę, cofnął się o parę kroków i ledwo widoczny uśmiech pojawił się na jego starczej twarzy.

Pierwszy nie wytrzymał von Sadov. Podszedł do Fechnera, wciąż stojącego z tym zagadkowym uśmiechem, i zapytał:

- Odezwiż się wreszcie i powiedz, co o tym sądzisz?

Pilot zająrał mu głąboko w oczy i wykrztusił:

- Ależ to jest to!

Jednak von Sadov i Wędrowiec wyczuli w tym okrzyku nutę fałszu.

Szczuroloty wymieniały w tym czasie szybkie uwagi.

- Drabinka! - wyrzucił z siebie pilot. – Albo schody!

Małe futrzane postaci w lot pojęły, o co chodzi, bo już po chwili pchały wysokie, pochyłe podejście na gumowych kołach. Zatrzymały się przed pilotem, oddychając ciężko.

- Nie tu! - zauważył ten gniewnie. Był podniecony. - Do klapy włazu!

Kiedy błyskawicznie przepchnęły w to miejsce schody, pilot wszedł na nie, za nim Sadov, Wędrowiec i na końcu dowódca szcurolotów ze swoimi strażnikami.

Fechner stanął na podeście, chwilę dyszał ciężko, potem nadusił ukrytą gdzieś dźwignię, bo kłapa włazu drgnęła i zaczęła się przesuwac w bok, ukazując mroczne wejście.

Wchodzili do środka za pilotem, który prowadził ich przez ciemny tunel. Fechner stanął przed następnym włazem, manipulował przy nim, aż otworzył go. Oczom wszystkich ukazało się nieduże wnętrze z fotelami, przed którymi była szeroka tablica usiana różnymi punktami licznych klawiszy i

przycisków, a na niej coś, czego nikt jeszcze dotąd nie widział prócz pilota. Ten wszedł do środka i zajął miejsce w jednym z foteli przed tą dziwną, półokrągłą ścianą. Długo w milczeniu wpatrywał się w różne przyrządy, potem z wahaniem położył ręce na drążkach wystających z boku, lewą ręką zaczął przełączać na pulpicie jakieś przyciski i ściana rozbłysła nagle dziesiątkami różnokolorowych światełek.

- Ooo! - zapiszczał z przejęcia któryś ze szczurołotów.

Von Sadov oddychał nerwowo. Pilot manipulował jeszcze na tablicy i powiedział, nie odwracając się:

- Wszystko sprawne! Nie chcę uruchamiać silników, bo strop mógłby się zapaść od huku i wibracji, ale one są gotowe do rozruchu. Nawet wskaźnik paliwa jest w pozycji „full”.- Oparł się wygodnie o podglówek i rzekł z rozmarzeniem w oczach:

- Mógłbym wypróbować, ale tylko na powierzchni... - Potem siedział długo nieruchomo w zamyśleniu i z czułością gładził dźwignię ciągów.

- No więc jak? - przerwał milczenie dowódca szczurołotów, nie panując nad podnieceniem; kręcił się i przestępował z nogi na nogę.

- Polecą - odrzekł krótko starzec, podnosząc się z fotela.

Bury stał nad pomostem głównego wejścia i z jakimś odrętwieniem przyglądał się nadchodzącym. Jak okiem sięgnąć,

widniał tylko długi sznur nie kończącej się procesji - morze ludzkich głów - która przechodząc pod nim, głównym wejściem, znikiała we wnętrzu Górskich Dziur.

Bury sterczał tu od rana i oparty o skalną ścianę patrzył na wciąż nadchodzących. Widział nieprzebrane rzesze Aramusan o zielonych, rozczochranych włosach i ich obrońców - wojowników Grubej Katarzyny, maszerujących w długim dwuszeregu po bokach głównego traktu; wojownicy „nieśli ciężkie tarcze, a na barkach - broń najprzeróżniejszego gatunku.

Patrzył na ponurych wojowników Pierścienia Zachodu, którzy kroczyli, podobnie jak obrońcy Aramusan, zamykając w. środku dwuszeregu setki kobiet, dzieci i starców. Wojownicy byli ubrani w grube skórzane kaftany z wyprawionej szczurolociej skóry, z metalowymi naramiennikami, na nogach mieli długie okute blachą, zakurzone buty. Głowy chroniły różne kaski, hełmy i szyszaki połyskujące w jasnym świetle przedpołudnia. Każdy ścisnął w dłoniach ciężki miotacz.

Za nimi nadchodzili ludzie' Otto Kaznodziei, którego ciemne pojazdy zatrzymały się u podnóża Górskich Dziur. W tumanach pyłów i kurzu, posuwały się sławne srebrzyste drużyny desantowe Bułchyczowa, osłaniając swój lud, a za nimi, poza tumanami kurzawy i opadających mgieł, nadchodzili Jednakowi Sępa z Gór, których powiewające proporce na długich drzewcach widoczne były wyraźnie. Sunęli jak czarny

jęzor lawy. Dalej nie było już nic widać, choć Bury, regulując ostrość swojej lornetki, wyęźzał wzrok. Spojrzał jeszcze na pobliskie ściany gór, na ukryte gniazda wartowników i straży czuwającej nad bezpieczeństwem nadchodzących, potem opuścił lornetkę.

Zbliżało się południe, kiedy podszedł do niego ten, na widok którego czuł mróz w kościach i zrywający się z uwięzi lęk.

Wędrowiec stanął za nim i powiedział cichym, pozbawionym jakiegokolwiek zabarwienia głosem:

- Kiedy nadejdzie wieczór, będzie tu dopiero połowa. Tych, co już nadeszli porozmieszczano po jaskiniach i niżej położonych grotach. Kobiety zajęły się chorymi, bo i tacy też są w grupach, a zwiadowcy czuwają nad porządkiem, tak że nie ma większych kłopotów. Ludzie są wyjątkowo zdyscyplinowani jakby rozumieli wielkość i doniosłość chwili! A nowy czas już się zaczął!

- Mówisz tak - zdobył się na odwagę Bury, dobywając ze zdławionej strachem krtani głos - jakbym to ja sprawował funkcję... - nie dokończył, czując na sobie obezwładniające spojrzenie i słysząc cichy głos:

- Posłuchaj, Bury. Ty nie jesteś złym człowiekiem, tylko popełniłeś podstawowy błąd: zbyt mocno zawierzyłeś Kanie.

- Dlaczego ich zabiłeś?

- Bo nie było innego wyjścia. Zresztą taki miałem rozkaz.

- Rozkaz? - Bury drgnął i spojrzał na bladą twarz Wędrowca, osłoniętą kapturem.

- Nie rozumiesz tego, Bury - szepnął ten.

- Sięgnij myślą wstecz. Gdyby nie było szczurołotów, ludzie znaleźliby wroga w sobie. Długo dojrzewaliśmy do tego, aby zacząć myśleć o zjednoczeniu, bo tylko w jedności jest siła. W rozsypce nie mielibyśmy szans na przetrwanie i tak zakończyłaby się historia rasy ludzkiej - cywilizacji, która kiedyś była tak potężna! Powiem ci tylko, że tacy jak Kana musieli zginąć. On wywołałby bratobójcze walki, a tego trzeba było unikać. Za wszelką cenę! Wiesz, że musimy się zjednoczyć, bo inaczej przestaniemy istnieć, a ci tutaj - wskazał na maszerujące tłumy - są pierwszym przejawem ludzkiego rozsądku od dziesiątek lat, a może i więcej... Nie jest jeszcze tak, jakbyśmy chcieli, ale...

- Myśmy? - wpadł mu w słowo Bury. - To znaczy kto? Nie pamiętam, by ktokolwiek zapowiadał takie zgrupowanie.

- Ci, którym przetrwanie rasy ludzkiej leży najbardziej na sercu. Niebawem przekonasz się, Bury, i otworzą ci się oczy szerzej, kiedy wyruszymy stąd do Ożywionej Ziemi. I dlatego właśnie tu wypadło spotkać się wszystkim, bo stąd jest najbliższej do przejścia na Drugą Stronę.

- Wierzysz w to? - ni to zapytał, ni to stwierdził dowódca zwiadu, z jakąś nutą wątpliwości w głosie, zapalając trzymane w drżących palcach cygaro.

- Gdybym ci powiedział, w co wierzę, Bury - rzekł

Wędrowiec - postradałbyś zmysły. Teraz przestań medytować i uspokój rozterki, które cię zżerają.

Bury spojrział na niego z niepokojem w oczach; wzbudzał lęk ten człowiek potrafiący czytać w myślach, należący do tych, o których Bury nic wcześniej nie wiedział.

- Myślisz nad tym - ciągnął ten jaki potwierdzając jego podejrzenia - kim będziesz teraz, kiedy nie ma Kany?

Dowódca zwiadu słuchał zdumiony.

- Jesteś tutaj gospodarzem - kontynuował Wędrowiec - i weź się wreszcie w garść. Pomóż innym, zatroszcz się o ludzi, bowiem są zmęczeni, wycieńczeni drogą. Moi padają już z nóg, bo są ciągle w ruchu; dbają o to, aby jak najlepiej rozlokować wszystkich. To jest wielki problem. Górskie Dziury są ogromne i pomieszczą wszystkich, ale należy się tym zająć. Tu potrzeba organizatora, który będzie nad wszystkim czuwał, a nie stał i trawił klęskę dwóch degeneratów!

Ręka Burego z cygarem zamarła w połowie drogi do ust.

- Myślisz o mnie? - bąknął. - Weź się do roboty, Bury - szepnął Wędrowiec - a zobaczysz sam, co w tobie drzemie.

Dowódca zwiadu odwrócił się raptownie w jego stronę - wzrok trafił na pustkę. Znowu poczuł ten charakterystyczny mróz w kościach, ale zaraz opanował to uczucie.

Wieczór nadszedł szybko. Pozapalano potężne reflektory ukryte w gniazdach i zdwojono czujność.

W Jaskini Jaskrawej, w której mieszkał Kana, zebrali się wszyscy przywódcy grup, przybyli już do Górskich Dziur. Zasiedli wokół ciężkiej, kamiennej płyty i rozmawiali z sobą przyciszonymi, zmęczonymi głosami, czekając na tego, który miał zabrać głos w imieniu najważniejszych - teraz jeszcze nieobecnych.

Kiedy wszedł bocznym wejściem, nikt go nie dostrzegł, tylko Bury stojący przy głównych drzwiach.

Wędrowiec zatrzymał się przy stole i powiedział cicho, jak to miał w zwyczaj:

- Nazywają mnie Alcot. Alcot znaczy Wilk. Witam wszystkich w imieniu Wuka, zabójcy Phakha Białego, i w imieniu Kultinaka!

- To dla mnie jest za trudne, Ryba - mówił Wielki Buga siedząc na płaskim kamieniu. - Czy widziałeś te wszystkie urzędnika? Czy widziałeś broń, jakiej ja w życiu jeszcze nie widziałem? A słyszałeś ich rozmowy przez to szklane pudło? I to pudło im odpowiadało! Nie, to wszystko jest za trudne na mój głupi łeb! Oni nie są stąd i diabli | wiedzą, czy to nie ja-cyś nowi Ratownicy albo jeszcze j gorzej - Niszczyciele! Mówię ci, czuję po raz pierwszy w życiu strach.

Ryba milczał i z uporem kopał butem kamieniste podłoże, wzbijając obłoki pyłu.

- Pieprzysz bzdury! - mruknął po chwili namysłu. - Gdyby nimi byli, daliby nam w łeb już dawno! Oni nie są wrogo nastawieni. A to pudło, to jest coś w rodzaju stacji łącznościowej. Już takie kiedyś widziałem. I masz rację: ani się dogadać z nimi. Zrozumiałem tylko, że mamy czekać, że coś chyba ma przylecieć z nieba, bo tak ten twój Czuni pokazywał, i mamrotał, że się wtedy niby dogadamy. Ale jak?... I co ma tu przylecieć?...

- Bo ja wiem? - westchnął Buga. - Bury też nie wraca, choć już mija drugi tydzień...

- Nie podoba mi się Bury - wtrącił Ryba. - Kana jest dla niego bogiem! Nie wiadomo, co nagada o nas, o Szustinie?

- Czym się przejmujesz? - obruszył się Mściciel. - Teraz myśl, jak rozgryźć ten cholerny problem. Sądziłem że tu są tylko oni - wskazał głową długie wzgórze - a okazuje się, że tam, kilkanaście kilometrów dalej, w kotlinie mieszkają ich pobratymcy!

- Buga! - Ryba wstał raptownie i popatrzył na przyjaciela z napięciem w oczach. - Pamiętasz to trzęsienie ziemi, kiedy myśleliśmy, że świat wali się i zlecą nam na głowę nasze góry? Pamiętasz?

Olbrzym spojrział na niego, następnie utkwiał wzrok w ziemi. Chwilę milczał, potem mruknął:

- Tak, to było wtedy, kiedy kończyliśmy dyżur w gnieździe - tuż przed zmianą. Tak - dodał szybko - pamiętam!

Szczyty się łamały i pękały jak zwietrzałe, lecąc w dół w zwa-
riowanym pędzie. Ale co masz na myśli?

- Przyjacielu! - Ryba był podekscytowany. - Weź lornetkę
i spójrz uważnie na powierzchnię Szklanej Pustyni.

- Gadaj wreszcie, co ci chodzi po łbie? - Mściciel spojrział
w okular lornetki, potem mruknął niepewnym głosem: - Wi-
dzą parów. Głęboki, prosty i ginący w dali.

Gdzieś przez żółte niebo przewalił się nagle słaby odgłos
dalekiego grzmotu. Spojrzeli na siebie. Ryba opadł na ka-
mień, rzucił okiem jeszcze raz na niebo i powiedział:

- Wiesz, co myślę?

Mściciel zerknął na niego z ukosa.

- Że to wzgórze, to nie wzgórze, ale statek, który rozbił
się na naszej ziemi przypadkowo.

- Pieprzysz, brachu! - zachnął się Buga. - Widziałem róż-
ne pojazdy w swoim życiu, ale jeszcze nigdy takiego, który
wyglądałby jak to wzgórze!

- Coś się stało i wlecieli w atmosferę, nie umiejąc wyha-
mować - ciągnął Ryba, nie słuchając kolegi. - Zobacz! Z ze-
wnątrz niby wzgórze, ale takie jakieś gładkie, we wgłębie-
niach poszarpane dziury, chropowate wnęki i uskoki, reszta
równa i wyszlifowana! A wewnątrz metal i pokłady, wszystko
podzielone, same urządzenia i ta broń... I w ogóle... Niech to
wszystko! - zaklął szpetnie. - Że też nie możemy się dogadać!

- Tak, cholera! Trzeba czekać! Ale zaraz... Czy pamiętasz stację, którą ma u siebie Kana? - Kiedy Ryba mu przytaknął, Buga ciągnął dalej: - Przecież ci parszywce, Ratownicy, też gadali z Kaną, choć ich język, z piekła rodem, był dla nas nie znany! Ale Kana ich rozumiał, no i oni jego!

- Ma przylecieć jakiś pojazd - myślał głośno Ryba. Ty! - wykrzyknął nagle. - A może oni mają też takie pudło, które będzie mówiło naszym językiem?

Spojrzeni na siebie równocześnie, widząc w swoich oczach przerażenie.

- W takim razie - wykrztusił Ryba - muszą być w kontakcie z Ratownikami! Bo oni przecież nigdy nie wpuściliby tu obcych!

- Ryba! - olbrzym zrobił wielkie oczy. - Wiesz, że nie pomyślałem o tym! To psubraty! Może są faktycznie w komitywie z tymi parszywcami?! A to wdepnęliśmy w gówno! Trzeba mieć się na baczności!

Zamilkli patrząc w jeden nie określony punkt przestrzeni.

- Tylko nie pasuje mi tu jedno - odezwał się po chwili Ryba. - Bo jeżeli są w komitywie z tymi pomiotami, to dlaczego nie dobrali się już wtedy do nas, kiedy daliśmy łupnia szczurołotom? I dlaczego te na nich napadły? Ratownicy żyją z nimi w zgodzie. Podobno to jest ich twór - wynik genetycznych kombinacji albo tych diabelskich gadów - Niszczycieli! Coś tu nie gra! I to mi nie daje spokoju.

Buga westchnął ciężko.

- Poczekamy, brachu. Nie chce mi się wierzyć, żeby byli takimi podlecami, chociaż na tym świecie wszystko jest możliwe... Przecież są przyjaźnie nastawieni! Dają żreć i zakurzyć, pozwalają łązić tam, gdzie tylko chcemy. Nie, to nie są kumple Ratowników. Oni mają inny język. Słuch mam dobry, a ten głos z tej ich stacji w niczym mi nie przypominał bełkotu tych diabelskich gadów. Tylko jakim cudem przylecieli nie zauważeni? No i dziwne, że tu zaraz się nie pojawili Ratownicy!

Dalsze spekulacje przerwał im donośny okrzyk.

- Ryba! Buga! - Czuna stał na pochylni i przywoływał ich ruchem ręki. Jego twarz zasłaniała szyba hełmu.

Podnieśli się powoli i ruszyli W jego stronę. Kiedy doszli bliżej, usłyszeli:

- „Ryba Buga przyjaciel Czuni obcy Czuni przyjaciel Ryba Buga brachu...”

Zdębieli. Podchodząc ostrożnie bliżej zauważyli, że Czuna ma zawieszoną na piersi jakieś niewielkie pudło, a na głowie hełm. Przecież nigdy go nie wkładał wychodząc na zewnątrz. Ani on, ani inni. Z pudła wyleciały nowe słowa:

- „Czuni leci ziemia leci ziemia Tai leci ziemia Min leci ziemia Kanajo Ryba Buga chodź ogień ziemia Ryba Buga śmierć...”

Stali sparaliżowani. Spojrzeli szybko na niebo, mrużąc oczy. Nadchodzący grzmot był coraz bliższy i wyraźniejszy.

- Co to znaczy „Ryba, Buga, śmierć”? - przeraził się olbrzym. - O czym on pieprzy i co to jest za pudło? Ryba! Co jest grane?

- Wiem! O rany! - krzyknął ten. - Pamiętasz, ile nam kazali gadać do tej swojej stacji łącznościowej? Teraz już kapuję, czemu włożył hełm na tę swoją łuskowatą łepetynę! On tam, w środku, ma głośniki i dokładnie słyszy, co mówimy, a to pudło przetwarza i tłumaczy! - Ryba urwał nagle, widząc zdumione spojrzenie Bugi. Dodał jeszcze: - Na takiej samej zasadzie Kana gadał z Ratownikami. Kapujesz teraz, brachu?

Gdzieś nad sobą usłyszeli jednostajny i wciąż narastający grzmot. Czuna złapał ich za ręce i pociągnął do wnętrza wzgórza. A tymczasem strażnicy zamykali szybko kłapy wejść.

Jaskinię zasnuwała mgła tytoniowego dymu, unosząca się pod skalnym, okopconym stropem, tworząc siwobłękitnawe pasma nieruchomo wiszące nad siedzącymi i stojącymi wokół kamiennego stołu. Od ścian pokrytych szczurolocimi skórami sączyło się złocistawe światło ze srebrzystych kinkietów. Duże, rozłożyste, w kształcie rozpląszonego pająka kandelabry ozdobione były wiszącymi szklanymi soplami, które połyskiwały kolorowo i wydawały cichy, delikatny dźwięk dzwonek.

Wszyscy słuchali teraz starego Wendy, przywódcy Pierścienia Zachodu.

- Nie wiem, co tu się stało i nie chcę wiedzieć - mówił ponuro, wodząc wzrokiem po obecnych - ale nienawidzę jakiegokolwiek przykazu! Przyszedłem z dobrej woli, a nie jak ktoś tu mruczał pod nosem, że pod naciskiem Wędrowców! - wyrznął kościstą pięścią w blat stołu i znowu spojrzął na wszystkich chłodno, zatrzymując wzrok na Wilku.

- Przykaz jest jeden - odezwał się Wilk - zjednoczyć się, zniszczyć szczuroloty, przenieść się na Ożywioną Ziemię i zemścić na tych z Dumb-bell!

- Zapominasz o przetrwaniu - wtrąciła Gruba Katarzyna puszczając kłęb dymu z cybucha swojej fajki. - Myślicie tylko o odwecie. A co będą robiły kobiety pozbawione mężczyzn? Wojna z Niszczycielami! A kto ją pamięta? Mało przeżyło tych, którzy wtedy byli dziećmi, kiedy tamci odlecieli. Podjazdowa wojna z Ratownikami? Teraz - ze szczurolotami? Między sobą... I z kim jeszcze? - podniosła głos i dodała: - Przecież nie powiecie mi, że na Ożywionej Ziemi będziemy żyli w idealnej zgodzie, skoro każdy w skrytości ducha stawia sobie pytanie: pod czyim przywództwem?

Milczeli, a ona mówiła dalej.

- Wenda nie będzie chciał stracić swoich wpływów, Bułchyczow także, Sęp z Gór jest dumny i ambitny, z trudem zmusza się, by słuchać Kultinaka, Wikary tak samo, Otto Kaznodzieja ma co prawda syna, ale... - zawahała się, patrząc

na zgarbioną postać -... ale pogodził się ze wszystkim, a von Sadow? Sadow też jest opętany żądzą zemsty i na szczurołotach, bo mu kręca się pod nosem, i na Ratownikach, bo go wykiwali!

- Więc kto pozostaje? - zapytał Bułhyczow, czyszcząc długą drzazgą paznokcie.

- Chcecie decydować bez najważniejszych? - rzucił pytanie Wilk.

Gruba Katarzyna, która kończyła coś mówić do Sępa, poprawiła ruchem ręki związane na karku w gruby węzeł włosy i powiedziała:

- A więc poczekamy, aż się zjawią najważniejsi, bo gdybyście posłuchali wcześniej tego, co mówili Aramusanie, nie siedzielibyśmy teraz tutaj, ale tam, po drugiej stronie tego łańcucha gór - na Zielonej Nizinie. - Teraz popatrzyła uważnie na drgające szklane sople i zapytała: - Dlaczego one tak się trzęsą? Przecież nie czuję tu przewiewu?...

Spojrzenia wszystkich zwróciły się w tym kierunku. Sople drgały lekko i dźwięczały, a z osmolonego wysokiego stropu posypały się małe okruchy skalne. Poczuli, że drży też potężna płyta kamiennego stołu.

Ciężkie, dębowe drzwi wejściowe otworzyły się nagle i ktoś wywołał imię dowódcy zwiadu.

Bury ruszył szybko do wyjścia. Kiedy tam się znalazł, natrafił na bladą i przejętą twarz swojego zwiadowcy, który zameldował:

- Po drugiej stronie, za przełęczą, wylądowali Ratownicy!

Bury znieruchomiał i długo nic nie mówił, wreszcie odezwał się zduszonym głosem:

- Obserwujcie ich uważnie i o wszystkim mi meldujcie! - Powrócił szybko do obradujących.

- Jest źle - powiedział już od drzwi.

Oczy wszystkich skupiły się na jego twarzy.

- Po drugiej stronie, za przełęczą, wylądowali Ratownicy! - wyrzucił z siebie.

Chwilę panowało głuche milczenie, potem zaczął się ruch.

Cztery barki desantowe prawie że jednocześnie dotknęły księżycowego gruntu na przedpolu dziwnych zabudowań. Ci, którzy z nich wyskoczyli byli wprawieni w poruszaniu się w warunkach pozbawionych atmosfery i siły ciężenia. Nie przeszkodziło im to bynajmniej zbliżyć się w forsownym marszu do zabudowań tej nieznannej bazy i otoczyć ją z czterech stron. Potem pierwsza grupa bez większych trudności wdarła się do wnętrza największego zabudowania, rozbijając jeden z włazów protonowym ładunkiem.

Pozostałe ekipy atakujące z trzech sąsiednich stron, uczyły dokładnie to samo, wdzierając się do środka w tym samym czasie, co pierwsza.

Cztery grupy desantowe różniące się kolorami skafandrów i oznakowaniami na plecach i piersiach, doskonale wiedziały,

że atak na pustą przecież - co sprawdzono uprzednio - bazę jest rutynowym działaniem - sprawdzeniem wpajanego i wyćwiczonego od lat odruchu, ale też i demonstracją umiejętności jednych przed drugimi.

Rozsypali się po pustych pomieszczeniach penetrując je, potem zawrócili i wychodząc na zewnątrz, każdy zespół z innej strony, utworzyli szpalery, którymi przeszli dowódcy, opuszczając uprzednio barki, kierując się do głównego pomieszczenia półkolistej bazy.

Jako neutralne miejsce spotkania wybrali satelitę „trzeciej” i zabudowania tej nieznanej bazy, przysypanej cienką warstwą księżycowego pyłu.

- Po raz pierwszy od stuleci! - wykrzyknął przedstawiciel Tajów, stając pod ścianą i patrząc na pozostałych. - Kto by pomyślał, że nadejdzie taka chwila, aby gadać zgodnie, bez wycelowanych w siebie rusznic. - Jego twarz w żółte pasy drgnęła za przezroczystą kulą hełmofonu, a ciemne trójkąty oczodołów zaiskrzyły się złotawym blaskiem.

- Mamy gadać o tym, co zdarzyło się na tej planecie - rzekł niski Min, potrząsając jajowatą głową - a nie o towarzyskim spotkaniu w innym wszechświecie, do którego diabli wiedzą, jak trafiliśmy!

- Mamy gadać - wtrącił Czuna - jak wydobyć z tej planety naszych braci, bo gdybyśmy mogli wylądować, to spotkanie by się nie odbyło. Nasze statki są za wielkie, żeby potem podnieść się z powierzchni. Tylko „Iuta I” Tajów potrafi, bo jest

małym statkiem zwiadowczym. To jest pierwszy problem. Drugi: jak wydostać się stąd w ogóle!

- Nic nie rozumiecie! - odezwał się wysoki Kanajo w błękitnym kombinezonie. - Informacje od Czunów, z powierzchni tej planety, mówią o jakimś potężnym Rozumie, który doprowadził do tej apokalipsy, a nie - jak sądziliśmy - te dwa gatunki zwalczające się wzajemnie. Tu był ktoś, z kim oni prowadzili długotrwałą wojnę. Ten ktoś ją wygrał i odleciał. Nie ma go w tym układzie, bo byśmy na niego trafili.

- Tak, faktycznie - przyznał przedstawiciel Tajów - choć nadal nie znamy przyczyny konfliktu. Zresztą to jest nieistotne. Najważniejsze, że trafiliśmy na ślad Rozumu, być może o potencjale tak potężnym, jaki my przedstawiamy!

Wysłannik Minów parsknął śmiechem i po chwili zapytał:

- O kim mówisz? O jakim potencjale? Przedstawiamy obraz nędzy i rozpaczki! Trzeba się dowiedzieć, gdzie i jaką przestrzeń Rozum ten zamieszkuje! Wówczas udać się tam, by szukać rady.

- Jakiej rady? - wtrącił Kanajo.

- Jak wydostać się z tego wszechświata! - odrzekł Min. - Może będzie wiedzieć?...

- A jak mamy do niego trafić? - spytał Kanajo. - Jak? Znacie może współrzędne i kierunek?

- Czunowie mówią, że przedstawiciele resztek tej potężnej kiedyś cywilizacji wiedzą, gdzie należy szukać tych, z

którymi prowadzili wojnę - wtrącił Czuna.

- No to trzeba ich zapytać - rzekł Kanajo. - Nasze komputery zebrały dostateczną liczbę informacji o ich języku. „Główny” je przetransponował i możemy z nimi się dogadać.

- Założmy - wtrącił przedstawiciel Tajów - że nie wskażą swego wroga.

- Jaki mieliby w tym cel? - zapytał niski Min.

- Mogą się obawiać, że przekazemy informację, iż ktoś jednak przeżył - wyjaśnił Taj.

- Myślisz, że ci nieznani chcieliby tu wrócić? Dobić te żalosne resztki? - prychnął Czuna.

- Wyście tego nie robili! - zachnął się Kanajo.

Czuna zaklął głośno.

Niski Min zaprotestował nagle.

- Nie mieliśmy o tym mówić! To historia. Znaleźliśmy się w specyficznych warunkach, zawarliśmy umowę i musimy działać wspólnie, jeśli mamy przeżyć!

- Zawarliśmy! - warknął Czuna.

- Tak! - dorzucił Taj. - Po raz pierwszy od stuleci! - łypnął ponurym wzrokiem w stronę Mina.

- Więc działajmy zgodnie - westchnął głośno Kanajo.

- Wuk, zabójca Phakha, jest w Pałacu! - Uto-Khal spojrział na zebranych przywódców i zatrzymał wzrok na swoim zastępcy.

Rumiz ruszał nerwowo sterczącymi wąsami i zaciskał pazury swoich łap. Wiadomość zelektryzowała wszystkich.

- Czy to pewna informacja? - zapytał jakiś szczurołot.

- Pewna! - odrzekł Uto-Khal. - Zaraz was przekonam. - To mówiąc, podszedł do bocznych drzwi i odsłaniając kotarę, ukazał stojącą za nią postać. - Księżniczka Enu - powiedział z emfazą - widziała go na własne oczy!

Enu, w srebrzystej pelerynie, z wpiętym w czubek głowy połyskującym krwawo kamieniem w złocistej oprawie, spojrziała wyniośle na pochylających się w geście pełnego oddania przywódców.

- Widziałam go tak, jak was teraz widzę! - przemówiła zimnym głosem, po czym odwracając się, dodała: Czy mój ojciec zostanie wreszcie pomszczony? - utkwiała wzrok w jednej tylko postaci, która też spojrziała na nią, w pełni rozumiejąc, do kogo było skierowane ostatnie pytanie. Serce Rumiza zabiło szybciej. Już od dawna zbliżał się do Enu, choć Uto-Khal, jej opiekun, próbował mu w tym przeszkadzać. Teraz wiedział, jak ją zdobyć. Jaką drogą dojść, nie tylko do tego celu. To postanowienie przyszło w tej właśnie chwili. Wymienił ostatnie spojrzenie z księżniczką, dostrzegając w jej oczach błysk zrozumienia.

Enu odwróciła się i znikła za drzwiami, pozostawiając za sobą ciszę.

- A więc, co robimy? - pierwszy odezwał się Rumiz, patrząc jeszcze na drzwi.

Uto-Khal usiadł na swoim fotelu i długo nad czymś myślał. Odezwał się po chwili:

- Pałac opanowali Jednakowi Wikarego, ci przekłęci zakonnicy! Przybył też Kultinak. Po co? Najgorsze jest to, że nie wiemy, co zamierza ta przekłęta trójca z tym wcielonym diabłem, który tyle lat wymykał się nam skutecznie z zastawianych nań pułapek! Zaatakować nie możemy - powiedział, a widząc podnoszącą się wrzawę, dodał szybko: - Pilot jest u von Sadova i zdaje mu relację! Mieliśmy z nim niezłą przeprawę, bo spał się, a jego opiekunowie nawrzeszczeli, że chcieliśmy ich otruć! Zamieszanie trwało długo, zanim sprawa się wyjaśniła. Teraz jest już dobrze. Ludzie stwierdzili, że statki są zdolne do lotu, więc w tej sytuacji, kiedy przeszkolenie zacznie się w najbliższych dniach, szaleństwem byłaby jakaś akcja! Ale mam już rozwiązanie! - krzyknął, uciszając ich gestem podniesionych łap. - Zawiadomimy Ratowników!

Okrzyk uznania wypełnił salę.

- A ty, Rumiz - Uto zwrócił się do swojego zastępcy - będziesz ich pilnował dniem i nocą! Nikt nie ma prawa wyjść poza Pałac!

Rumiz rzucił mu szybkie, nienawistne spojrzenie. Wiedział już, co będzie robił w nocy i co będzie robił potem. Skłonił posłusznie głowę w stronę Uto-Khala, uśmiechając się zjadliwie.

Olbrzym był już spokojny; nie trząsał się, a jego źrenice straciły obłąkany blask z jakim go tu przyprowadzono.

- Czujesz się już dobrze - szeptała Keio, patrząc mu uparcie w oczy. - Teraz mów dalej.

Kultinak i Wikary siedzieli naprzeciwko i obserwowali go w milczeniu. Wuk stał obok.

- Głosy z zewnątrz - zaczął Głuchy - to nic w porównaniu z tym, co było tam, na dole - przełknął głośno ślinę. - Głosy z zewnątrz atakują tylko... - zawahał się szukając określenia. - ...tylko słownie, a tam zostałem zaatakowany... - olbrzym urwał nagle, a przez jego ciało przeszedł dreszcz.

Keio położyła ręce na jego ramionach, stając za nim.

- Już minęło - powiedziała. - Przypomnij sobie, co takiego uczyniłeś, że zostałeś zaatakowany?

Olbrzym myślał długo, potem utkwił wzrok w Kultinaku i przesuwał spojrzenie, wyszeptał:

- Chciałem dotknąć tego - wskazał ręką wiszący na piersi Kultinaka odłam płaskorzeźby - wtedy mróz uderzył i sparaliżował. Wrzask! Nie, to nie był wrzask, to było jedno wściekłe wycie! I ten straszny lodowaty wiatr! Ta oślepiająca jasność! - ponowny dreszcz wstrząsnął jego ciałem. - Chcieli ze mnie coś wyrwać i czułem, że to już wychodzi, a ciało powoli drętwieje, umiera!

Kultinak wstał nagle, wspierając się na swojej długiej lasce. Jego oczy zapalały dziwnym blaskiem. Wikary utkwiał w nim uważne spojrzenie, potem napotkał wzrok Wuka i poczuł zimne mrowie na swoich plecach.

- Idziemy tam! - rozkazał Kultinak jakimś nienaturalnym głosem.

- Nie!!! - wrzasnął Głuchy, ale zwiotczał raptem pod spojrzeniem zielonych oczu Wuka.

- Teraz odpoczniesz - szeptała nad jego głową Keio - i o wszystkim zapomnisz...

- Głuchy nigdy nie bał się niczego - mruknął Wikary, patrząc na zasypiającego. - Dziwne... Zaiste dziwne to musiało być, aby tak bardzo go przestraszyć... - Ruszył za odchodzącymi, pozostawiając czuwającą przy zakonniku dziewczynę.

Kultinak był podniecony i idąc wyrzucał z siebie urywane zdania.

- Czuję! - mówił i kroczył dalej. - Przeczuwałem, że to jest tutaj!

Wuk i Wikary milczeli, postępując za nim.

- To doniosła chwila! Znak z przeszłości!

Wikary idąc dalej, wydawał polecenia zakonnikom, którzy przyłączali się do niego bez słowa jakby wyczuwając wagę sytuacji. Dwóch z nich wysunęło się do przodu, oświetlając teraz drogę prowadzącą ciemnym korytarzem.

- Nie pójdziemy tędy - odezwał się nagle Kultinak. - Tu jest inne przejście. Czuję, jakby ktoś mną kierował... Tak! Już wiem, gdzie to jest! - bez słowa wskazał drzwi.

Zakonnicy doskoczyli, otworzyli je i weszli do środka.
Reszta - za nimi.

Wuk rozejrzał się w ciemnościach i wyczuł obecność kogoś obcego.

- Nie jesteśmy sami - powiedział cicho.

- Wiem o tym! - uciął Kultinak i wskazując ręką, powiedział: - Czekal na nas, teraz poprowadzi...

Spojrzeni na zwiewną postać starca - nawoływał ich ręką, wchodząc powoli w ścianę.

- Czwarły kamień! - rzucił Kultinak, a widząc dezorientację zakonników, sam podszedł do muru i nadusił prostokątną powierzchnię kamienia. Ukryte drzwi z równo ułożonych płyt piaskowca drgnęły i zaczęły się rozchyłać powoli.

- Światło!

Zakonnicy skoczyli w ciemność z lampami.

- To są te schody - mrucał Kultinak, idąc za światłem. - Ileż razy widziałem je we śnie... Schodziłem po nich i nigdy nie mogłem dojść do celu...

Byli już na dole.

Wikary spojrzał na Wuka, potem zapytał cicho:

- Czy mi się zdaje?... Słyszałeś?

- Tak, muzyka... - szepnął Wuk. - Gdzieś zza tych ścian.

Wikary przytaknął głową.

- Jednak zza tych ścian.

Doszli do końca wąskiego korytarza i zatrzymali się przed małymi drzwiami.

- Otwórzcie je! - rozkazał Kultinak. - Ale nie wchodźcie, jeśli wam życie miłe.

Zakonnicy odskoczyli z lękiem.

- Durnie! - Kultinak stanął przed drzwiami bez namysłu otworzył je. Krzyknął w ciemność:

- To ja, Kultinak! Syn Iny Krnąbrnego! Wnuk...

Wycie wiatru, jego świst i uderzenia jednostajnego akordu zagłuszyły dalsze słowa. W miarę jak rozchylało się skrzydło potężnych drzwi, które teraz dostrzegli przed sobą, przedostawała się przez nie coraz bardziej oślepiająca poświata i silny chłodny przewiew.

- Strażniku Pieczęci! - zawołał Kultinak, próbując przekrzyczeć wycie i zawodzenie. - Nadchodzę! - Zrobił krok w oślepiające światło i stał tak chwilę, aż wreszcie podniósł rękę trzymając w niej dziwny przedmiot. - Ojczy Damianie! - odezwał się ponownie. - To ja, Kultinak! Czy poznajesz mnie? Przybywam i przynoszę część naszego znaku!

Wuk obserwował oddalającą się postać w czarnej pelerynie targanej wicherem i czuł, że jakaś lodowata siła nakazuje mu stać w miejscu. Nie sprzeciwiał się, spojrzał tylko na bladą twarz Wikarego i szepnął, nie wiedząc, czy ten słyszy go, czy nie:

- Są siły na tym świecie, których pojąć i zrozumieć nie zdołamy nigdy...

Teraz usłyszeli głos dochodzący z dali, z tej głębokiej przestrzeni światła.

- „Długo na ciebie czekałem!” - echo powtórzyło końcowe

sylaby i porwało je gdzieś dalej.

- „Wejźdź! I ci, którzy są z tobą i mają czyste serca niech również wejdą do świata, z którego przecież kiedyś wyszli, i do którego niebawem powrócą. I niech wejdzie też ten, który ma w sobie Moc, bowiem niebawem nadejdzie chwila, kiedy będzie potrzebował jej jeszcze więcej!”

Wuk poczuł, że coś pchnęło go lekko do przodu. Zrobił krok nie czując posadzki pod nogami. Widział tylko, a raczej czuł, że Wikary postępuje obok. Dźwięki dysharmonicznego instrumentu nasiliły swą intensywność. Teraz zobaczyli postacie. Dziesiątki, setki i tysiące białych widm i źródło światła, przed którym mrużyli oczy. Wychodziło ono ze środka tłumu śpiewającego jakąś pieśń, a starzec, który tam stał, trzymał nad sobą oślepiającą gwiazdę. Gdzieś z boku zadzwoniły dzwonki i tłum widm rozstąpił się, pozostawiając pośrodku postać z gwiazdą, a przed nią kłęczącego Kultinaka.

Wuka dziwiła poza przywódcy Jednakowych, ale tylko przez chwilę, bo na zwiewną postać starca nałożyła się nagle jakaś inna: ciemna, zakapturzona, która przemówiła:

- „Jeśli przyszedłeś po waszą własność - bierz!”

Starzec odwrócił się raptem i skierował światło gwiazdy na ścianę, na której Wuk zobaczył wizerunek i skojarzył go natchmiast.

Kultinak wstawał wolno. Potem podszedł z częścią przedmiotu do ściany, na której widniał drugi kawałek. Przyłożył

brakujące skrzydło z prawą nogą do całości i oto stało się - ściana drgnęła i powoli, w idealnej ciszy, rozwierała się powiększając w środku czarną krechę.

Wuk zorientował się, że przeraźliwy dysonans nie rozbrzmiewa już w tej przestrzeni, tylko w jego mózgu. Zapanował nad tym i teraz doszło do niego ciche rozsuwanie się kamiennych ścian. A za nią stał na środku pomieszczenia, czy też wisiał w tym mlecznym, skrzącym się karminowo świetle przestrzeni, czarny prostokąt.

- Grób Damiana... - szepnął Kultinak i dotknął połyskującej płyty, która rozsunęła się tylko tyle, by ukazać rękę ścisnącą jakiś długi przedmiot.

- „Twój znak, Kultinaku!” - rozległ się głos. - „Zabierz go i zawieź tam, skąd przyszła śmierć, a my będziemy od tej chwili z tobą!”

Mleczna jasność rozmazała się, ukazując obraz; jeszcze zbyt przejawiony, by można było coś dostrzec, ale powoli nabierający ostrości.

Zobaczyli jakąś salę i mrowie ludzi: dziwnie ubranych, wpatrzonych w czterech mężczyzn siedzących na wysokim podium za kamiennym stołem. Jeden z nich stał i przemawiał, a tłum co chwila odpowiadał wrzaskiem. Potem ten obraz znikł, a ukazał się inny; w chaotycznym biegu czy też marszu przesuwały się tysiące ludzkich głów, nad nimi falowały jakieś płaszczyzny, na których był jeden i ten sam wizerunek cygarowatego kształtu z małymi skrzydełkami na

jednym z końców. Obły kształt pocisku przekreślały czarne krechy.

Obraz zgasł, ale w następnej sekundzie pojawił się nowy. Znowu tysiące wiwatujących w radosnym uniesieniu, a w dali, na płaskiej płycie stał pionowo wycelowany w błękit nieba ciemny pojazd. Coś kotłowało się wokół niego, chmury dymów przesłoniły nagle wszystko, obserwujący nie rozróżniali już żadnych kształtów.

Wuk zamrugał powiekami. Co to było? Teraz wyłowił z granatowego mroku wirującą wolno kulę; zbliżała się powoli. Poznał. Trójwymiarowy obraz Ziemi: zielonawobłękitnawobiałej na tle utkanego gwiazdami granatu. Potem wyłoniły się te pojazdy. Nie mógł odgadnąć, o co chodzi, nie potrafił tego wytłumaczyć. Pojazdy skupiały się w jednym punkcie, łączyły z sobą i tak utworzyły wielki, ponury kształt, który pomknął w przestrzeń, znikając w niej po chwili.

I znowu powrót do wiwatujących tłumów - szczęśliwe, uśmiechnięte i radosne twarze. Obraz zgasł nagle, ukazując ponownie kulę ziemską, a na jej tle czarne potężne bryły. Zbliżały się do planety powoli. Obserwujących zaskoczyła zmiana kąta patrzenia. Powierzchnia Ziemi, ruiny budowli, leżące zwęglone ciała, czerń nocy, czerwień nieba, na którym ciemny kształt wyrzucał ze swojego brzucha świetlisty snop. Gdziekolwiek promień ten dotknął powierzchni, tam ona zaczynała się palić, zmieniając się w szklistą powłokę. Potem było widać zapadające się miasta w rozstępującej się

ziemi, ziejącej bezdenną czeluścią; przewracające się szczyty gór, parujące morza, wyrastające nowe wierzchołki gór, wreszcie rzesze ludzi wchodzących w czarną paszczę tunelu.

Obraz ten powtórzył się parokrotnie w różnych miejscach planety i zaraz przeskoczył w przestrzeń. Pojazdy - jak ogromne ponure bryły skalne - oddalały się, pozostawiając za sobą przygnębiający widok obracającej się planety. Już nie tak niebieskiej. Już nie tak zielonej. Już nie tak białej...

Wszystko zniknęło nagle i powróciła mleczna poświata.

Wuk długo nie mógł otrząsnąć się z wrażenia oglądanych wizji. Patrzył przed siebie i wiedział, że będzie potrzebował czasu, aby to pojąć, zrozumieć i zinterpretować symbolikę rozgrywanych wydarzeń.

Kultinak tymczasem wyjął z nieruchomej ręki, zawieszanej w przestrzeni, przedmiot nawinięty na długim drzewcu. Kiedy postawił go przy sobie, ucałował i szepnął:

- Sztandar...

Płyta zasuwała się powoli. Wiatr, którego dotąd nie czuli, zerwał się raptownie?, rozwinął materiał, a ten rozblęsnął złotem i purpurą. Pośrodku czerwonego pola widniał złoty wizerunek ptaka o rozłożonych skrzydłach, taki sam jak na płaszczyźnie ściany, otoczony napisem, którego Wuk nie mógł odczytać, bowiem materiał trzepotał nieustannie.

- „Waszym znakiem - orzeł!” - usłyszeli głos z przestrzeni.

Wszystko zaczęło się nagle zamazywać - zwiewne mgły zacierają obraz. Ostry, przeraźliwy dysonans narastał.

Kultinak wrzasnął:

- Imię naszej matki!

Stali już przed zamykającą się ścianą i albo byli przesuwani w tył, albo przestrzeń ściany oddalała się od nich. Teraz czuli, że są wypychani do drzwi wyjściowych.

- Imię naszej matki! - powtórzył zrozpaczonym głosem Kultinak. Zatrząsał się i byłby upadł, gdyby nie podtrzymały go drżące ręce Wikarego i Wuka.

Światłość gasła, a z nią zamierał głos dochodzący już z bardzo dalekiej głębi. Echo porwało sylaby i rozbiło o ściany. Byli już w czarnym mroku korytarza, czując swą bezsilność i osamotnienie.

Dokładnie obstawili przełęcz w połowie drogi do Górskich Dziur. Tysiące wojowników różnych grup obserwowało nadchodzących i gotowało się na spotkanie ze śmiertelnym wrogiem. Tamci - w dole - posuwali się teraz w zwartej kolumnie, już coraz bardziej widoczni, a ich jasne, różnokolorowe kombinезony połyskiwały w mdłym świetle poranka.

Bury stał obok Wilka i długo obserwował przez lornetkę nadchodzących, potem syknął:

- Tam, u diabła!

Wilk rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Prowadzi ich Wielki Buga-Mściciel! – mówił podnieconym głosem Bury. - Obok niego widzę Rybę! Nie do wiary! - Po chwili dalszej obserwacji dodał, krzyżąc prawie: - Przecież tamci to nie Ratownicy! To ta obca grupa, którą odkryliśmy na skraju Szklanej Pustyni!

Wilk wyszarpnął mu lornetkę i wycelował ją w postaci maszerujących.

- Tak, to prawda - mruknął, potem włożył do ust mały przedmiot, wydając z niego trzy cienkie i wysokie gwizdy.

Pośród skał, rozpadlin, na zboczach i na szczytach przyczajeni wojownicy ze zdziwieniem odkładali broń i czekali, nie pojmując przyczyny umówionego sygnału, który mówił: „wstrzymać atak!”

Wilk popatrzył na Burego, a ten zapytał:

- Może chcą przyłączyć się do nas? Buga musiał znaleźć sposób, żeby się dogadać, bo inaczej by ich tu nie było.

- W takim razie - zapytał Wędrowiec - co to za pojazd wyładował koło nich.

- Myślę - mruknął Bury - że niebawem się dowiemy...

Wpatrywali się z uwagą w bladą i napiętą twarz Bilan. Siedziała w fotelu nieruchomo z zamkniętymi powiekami i drżała jakby z zimna.

Wuk i Keio stali z boku, a po lewej stronie siedział Kulti-
nak, wciąż zadumany i milczący od tamtego czasu, kiedy to
odnalazł sztandar i grób Ojca Damiana. W tyle stał Wikary.

Keio wyjaśniała Wukowi cicho:

- Rozmawialiśmy, gdy Bilan stwierdziła nagle, że czuje w
sobie pulsacyjny impuls obcej biofali. To odpływał, to znowu
powracał, ale z każdą chwilą stawał się coraz silniejszy. Pora-
dziłam jej, aby się skupiła i spróbowała wejść w tę falę, ale
dojście do nośnika było zablokowane. Widziałam, jak walczy
i jak z trudem się poddaje. Wówczas zrozumiałam, że ktoś
czeka, aż ona pozwoli mu wejść.

Wuk pokiwał tylko głową i obserwował uważnie drgające
ciało dziewczyny. Wiedział, jaka walka toczy się za tą niewi-
działną dla oka barierą; wiedział też, że nie wolno mu inge-
rować.

- Nie jesteśmy w stanie nic zrobić – szepnął – skoro sama
zestroiła się z nadawcą i przyjęła go do siebie.

Nagle wokół głowy Bilan pojawiły się krótkie i ledwo do-
strzegalne iskry wyładowań, a poprzez jej przymknięte po-
wieki wyjrzały obce oczy tego, który wchodził w jej ciało z
dalekiej, niewiadomej przestrzeni. Oczy były mgliste i niena-
turalnie rozszerzone - tamten też walczył i przechodził mę-
czarnie - potem stały się wyrazistsze i wycelowały zimnym
blaskiem prosto w Wuka.

Na zaciśnięte kurczowo usta Bilan, nałożyły się nagle inne,

które teraz poruszyły się i przemówiły chrapliwym, męskim głosem:

- „Obcy z innego świata. Natychmiast wyruszyć do Górskich Dziur! Sprawa von Sadova już nieaktualna. Baza na Księżycu pusta - Ratowników nie ma w tym Układzie. To jest informacja Obcych. Zdrada Uto!”

Wuk doskoczył do siedzącej i widząc nadchodzący koniec tej transmisji, wyrzucił z siebie szybko:

- Wilk! Zrozumiałem! Wyruszamy z Kultinakiem natychmiast!

Obce oczy rozmazywały się powoli, usta zaczęły zanikać, a oni nałożyli swoje ręce na głowę Bilan. Keio wykrzyknęła:

- Wracaj, Bilan, wracaj!

Poczuli drżenie jej ciała i nagły wstrząs.

- Wracaj, Bilan, wracaj! - powtórzyła.

Teraz ciało drgnęło i podskoczyło w fotelu.

- Jest u siebie... - szepnęła Keio patrząc w oczy Wuka.

Ten pogładził Bilan po włosach i szepnął:

- Kochana, moja kochana...

Kiedy otworzyła oczy i spojrzała nieprzytomnie, napotkała wzrok Kultinaka, który uśmiechał się do niej ciepło.

- Już jest dobrze? - zapytał.

Odpowiedziała mu przymknięciem powiek, spod których wypłynęły dwie małe łzy.

- Dlaczego? - zdziwił się Kultinak i spojrział na Wuka pytająco.

- Każdy powrót jest bolesny - szepnął ten.

- Co innego jest wyjść poza siebie, co innego być wypchniętym, co przy tego rodzaju przymusowej eksterioryzacji jest nieuniknione. Nośnik jaźni albo dusza broni się przed opuszczeniem ciała, boi się wtargnięcia tego obcego. Trzeba bardzo wielkiej siły woli, no i koncentracji, żeby nad tym zapanować i świadomie pozwolić się usunąć. Potem, kiedy obce już odchodzi, powrót jest bolesny, gdyż trzeba wyrzucić resztki obcej energii, której cząstki zawsze pozostają.

Kultinak pokiwał tylko głową i powiedział:

- Czy już wszystko jest w porządku? Nic jej nie grozi?

- Teraz musi odpocząć, odzyskać utraconą równowagę i energię - wyjaśnił Wuk. - To potrwa, ale Keio jej pomoże, a my przeanalizujemy przekazaną informację i przygotujemy się do drogi.

Przeszli w drugi koniec pomieszczenia, siadając na szerokiej ławie.

- Trzeba ostrzec von Sadova - zaczął Wuk spokojnie. - Niech się zbiera i wyrusza w drogę - nic tam po nim. Teraz tu jesteśmy sami, siły mamy małe, a kwaterę Uto tuż pod nosem. Trzeba przygotować wszystkich do wymarszu. Czarny Deszcz odchodzi, więc można wyruszać.

- Przygotujcie trzy pojazdy - polecił Kultinak Wikaremu.

- Po co trzy? - zaproponował Wuk. - Jeżeli Uto obmyśla jakąś akcję, to już teraz obserwuje Pałac. Może się dowiedział, że tu jestem?... Pojedziemy jednym i najmniejszym.

- Dobrze, Wukian - zgodził się Kultinak, a do Wikarego: - Idź i zajmij się wszystkim. Ludzie też niech się przygotowują. Uważajcie na tych z Pałacu - oni nigdy nie wychodzili na zewnątrz prócz Łowców. Mogą być kłopoty, kiedy dowiedzą się o wymarszu.

- Myślę, że oni najbardziej boją się tego, żeby ich nie zostawić tutaj samych - powiedział Wikary i wyszedł.

Kultinak zapytał Wuka:

- Jak chcesz ostrzec von Sadova?

Wuk spojrział w kierunku dziewczyn i westchnął ciężko:

- Keio będzie musiała się wybrać w podróż - powiedział cicho - a Wędrowcy, którzy są w Pałacu będą ją wspomagać. Nie ma innej rady. Bilan jest zbyt mocno wyczerpana, a czas nagli.

Wyruszyli bardzo późno w nocy, kiedy Pałac zdawał się być pogrążony we śnie; w rzeczywistości wszyscy gotowali się do drogi.

Uto-Khal spał tej nocy nerwowo; wciąż się wiercił na posłaniu, wreszcie przebudził się. Chciał zapalić światło, kiedy

gdzieś z pokoju doszedł go dziwny szmer. Sięgnął ręką do kontaktu nad głową, ale zamiast małej lampki, ostry snop światła oślepił go i sparaliżował.

- Kto tu jest? - zapiszczał przerażonym głosem.
- Tylko ja... - Rozpoznał głos Rumiza.

Kiedy chciał zawołać wartowników, coś świsnęło w powietrzu i przeszło jego serce.

Rumiz patrzył jeszcze chwilę na podrygującego Uto-Khala, potem odwrócił się i wyszedł. Za drzwiami nie było wartowników, za to stała ciemna zakapturzona postać.

- I jak poszło? - zapytała bardzo cicho.
- Tak jak chciałaś - odpowiedział, zbliżając się powoli do niej. Już wyciągał ręce, aby ją przytulić, ale ostrzegawczy szept osadził go w miejscu.

- Nie czas teraz na to. Jeszcze jest warunek drugi. Pierwszy już spełniłeś, ale korzyść z niego jest dla ciebie. Wiesz, co dla mnie masz dostarczyć?

- Kogo - sprostował oschle, dodając: - Będziesz go miała!
- A więc dzisiaj. Idź, bo ja za chwilę muszę podnieść alarm. Tych dwóch ludzkich niewolników leży nieprzytomnych w sali obok. Jak się ockną, to zobaczą w swoich rękach zakrwawione noże, a tuż obok siebie trupy wartowników - wtedy... Wtedy zaczną myśleć. A nie wolno im na to pozwolić... Idź już, Rumiz, i bądź w pogotowiu!

Oddalił się i zniknął za zakrętem korytarza. W połowie drogi doszedł go jej przeraźliwy wrzask, a zaraz po nim tupot

wielu nóg, nawoływania i przekleństwa.

Wszedł do swojego pokoju bocznym wejściem i siadając w ciemnościach na łóżku, zdjął buty. Zaraz też usłyszał silne łomotanie do głównych drzwi i krzyknął: - Wejść!

Kiedy ich zobaczył wpadających, przerażonych, wiedział już, co mu powiedzą. Szybkim ruchem sięgnął po buty, uśmiechając się pod nosem.

Było ich stu pięćdziesięciu. Weszli głównym wejściem, idąc w trójszeregu. Prowadził ich Wielki Buga-Mściciel, niosąc na ramieniu swój potężny karabin, obok kroczył Ryba. Szli z dumnymi minami, patrząc na wszystkich z góry. Zatrzymali się przed czekającymi na nich w głównej hali: Wilkiem i dowódcą zwiadu - Buryem.

- Gdzie Molanzy Kana? - zawołał Buga uroczystym głosem. Z jego twarzy biła pewność siebie. - Dlaczego nie wszedł nam na powitanie?

- Kany nie ma - odpowiedział mu spokojnie Bury.

Spojrzeli sobie w oczy.

- Jak to nie ma?! - Buga był zmieszany. - Prowadzimy delegację z innych światów, a tu nie ma komu jej powitać? Może Kana chory? - zapytał, patrząc uważnie na Burego.

- Nie - rzekł ten spokojnie. - On nie żyje.

- Co takiego?! - zdziwił się Ryba.

- Co?! - powtórzył Wielki Buga, patrząc na nich zdumiony. Jak to się stało?

- To jest nieistotne - wtrącił Wilk, spoglądając na przybyzsy. - Skąd są?

Buga milczał, oswajając się z prawdą. Zbyt szybko i nagle ta wiadomość na niego spadła.

- Skąd oni są? - powtórzył pytanie Wędrowca.

Ryba pierwszy się otrząsnął i powiedział:

- To jest dla nas zbyt skomplikowane. Z tak daleka, że aż trudno sobie wyobrazić! Przyszli z nami, bo chcą gadać z... - urwał nagle i zapytał: - A Janowitz?

- Też nie żyje - odpowiedział Bury beznamiętnym głosem, ale wewnątrz poczuł zimny dreszcz na wspomnienie tamtych chwil.

- Co tu się stało?! - wrzasnął nagle Mściciel.

- Nic, co zasługiwałoby na uwagę - wtrącił Wilk spokojnie i dodał: - Mówiliście, że są z innych światów... Zapewne chcą rozmawiać? Dobrze postąpiliście, przyprowadzając ich tutaj. A więc jest okazja - są tu wszyscy. Prawie wszyscy - poprawił. - I czekają w sali obrad. Jest Bułchyczow, Gruba Katarzyna, Otto Kaznodzieja i Sęp z Gór, a nawet ci z Pierścienia Zachodu.

W miarę jak to mówił, na twarzy Bugi malowało się coraz większe zaskoczenie.

- Czekamy jeszcze na Kultinaka, von Sadova i Wukiana. Teraz powiedz, z kim mamy rozmawiać i jak? Nie wystarczy wiedzieć z kim - wycedził Wilk, bawiąc się najwyższym zdumieniem nie ustępującym z oblicza Mściciela. - Trzeba jeszcze

wiedzieć, jak - zakończył twardo.

Bury stał nieruchomo i przytaknął tylko głową.

Wielki Buga wciągnął głęboko powietrze, potem je wypuścił głośno i powiedział, odwracając się bokiem:

- Przedstawiciel Tajów - wskazał ręką - z planety Klu Frell. Przedstawiciel Minów z Borei II, Czunowie z Eris oraz delegaci Kanajo z Ertu. Wszystkie światy tworzą Układ Sei - zakończył, nie wiedząc, co powiedzieć dalej.

Przedstawieni nawet nie drgnęli.

- Miło mi - odezwał się Wędrowiec - was powitać!

- Bądźcie pozdrowieni - usłyszeli jakiś mechaniczny głos dochodzący z metalowej skrzynki zawieszanej na piersi stojącego na czele grupy. - Miałeś rację, człowieku, że nie wystarczy wiedzieć, z kim się rozmawia, ale trzeba jeszcze wiedzieć, jak. Teraz powiedz nam, z kim my mamy do czynienia, bo jak rozmawiać, to już wiemy...

Wędrowiec stracił trochę pewności siebie, ale zaraz się opanował i odrzekł:

- Mówią na mnie Wilk. A to Bury, nasz dowódca zwiadu. W tamtej sali - wskazał ręką drzwi - czekają przywódcy innych grup. Więc jak widzisz, będzie z kim rozmawiać, no a jak, przekonamy się za chwilę.

- Po to właśnie przybyliśmy - odpowiedział mu niski Min i ruszył w kierunku drzwi, a reszta za nim.

Wielki Buga został z Rybą i ocierał brudną chustą spocone czoło. Ryba wyjął z kieszeni białe cygaro i bez słowa je zapalił. Czunowie, którzy stali najbliżej niego, zrobili to samo, rozsiadając się pod ścianą. Inne grupy poszły w ich ślady, trzymając się z dala od siebie.

- Nic nie mogę pojąć - jęknął Buga.
- I ja również - mruknął Ryba.

Rohan i Kesan czekali teraz, co powie von Sadow; jaką podejmie decyzję.

Ten wreszcie jakby się ocknął, bo przemówił:

- Wszystkie plany wzięły w łeb! Ta wiadomość z Pałacu zmienia sytuację radykalnie. I co teraz robić? Ale może to i dobrze - zwrócił się do Kesana.

- Może to i dobrze, że te parszywce nie nauczą się latać? Nasze kobiety i dzieci powinny już być w połowie drogi do Górskich Dziur. Teraz kolej na nas, przyjaciele, i jeżeli szczęście nam dopisze, wymkniemy się niepostrzeżenie, choć szwendanie się tych małych grup w naszym sąsiedztwie zaczyna mnie już denerwować. Szkoda też tych ludzi, których te pomyoty mają u siebie w niewoli. Nie udało mi się ich wydobyć... Tak - westchnął. - Nie ma na co czekać - wstał raptownie i spojrzał na nich.

- Rohan, zawołaj Lukana - polecił. - Nic tu po nas. Zanim te parszywce się zorientują, będziemy już daleko!

Rohan szedł właśnie do drzwi, by wykonać polecenie, kiedy

te otworzyły się ukazując barczystą postać dowódcy oddziałów desantowych, wsławionych w walkach z Ratownikami.

Lukan stał chwilę patrząc na Rohana, potem ruszył do von Sadova, mówiąc po drodze:

- Mamy gości! Tutaj, w środku. Tylko trzech, lecz na zewnątrz jest ich chyba dwustu albo więcej!

Sadov spojrzał na niego uważnie.

- Gości? Lukan, co ty pieprzysz? Jakich gości?

- Zgadnij - Lukan stanął przy stole i wziął z dużego pudła papierosa. Potem podszedł do kominka i przypalił go od małej szczapy drewna.

- Gadaj, Lukan, bo nie czas na zgadywanki. Jakaś nowa grupa? Szczurołoty?

- Ten śmierdzący Rumiz i dwóch zbójów czekają na wartowni!

- Co takiego? - zdziwił się Kesan.

- A tych dwustu, czy iluś tam? - spytał szybko Sadov.

Lukan zaciągnął się papierosem.

- Otoczyli cały bunkier tak dokładnie, że ja z moimi ludźmi nie zrobiłbym tego lepiej!

- Ale o co im, do diabła, chodzi? - zastanowił się von Sadov, zapalając papierosa.

- Nie wiem - Lukan wzruszył ramionami. - Rumiz mówi, że chce gadać tylko z tobą.

- Czuję smród - mruknął von Sadov, podchodząc do pancерnej szafy. Wyjął z niej duży pistolet i sprawdzając magazynek, wsunął do olstra pod lewą pachą. Potem odwrócił się do

Lukana i powiedział: - Jest nas pięćdziesięciu. Powiesz ludziom, żeby się tak kręcili, aby wyglądało, że jest nas tu stała liczba, jak zawsze. Gdy to zrobisz i wprowadzisz te pomioty tutaj, wszyscy niech obstawiają zewnętrzne wejścia i pilnują ich jak oka w głowie! Teraz idź!

Lukan mruknął coś pod nosem i wyszedł.

- Uzgadnialiśmy właśnie, że miałeś wyruszyć w drogę do Uto-Khala jutro z rana - zwrócił się von Sadov do Kesana i dodał ciszej: - Czuję smród...

Nie minęło dziesięć minut, kiedy drzwi otworzyły się, a w nich stanął Lukan, za nim Rumiz i dwóch jego asystentów.

Von Sadov siedział w swoim fotelu, ale widząc wchodzących zerwał się natychmiast i wykrzyknął z entuzjazmem: - Rumiz! Co za niespodzianka! Witam! Czemu zawdzięczam tę wizytę? Chodźcie, chodźcie i siadajcie - wskazał pięć foteli naprzeciwko. - Rozmawialiśmy właśnie z Kesanem o jego jutrzejszym wyjeździe do was. Tak... Więc co cię tu sprowadza?

Rumiz poprawił białą pelerynę i usiadł w fotelu. Tych dwóch z asysty stanęło za nim. Lukan podszedł do von Sadova i stanął obok.

Szczurołot patrzył na niego długo, potem syknął:

- Plany się zmieniły, Sadov!
- Tak? Plany, Rumiz, czy reguły gry?
- Plany. Na razie tylko to.

- Mówisz tak, jakbyś za chwilę chciał zmienić i reguły. O co chodzi?

- Dlaczego wyprawiliście większość swoich ludzi drogą lądową do Górskich Dziur, skoro mieliście lecieć statkami?

- A co ciebie to obchodzi? - zapytał Sadow.

- A w ogóle kto cię upoważnił do zadawania takich pytań? - natarł nagle. - Uto-Khal? Czy tylko po to przybyłeś tu z bandą uzbrojonych zbójów?!

- Nie ma Uto-Khala! - Rumiz podniósł głos.

- Nie ma!

Von Sadow wymienił szybkie spojrzenie z Lukanem.

- Teraz ja jestem na jego miejscu! - ciągnął szczerot, prostując się dumnie. - I dlatego przybyłem, aby ci oznajmić, Sadow, że to, co uzgadnialiście z Uto-Khalem jest nieaktualne! Na naradzie tak zdecydowaliśmy.

- To znaczy, że zrywacie rozejm? Tak mam to rozumieć? - von Sadow spojrział na niego groźnie.

- Nie - Rumiz spuścił nagle z tonu. - Ale koniec z tym pieprzonym przeszkoleniem! Uto mógł wam, ludziom, wierzyć, ja natomiast nie ufałem nigdy!

Von Sadow milczał. Bawił się małym wisiorkiem na szyi.

- A co z Uto? - zapytał obojętnym tonem.

- Jak znam życie, no i ciebie, Rumiz, na pewno mu zrobiłeś małą dziurkę we łbie; tak, kolego? A być może trochę większą - w brzuchu?

Rumiz zaklął szpetnie.

- Zwodziliście go i ogłupialiście! - warknął. - Ale ja przejrzałem wasze plany!

- Rumiz - mruknął dobrodusznie Sadow. - Nie ponosi cię fantazja? Jakie plany? Kto tu kogo teraz zwodzi? I zastanów się, co mówisz!

- Dość tych bredni! - szczurolot wyrznął nagle łapą ze stół. - Tego głupca nie ma, a my pogadamy inaczej!

- No, kolego! - syknął von Sadow. Jego oczy zwęziły się w małe szparki. - Nie pozwalaj sobie tutaj na zbyt wiele! - ostrzegł. - Prawda, że tu jesteś gościem, ale zaraz mogę o tym zapomnieć! Trzasnę cię w pysk i wylecisz stąd z moim butem w dupie!

Lukan zachichotał cicho. Rumiz warknął tylko:

- Gdybym nie był pewny swego, nie przychodziłbym tutaj. - Wstał, a jego dwóch asystentów wyszarpnęło ukryte pod skrzydłami kusze i wycelowało je w siedzących.

Von Sadow nawet nie drgnął. Spojrzał tylko na Lukana, potem przeniósł wzrok na pilota i ponownie utkwił go w Rumizie.

- Słuchaj - szepnął tak, że szczurolot się wzdrygnął. - Zawsze uważałem cię za bystrego i idealnego przywódcę, zdolniejszego nawet od Uto-Khala, ale teraz myślę, że z ciebie zwykły śmierdziel i parszywiec! Śmiesz przychodzić tu i celować do nas z tych nędznych łuków? Jeśli zaraz twoi debile

nie schowają tych zabawek, każę was wykopać za drzwi i zakończy się współpraca!

- Gadaj sobie, Sadov, do tych dwóch pacanów - warknął Rumiz - którzy siedzą obok ciebie. Do mnie mów inaczej! Uto zginał z łap dwóch ludzi-niewolników, których zresztą już poćwiartowano, ale przedtem wyjawili, że to ludzie uknuli ten spis, żeby nie dopuścić do podziału statków, żeby zrobić rozłam! A więc, Sadov, jeżeli za chwilę tych trzystu na górze nie ujrzy i ciebie, i mnie, zrobią z tego bunkra parującą norę!

- Ale ty w niej też zostaniesz! - wtrącił szybko Lukan.

- Pomalutku - von Sadov podniósł lewą rękę. - Sprytnie sobie to ukartowałeś posługując się ludźmi. Najpierw powiedz, co cię gryzie, Rumiz? - mówił spokojnym głosem. - Niepotrzebnie z byle powodu się wściekasz. Siadaj - wskazał ręką fotel. - Pogadamy jak starzy kumple. O co chodzi? Po cholere taką prowokacja? Po co wciągać w te rozgrywki niewinnych ludzi?

Rumiz poruszył się niespokojnie. Dobrotliwy i mentorski ton Sadova zbił go z tropu. Chwilę myślał i powiedział:

- Nie wierzę, że te statki będą latać. Weźmiesz jego - wskazał ręką pilota i polecimy. Tylko jednym. To najlepsze wyjście, żeby wszystkim szczerolotom udowodnić, że ty nie masz z tym zabójstwem nic wspólnego. Przez dwa dni maszerowaliśmy tu, do ciebie. Jeśli przyjmiesz moje warunki,

wszystko będzie tak jak dawniej. To zabójstwo zwałę na tych, co się przyczaili u Kon-Kordy i nikt od nas nawet nie pomyśli źle o tobie. No więc, Sadov, jak będzie? Polecimy my i wy - zakreślił łapą koło. - Polecimy nad Górami Kany i zobaczymy, co się tam szykuje, polecimy poza nie i sprawdzimy, czy na Wielkiej Nizinie faktycznie ożyła ziemia. Potem powrócimy - zakończył i ciężko odsapnął. Von Sadov zaśmiał się głośno.

- Sprytnie sobie wszystko obmyśliłeś, ale przecież mogłeś to od razu mi powiedzieć! A ty wpadasz tutaj z tymi dwoma zbójcami i celujesz do mnie jak do swego wroga. Oj, nieładnie Rumiz, nieładnie... Jesteś za nerwowy. Jasne, że możemy lecieć. O to mi chodziło od początku, tylko Uto nigdy o tym nie chciał słyszeć! Co ty na to, Kesan? - Sadov zwrócił się do pilota mrugając znacząco lewym okiem.

- Nie widzę żadnych przeszkód - odpowiedział ten szybko. - Chętnie bym sam wszystko sprawdził.

- No! Słyszałeś? Widzę, Rumiz, że ja z tobą szybciej się dogadam!

Rumiz usiadł z pewnym ociąganiem się, dając znak szczerolotom, by schowały broń.

Sadov łagodnie uśmiechając się, bawił się wciąż swoim wi-siorkiem, obserwując uważnie gości. Potem podrapał się po lewej piersi i wyszarpnął błyskawicznie broń spod pachy. Siedząc wciąż w fotelu wystrzelił dwa razy. Kiedy Rumiz zrywał się z miejsca, Lukan był już przy nim, częstując go swoją

wielką pięścią.

- Nie zabijaj! - krzyknął Sadov i dorzucił:

- Nie teraz! - A do szczurolota powiedział: - Jesteś głupcem i cuchnącym szczurem, Rumiz! Zawsze tak twierdziłem!

Kesan siedział przestraszony, ale zaraz ocknął się i wyjął drżącą ręką papierosa.

- Polecimy - mówił Sadov - i nie tylko ja i ty, ale zapakuję wszystkich twoich zbójów i gdzieś nad górami wypieprzymy tę śmierdzącą bandę. Co ty na to, Rumiz?

Szczurolot doszedł już do siebie na tyle, by wykrztusić:

- Niedawno trafiliśmy w mieście na magazyn broni. Były w nim nieduże kulki. Zanim zorientowaliśmy się, co to jest takiego, wielu z nas zginęło, bo dotknęło nieopatrznie i urwało zwisające z boku kulek takie małe oczko z drutu. Teraz już wiemy, czym są te kulki... Kiedy tylko wyjdę z tobą, Sadov - cedził wolno - każę nimi was obrzucić! Jest mi wszystko jedno - niech piekło was pochłonie!

Sadov parsknął śmiechem.

- Głupcze! - krzyknął, a do Lukana: - Trzaśnij w pysk to ścierwo! Jak on śmie!

Kiedy Lukan skrupulatnie wykonał polecenie, Sadov mówił dalej.

- Nie tylko, że nie wyjdiesz na powierzchnię, ale też każesz, żeby przyniesiono wszystkie kulki tutaj! I zrobisz to, Rumiz! Zaraz powiem ci, dlaczego. Bo pragnienie przeżycia

i utrzymania władzy jest w tobie silniejsze niżli głupia chęć wspólnego samobójstwa! Tak, tak, Rumiz, ty pomocię z piekła rodem! Chciałeś być mądrzejszy od nas - ludzi? Ty skrzyżowany z nietoperzem szczurze!

Rumiz skurczył się w fotelu. Teraz Sadow dostrzegł w jego ślepiach przerażenie.

- Takich kulek - ciągnął dalej - mamy tu tysiące! A co ty myślałeś? Że odkryłeś nowy świat? Cudo jakieś?

Lukan zachichotał szyderczo. Sadow zwrócił się do niego.

- Wyślesz kogoś, by zawołał z góry wszystkich ich przywódców. Powiedz, że von Sadow prosi na posiłek, a Rumiz pozwala, aby przyszli. Reszta w tym czasie będzie składała - Sadow spojrzął na szczurolota - te kulki do pojemników, które wystawimy. Wszystkie, zrozumiałeś? Wydasz taki rozkaz. Powiesz, że to podarunek dla mnie w imię starej przyjaźni... - von Sadow zaśmiał się krótko i nachylił do Lukana szepecząc: - Poproś też Wędrowca, żeby czekał na mnie obok - wskazał drzwi po drugiej stronie sali. - Później każesz ludziom wyrzucić tamtych, gdy tu wejdą, wszystkich prócz jednego! Zrozumiałeś? No to idź!

Kiedy Lukan wyszedł, Sadow zwrócił się do Rumiza.

- Słuchaj mnie uważnie. Jeżeli chcesz przeżyć i wyjść stąd wolno, masz powiedzieć, żeby wszystkie kulki zdano moim ludziom. Że polecieć dzisiaj nie możemy, bo pogoda

jest nie taka i niech reszta wraca do swych nor pod ziemią. Ty i dowódcy wróćcie później. A co do statków, Rumiz, powiem ci, że to nie żadne statki, tylko stare, zramolałe samoloty transportowe!

Rumiz skurczył się jeszcze bardziej. Już nie wiedział, co ma myśleć. Sadov mówił dalej.

- Jeśli sprawisz się na medal, wyjdiesz stąd, kiedy my odjedziemy.

Dalszą rozmowę przerwał mu Lukan.

- Zaraz będą - oznajmił i wskazał znacząco drzwi po drugiej stronie.

- W porządku. Teraz pilnuj go, ja zaraz wracam. - To mówiąc opuścił salę.

Wędrowiec czekał w cieniu świec, spojrzał uważnie na wchodzącego.

- Sytuacja nie jest dobra - powiedział mu von Sadov. - Ten szaleniak przejął władzę. Czasu mamy mało. Czy jesteś w stanie powiadomić Wuka, co się tutaj stało?

Ciemna postać skinęła tylko głową.

- Przekaż im, że Rumiz zabił Uto-Khala i że zerwał rozjem. Niech wszyscy wyruszają natychmiast w drogę, a my jakoś damy sobie radę. Bierz się, przyjacielu, za to, bo stawką jest już teraz tylko nasze życie! - zakończył w momencie, kiedy zza ścian doszła krótka kanonada. Zaraz po tym nastąpiła cisza.

- Już po wszystkim - mruknął Sadov. - A najgorsze dopiero przed nami... - dodał i wyszedł.

Gruba Katarzyna ilekroć spoglądała na siedzące postacie, przypominające ludzi tylko z kształtu i budowy ciała, tylekroć ogarniało ją zdumienie, że natura potrafiła stworzyć coś tak odmiennego i dziwnego.

- I nie wiecie, jakim cudem trafiliście do nas? - zapytała.

- Nie - brzmiała odpowiedź.

- A jakiej pomocy oczekujecie od nas, ludzi? - zapytał Sęp z Gór obracając w palcach białe cygaro, które podarował mu jeden z Czunów.

- Chcemy się dowiedzieć - zaczął przedstawiciel Kanajo - z kim prowadziliście wojnę i kto tak straszliwie zniszczył waszą planetę. - Jego głos był głęboki, słowa krótkie, urywane, co z tłumaczeniem wychodzącym ze skrzynki sprawiało niesamowite wrażenie.

- To nieściskość - wtrącił stary Wenda z Pierścienia „Zachodu. - My nie prowadziliśmy wojny z nikim. Napadnięto na ojców naszych ojców! W bestialski sposób napadnięto! - powtórzył z jakąś pasją w głosie. - Bez powodu! Bez przyczyny! Przynajmniej takiej nie znamy, a jeżeli była, to nikt nam jej nie przekazał, bo... nie zdążył!

- Doszliśmy do wniosku - zaczął przedstawiciel Tajów - że wojnę z tymi, którzy zniszczyli waszą planetę rozpętał ten drugi gatunek, który nazywacie „szczurołot”, a wy padliście ofiarą.

Ludzie wymienili między sobą wymowne spojrzenia.

- Tak... - odezwała się Gruba Katarzyna.
- Tak! W istocie! To ich wina! Od zarania wieków byli konfliktowym gatunkiem, z którym nie sposób współżyć! Ale niebawem zrobimy z nimi porządek!
- Co to znaczy „porządek”? - zapytał Min.
- Zakończymy z nimi wojnę - wyjaśnił Sęp z Gór. - Wybijemy wszystkich.
- Tak, tak! - przytaknął skwapliwie Otto Kaznodzieja. - Te pomioty diabła uczyniły z Ziemi piekło, ale wkrótce wskażemy im, gdzie ono faktycznie znajdujecie i tam ich pošlemy!
- A więc kim są ci, którzy na was napadli? - powrócił do tematu Kanajo, poruszając ręką błękitny czub włosów na środku gołej czaszki.
- Niszczyciele z Dumb-bell - odpowiedziała mu z pasją Gruba Katarzyna.
- Jaki mieli powód? - zapytał Taj.
- Nie wiemy - mruknął Bułchyczow. - Do dziś nie wiemy! Zresztą, mówił wam już o tym Wenda.
- A nie wiecie, gdzie jest Dumb-bell? - zainteresował się Czuna. - Czy też trzeba by zapytać o to waszych wrogów - szczurołotów - skoro oni byli wszystkiego przyczyną?
- Przywódcy grup spojrzeli na niego uważnie.
- Chciecie wiedzieć, gdzie to jest? - spytał go Bułchyczow.
- Gdzie jest gwiazda Albireo?
- W tym cała rzecz - odpowiedział Czuna.
- Po co wam ta informacja? - zapytała podejrzliwie Gruba Katarzyna.

- Zaraz wyjaśnimy - zaczął Kanajo. - Sądzimy, że to potężna cywilizacja. Może mogłaby nam pomóc? Chcielibyśmy się wydostać z waszego wszechświata i powrócić do naszego.

Po tym, co powiedział, nastąpiła cisza. Przerwała ją Gruba Katarzyna.

- Chcielibyście do nich lecieć? - spojrzała na nich zdumionym wzrokiem.

- Tak - odparł Czuna. Reszta przytaknęła głowami.

- To... to skomplikowana sprawa - wtrącił Sęp z Gór. - Musielibyśmy uzgodnić to z najważniejszymi, których jeszcze nie ma.

- A kim oni są? - zapytał Min.

Sęp westchnął ciężko.

- Przywódcami bardzo dużych grup i dlatego powinni brać udział w tej naradzie. Będą tu niebawem.

Obcy wymienili między sobą jakieś uwagi, których ludzie nie potrafili zrozumieć.

- Nie podoba mi się ta rozmowa – szepnęła Matka Aramusan do Sępa. - Oni wiedzą i rozumieją wszystko, co mówimy, no a my?...

Jednakowy zajrzał jej głęboko w oczy i mruknął:

- Zaiste! Pomyślałem o tym samym. Trzeba przerwać te rozmowy, dopóty nie będzie wśród nas Kultinaka i Wukiana.

Bułchyczow obserwował dyskutujących obcych, potem tknięty złym przeczuciem powiedział:

- Dużo wiecie o nas, a my tylko tyle, skąd jesteście.

Spojrzeni na niego, a on ciągnął dalej:

- Opowiedzcie coś o sobie, swoich światach, waszych społeczeństwach i cywilizacji, którą reprezentujecie, bowiem taki lot wymaga wielkiej współpracy między wami, zrozumienia i koordynacji wszelkich działań.

- O tak! Właśnie! - podchwycili szybko ludzie.

Obcy spojrzeli po sobie, potem długo się nad czymś zastanawiali.

- Szybciej! Szybciej!- wrzeszczał Lukan, przekrzykując głuchy pomruk rozgrzewanych silników dwóch okratowanych pojazdów, które pozostawił im Otto Kaznodzieja.

Grupy desantowe uwijały się błyskawicznie. Granatowo-karminowe niebo rozświetlały sporadyczne już wyładowania odchodzącego na północ Czarnego Deszczu.

Von Sadov stał z boku, nałożył na głowę spiczasty hełm z długimi nausznikami i szerokim okapem osłaniającym kark i wydawał ostatnie polecenia donośnym głosem.

- Uważajcie na zbiorniki z gazem, bo wyprawiają nas do diabła! Czy załadowane są skrzynie z granatami? No a pojemniki z żarciem? Dalej! Ruszać się! Lukan, nastaw dobrze mechanizmy przy detonatorach i zwiewamy!

Kiedy wszystko było już zapakowane, wyprowadzono związanego Rumiza.

- Do pierwszego wozu! - rozkazał von Sadov. - Siadać i ruszamy! - sam wskoczył jako ostatni, dając znak do odjazdu.

Pojazdy drgnęły wyjąc na najwyższych obrotach i kierując się w czarnokrwawą perspektywę drogi. Podskakiwały na wybojach, rozświetlając teren przed sobą potężnym reflektorem znajdującym się w kabinie kierowcy, którym manewrował jeden człowiek, trzymając za dwa uchwyty wystające z obudowy.

Von Sadov przeszedł na środek pojazdu, z trudem utrzymując równowagę, i stojąc nad siedzącym szczurołotem krzyknął:

- Podrzucimy cię do domu, Rumiz, z honorami! Żebyś nie miał pretensji i nie wrzeszczał potem, że von Sadov złamał dane słowo!

Szczurołot milczał, rzucając pełne nienawiści spojrzenie. Milczał, trawiąc swoją klęskę. Von Sadov mówił dalej:

- Czeka nas długa droga, ale pokonamy ją szybciej niż banda twoich zbójów, którą prowadziłeś do nas dwa dni. Zresztą, Rumiz, to nieważne. Ważne, że pozostawimy ślad po sobie. Ślad na ziemi, którą wy bezprawnie zajęliście. Ślad-przestrozę, aby ci, którzy może jeszcze nadchodzą, wiedzieli, kto jest, był i będzie panem tego świata!

Rumiz milczał. Milczał długo i uparcie przez wiele godzin jazdy, godzin, które były najgorszymi w jego życiu. Myślał tylko o jednym: żeby się wydostać, uciec obojętnie jak i przygotować zemstę. Obserwował swoich prześladowców i czekał

na ich spotkanie.

Kiedy wjechali na obszar kontrolowany przez szczurołoty, byli już zmęczeni, ale mieli napiętą uwagę. Nie natknęli się po drodze na wojowników Rumiza. Mijali dziwne ukształtowania powierzchni w kształcie ostrych, strzelających w ponure niebo grzebieni, wybrzuszeń, bąbli i najróżniejszych budowli jak gdyby uformowanych z zastygłej lawy.

Pierwsze małe grupy wartowników czy zwiadowców zauważyli następnej nocy. Sadow kazał się zatrzymać, gdyż tu zaczynał się teren gęsto rozmieszczonych wejść do podziemi miasta. Wiedział też, że jest już bardzo blisko Pałacu. Zastanawiał się, jak daleko są od niego Jednakowi? Potem, kiedy oznajmiono mu, że są nad miastem, wydał jeden rozkaz. Grupy desantowe wyskoczyły błyskawicznie na powierzchnię, kierując ogień do pojawiających się przy wejściach postaci. Ciche rozbłyski z miotaczy świadczyły o rozpoczęciu realizacji planu. Parę szczurołotów, które wyskoczyły na powierzchnię, padło martwych. Wojownicy Lukana rozpięchli się skuleni po całym terenie, dźwigając z sobą ciężkie miotacze i duże pęki granatów.

Pilnującym Rumiza Sadow rozkazał:

- Miejcie oko na parszywca, żeby nam nie nawiał. I niech widzi wszystko! Przytrzymajcie go przy bocznych oknach! - Sam wyskoczył na zewnątrz. - Lukan! - krzyknął. - Zaczynajcie!

Dowódca grupy dał znak ręką oczekującym już przy wejściach desantomcom.

- Z naszego bunkra chcieli zrobić parującą norę! - wrzeszczał Sadov. - Lukan! Dalej! Usmażcie ich na amen!

Pierwsze eksplozje wstrząsnęły podłożem, wyrzucając poprzez włazy wejść gejzery siwych dymów. Grunt pod nogami drżał coraz mocniej i dudnił jakby tam pod spodem przewalało się tysiące beczek, a w rzeczywistości zaczynało się już piekło.

Desantowcy po wykonaniu zrzutu do jednego włazu, biegli już do następnego. Z niektórych wejść wyskakiwały czarne, małe postaci, niektóre paliły się, wrzeszcząc i piszcząc. Posyłano w ich kierunku wąskie, błyszczące smugi gazów, które eksplodowały obłokami ognia, ogarniając uciekających. Wszystko drżało i skwierczało, a pod ziemią kotłowała się śmiertelna pożoga.

Nagle od strony pojazdów rozległ się straszliwy, przejmujący ryk, potem jakieś zwierzęce wycie.

Sadov spojrział i tknięty złym przeczuciem, ruszył biegiem w tamtą stronę.

Jeden z pilnujących więźnia leżał z podgryzionym gardłem, drugi zasłaniał rękoma umazaną mlecznokrwawą miazgą twarz, wrzeszcząc przejmującym głosem: - Nic nie widzę! Nic-nie-widzę! - walił oszalały z bólu w burtę okratowanego wozu.

Sadov był już obok niego, Lukan nadbiegł zaraz za nim.

- Gdzie ten pomiot? - wrzasnął wściekle.
- Oślepiiony desantowiec wił się nic nie słysząc.
- Zwiął parszywiec! - ryknął Lukan. - Przegryzł sznury, podgryzł gardło Cichemu i wydrapał ślepiec Drzazdze!
- Odwrót! Odwrót! - darł się Sadow w krwawą ciemność.
- Lukan! Zwołuj wszystkich!

Dowódca grupy wyrwał z za pazuchy skórzanego surduta krótki lejkowaty przedmiot i przykładając go do ust, zadał weń, wydając przejmujący ryk. Na ten dźwięk ze wszystkich stron nadbiegli desantowcy.

- W drogę! - von Sadow próbował przekrzyczeć wycie silników.
- W drogę! - Zaraz zacznie się tu piekło!

Jakby na potwierdzenie jego słów, z zaatakowanych wejść zaczęły wystrzeliwać w górę gejzery ognia, a grunt, na którym stali, zaczął niebezpiecznie drżeć, falować, później pękać i zapadać się. Obsługi miotaczy na dachach grzały ogniem w tę ziejącą czeluść, a desantowcy wrzucali ostatnie granaty. Potem kiedy ruszyli, zaprzestano ataków.

Pojazd wspinał się po stromej, wyboistej drodze, mając po obydwu stronach przepaściste ściany urwiska. Wreszcie wjechał na wzniesienie i wydał trzy krótkie dźwięki, przypominające buczenie syreny.

Przy głównej bramie zaczął się gorączkowy ruch, spuszczano długi drewniany pomost.

Wuk i Kultinak wyszli z pojazdu, pozostawiając go na drodze, i ruszyli przez pomost do otwieranych teraz potężnych wrót, pośrodku których stał Wilk, Bury w swoim brudnym białym płaszczu, a za nim Sęp i wiele innych zakapturzonych postaci.

- Przybył już Wikary? - rzucił pytanie Kultinak, kiedy tylko wszedł do środka.

- Nie - odrzekł spokojnie Wilk, a wymieniając uścisk dłoni z Wukianem, szepnął: - Witaj, bracie. Nareszcie...

- Czy von Sadov jest tutaj? - spytał Wuk, zatrzymując się na chwilę w wejściu.

- Nie ma. Wczoraj nadeszły jego oddziały prowadzące kobiety i dzieci.

- Źle. A co z tymi obcymi? - pytał szybko Wuk, ruszając dalej.

- Odpoczywają w górnych grotach - informował Bury. - Nie chcieliśmy, by łazili tutaj, wśród ludzi...

- Zwołaj wszystkich - mówił Wuk do Wilka - do jednej sali. Czas jest niebezpieczny. Rumiz przejął władzę! Ta wiadomość dotarła do nas w drodze. Zerwał rozejm! Boję się o von Sadova, o ludzi Wikarego. Przecież wyruszyli zaraz po nas! - Szedł szybko wykutymi w skale korytarzami, a Kultinak, ściskając opakowany w brezent Sztandar, postępował za nim.

Wilk wydawał po drodze dyspozycje Buremu, który potem

odłączył się od grupy i pospieszył do pomieszczeń zajętych przez przywódców.

- Tych obcych na razie nie powiadamianie - mówił Wuk. - Czy wiadomo już, skąd są?

- Tak. Wymienili nazwy swoich światów, ale nikt z nas nie ma pojęcia, gdzie one się znajdują. Diabli wiedzą też, kim oni właściwie są?

Weszli do obszernej groty, pośrodku której stał nieduży stół, pod ścianami dwa łóżka i parę krzeseł.

- Daj nam pić i, jeść, bo umieramy z głodu. Cudem wyszliśmy z okrażenia przy Trzech Karuzelach. Teraz trzeba działać błyskawicznie. Wilk! Sprowadź tu Wędrowców!

Oczy Wilka rozbłysły entuzjazmem.

- No, nareszcie - wyszeptał przejętym głosem. - Nareszcie wszyscy razem. Czy już nadszedł czas? - zapytał jeszcze, stojąc przy drzwiach.

- Już się zbliża, bracie, i musimy być przygotowani!

Kultinak rozmawiał w tym czasie z Sępem, który naraz zwrócił się do Wuka:

- Witam cię! Cieszę się, że niebawem wszyscy będą w komplecie!

- Witaj, Sępie - odrzekł Wuk, zrzucając swą pelerynę. - Zwołuj wszystkich. Wyślij też zwiadowców na drogę. Niech wypatrują Sadova i Wikarego. A gdzie Bolko? - Potem w krótkich słowach opowiedział mu o ostatnich wydarzeniach. Na zakończenie dodał:

- Pryśła wizja zemsty! Rozwiałą się plany o odwecie, przynajmniej na jakiś czas, może kiedyś natkniemy się na ukryte gdzieś jeszcze miejsce i znajdziemy coś, co będzie dla nas odpowiednie?

Sęp z Gór zachichotał cicho. Wuk spojrział na niego z poirytowaniem.

- Nie wszystko prysło - odrzekł Sęp. - Nie wszystko.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Posłuchaj mnie uważnie, Wukian. Obcy chcą się dowiedzieć, skąd przybyli Niszczyciele. Mało tego, oni chcą tam lecieć! Na dodatek doszli do takiego wniosku, że ta cała katastrofa była winą szczurołotów, którzy kiedyś rozpętali wojnę z Niszczycielami. My padliśmy tylko jej ofiarą!

- Co takiego?

- Pozwól skończyć. Czy wiesz, jakie wielkie są ich statki? Długie na dwadzieścia kilometrów! Wielkie prawie jak te góry! Wiszą na orbicie gdzieś pomiędzy Ziemią a Księżycem. Mało tego, na Księżycu baza Ratowników już od dawna stoi pusta! Wukian! Czy ty wiesz, co ja mam na myśli?

Wędrowiec stał i patrzył na ogorzałą twarz Sępa i jego palające, roziskrzzone jakąś nagłą myślą oczy.

- Chcesz powiedzieć - zaczął - że mogliby nam pomóc? Że można by z nimi?... Na ich statkach?...

Kultinak słyszał całą rozmowę i końcowe słowa, teraz pojął wszystko.

- Sęp! - wykrzyknął. - Tyś oszalał! Przecież to są mrzonki! Brakuje jeszcze... Nie! Bracie! Jeśli się udało!... Nie, to nierealne!

- Nierealne! - Sęp rozkręcił się na dobre.

- A dlaczego? Przecież im zależy na tym, aby się stąd wydostać, z tego wszechświata, w który – jak mówią sami - nie wiedzą jak się władowali! Liczą na potęgę Niszczycieli! Że jak do nich trafią, może otrzymają pomoc.

Wuk stał nieruchomo. Myślał intensywnie nad czymś, wreszcie się odezwał:

- A jak im powiesz, jak wytłumaczysz to, że chcemy z nimi lecieć? My do śmiertelnego wroga?! W jakim celu? Odwiedziny umierającego? - prychnął ironicznie. - Przecież głupiec się domyśli, że motywem będzie zemsta - pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Wukian! - nie ustępował Sęp. - Bez naszej pomocy nie znajdą tego przekłętego miejsca! Na to wpadła Gruba Katarzyna, a mną ten pomysł tak zawładnął, że o niczym innym myśleć już nie umiem! Czy ty wiesz, jaką oni mają broń? Kiedy objaśniali jej działanie i efekty, słuchaliśmy tego jak bajki! Ich broń potrafi rozbijać planety. Przyjacielu! Planety! Czy rozumiesz? - urwał nagle, gdyż wszedł Wilk.

- To jest warte przemyślenia - mruknął Wuk i dodał: - Powrócimy jeszcze do twojego planu. - W stronę Wilka spojrział pytająco.

- Wszyscy zaraz się zbiorą w jaskini obrad- oznajmił

ten. - Tylko wciąż nie wiemy, co z Sadovem i Wikarym? Bolko już nadchodzi.

- Trudno, będziemy radzić bez nich. Teraz dajcie coś do jedzenia, bo padniemy z głodu - spojrzał w stronę Kultinaka, który dyskutował z Sępem i pozostałymi.

Jacyś ludzie wnieśli wiadra z wodą, miski, jedzenie.

- Teraz wiecie wszystko. Znaście sytuację. Nawet ja, w najśmielszych marzeniach - mówił Kultinak siedząc w wysokim fotelu i mając przed sobą wszystkich prócz Wikarego i von Sadova - ...w najśmielszych marzeniach nie przewidywałem, że uda mi się dojść do porozumienia. Bo w skrytości ducha wierzę, że gdzieś jeszcze są tereny i obszary nie zbadane, gdzie na pewno żyją ludzie. Myślę, że i o tym w jakiś sposób się dowiemy.

Oczy wszystkich skierowane były na niego.

- Stąd pozostał nam już tylko ten ostatni etap - mówił dalej. - Poprzez góry nie przejdziemy z kobietami, dziećmi i starcami, i z bagażem, jaki każdy zdoła udźwignąć. Kiedy już się tam rozlokujemy, powrócimy tutaj po to, co nam będzie potrzebne do rozpoczęcia nowego życia. Teraz mamy tylko jedno wyjście, ale też najbardziej ryzykowne

- Kanion Zapomnienia. Pęknięcie w Ziemi ciągnie się na Drugą Stronę. Drogę tę jako pierwsi przeszli moi zwiadowcy pół roku temu. Zużyli na to pięć dni, odpoczywając tylko w

nocy. Nam powinno wystarczyć dziesięć. Dalej rozpoczyna się kraina łagodnych wzgórz, a za nią rozciąga się już Wielka Nizina, którą Aramusanie trafnie nazwali Zieloną. Ziemia tam ożyła i rodzi owoce. Jest ciepło i nie grozi Czarny Deszcz. Płyną czyste rzeki i rośnie dużo drzew. Zwiadowcy przynieśli z sobą niektóre owoce - są smaczne i pożywne. Będziemy mieli co jeść! - zakończył nagle wzruszonym głosem. Patrzyli na niego długo i nawet w ponurych oczach starego Wendy pojawił się cień rozmarzenia. Głos Kultinaka wyrwał ich z zadumy.

- Jest tylko jedno ryzyko - mówił cicho. - Wędrując poprzez Kanion będziemy zupełnie odsłonięci. Idealny cel! Jak na dłoni! Ale jest na to rada - dodał szybko. Górę będą osłaniali wojownicy, a część zostanie tutaj, aby zatrzymać armię szczurołotów, która się niebawem pojawi. To jest pewne!

Długi stół nakryto srebrnym, skrzącym się w drgających ogniach niezliczonych świec materiałem i wniesiono przystrójone złotem i srebrem wisiorów ciało tej oplakiwanej przez tysiące.

Rumiz, z obandażowaną głową, kazał wyjść wszystkim, potem stanął nad ciałem księżniczki, z którą los nie pozwolił mu się połączyć za życia, i przemówił łkającym głosem:

- Przysięgam ci! Nie spocznę ja ani cały nasz szczurołoci ród, dopóki nie dopadniemy tego, który jest winien zbrodni.

Wybiła godzina ostatecznej rozgrywki i choć Ratownicy odwrócili się od nas, nie odpowiadają bowiem na sygnały, my, prawdziwi władcy tej planety, usuniemy z niej resztki zgnilizny! Przez nią Ziemia stała się martwa. Zaraza ta zebrała się w jednym miejscu, wyruszymy tam niezwłocznie i wydusimy ją do ostatniego tchu! W imię Phakha Białego - twojego wielkiego ojca - i w imię twojej śmierci! Nie powstrzyma nas już nic!

Pojazdy von Sadova dotarły do podnóża Górskich Dziur w tym samym czasie, co grupa prowadzona przez Wikarego. Spotkali się na drodze witani okrzykami zwiadowców, którzy wyruszyli im naprzeciw.

- Wyglądasz jak wcielenie diabła! - krzyknął na jego powitanie Wikary, patrząc na umazaną twarz von Sadova.

- Bo też z piekła zwiąłem - odrzekł z błyskiem w oczach. - A jak tobie poszło?

- Dwie małe potyczki, nic szczególnego - Wikary wrzucił ramionami. - Wycięliśmy wszystkich w pień!

- To dobrze. Bardzo dobrze - mruknął Sadov, wstępując na drewniany pomost. - Teraz tylko jeść i spać. Spać, spać i jeszcze raz spać.

Pozwolono mu tylko zjeść.

- Odpoczniesz później - powiedział Wuk po wysłuchaniu całej historii. - Niech się ludzie wyśpią. Teraz zbierz resztki

swoich sił i wyteż umysł, bowiem trzeba się naradzić.

- Nie ma czasu - mrucał Sadov. - Te parszywce pozbięrają się niebawem. Ich nie sposób dobić! Zwalą się tu z całą swoją armią, a wierz mi, są ich tysiące, tysiące...

- Dobra. Teraz mnie uważnie posłuchaj - Wuk spojrział na niego i zaczął mówić.

Von Sadov zapalił papierosa i usiadł zgarbiony w fotelu. Na jego twarzy malowało się zmęczenie. Aby nie zasnąć wstawał i chodził wolno wokół stołu, potem znów siadał, gasił papierosa i zapalał następnego. Nie zadawał żadnych pytań, nie żądał wyjaśnień - słuchał.

- Wszyscy są już w drodze. My będziemy strażą tylną. Nie mogliśmy czekać dłużej. Obcy też już się wynieśli, przyjęli naszą propozycję, ale także muszą ją uzgodnić ze swoimi przywódcami. Pozostawili nam ciekawą broń - rusznice udarowe i skrzynkę granatów...

- Mam też jedną w wozie - wtrącił von Sadov szybko.

- ... atomowych - dokończył Wuk. - A takich nie masz i na pewno nigdy nie widziałeś.

- Jakich? - von Sadov spojrział na niego podkrążonymi i czerwonymi ze zmęczenia oczyma.

- Atomowych. Zobaczysz zresztą sam. Jeden zabija setki, a ta skrzynka wystarczy na tysiące.

- No dobra. Rozumiem wszystko. A jeżeli ich przywódcy się nie zgodzą na ten plan? Co wtedy?

- Zgodzą się, bo nie mają wyjścia. Poszli z Bugą, Rybą i paroma od nas do tego statku i przylecą na Wielką Nizinę. Po nas, przyjacielu, po nas! Pojąłeś? Ten dzień jest już bliski.

- A więc kiedy wyruszamy?

- Nad ranem.

- No to zdążę się jeszcze przespać.

- Zdążysz, a jakże...

- A co z tymi, no... granatami? Są takie groźne?

- Zostawimy ich trochę tutaj: na drzwiach wejściowych, w jaskiniach, grotach, korytarzach... Mają takie sprytne urządzenia w sobie, że nie wybuchają od razu, tylko kiedy ty zechcesz. Jak te pomioty tu wejdą, porozbijają drzwi i będą przeszukiwać wnętrze, zobaczą pustkę. I to będzie ostatnie, przyjacielu, co zobaczą.

Von Sadov chrapał cicho z głową przechyloną. Wuk uśmiechnął się tylko, wstał i wyszedł.

Grupy desantowe von Sadova i wybrani Wędrowcy Wuka posuwali się w mdłym świetle poranka pośród stromych, ostrych, niebosiężnych ścian kanionu.

Kiedy w tym forsownym marszu pokonali pierwsze kilometry, Wuk nakazał postój i powiedział:

- Teraz kolej na nas. Zobaczymy, jak to działa. - Wziął do ręki długą rusznicę, przypominającą trochę trąbę, połączył jej przewód z płaskim kwadratowym pudłem, potem wycelował

w rdzawą, idealnie pionową ścianę za sobą i nadusił czarny guzik w zgięciu kolby.

Broń zadrżała w jego rękach i wyrzuciła z siebie niewidoczny podmuch czegoś, co trafiwszy w ścianę, odłamało jej potężny kawał, tworząc spore pęknięcie, które zaczęło się powiększać. Całe złomy rudej skały powoli odpadały w wibrującym powietrzu, wałąc na dół i jak lawina nabierając rozpędu. Uderzając w dno kanionu, wzniecały wokół siebie tumany rdzawych obłoków.

Poczekali, aż opadną te brązowoszare pyły i z podziwem patrzyli na spustoszenie, jakiego dokonała nowa broń.

Po niespełna godzinie przejście, którym doszli tutaj, było zawałone głazami różnej wielkości.

- Oj, napocą się, napocą te pomioty, żeby to sforsować - mruknął Sadov.

- Tak - dorzucił Wuk. - Jeżeli będą tędy przechodziły. Zapominasz o tym, że te szczurze gady potrafią też latać. Co prawda nie dalej niż na dwieście, trzysta metrów, ale to wystarczy, by pokonać tę przeszkodę.

- No to na cholerę taka barykada? - obruszył się von Sadov.

- No bo teraz nad tym osypiskiem rozciągniemy niewidzialną sieć pająka z tych cieniutkich drucików, które połączymy z dwoma granatami. Wiesz, co mam na myśli?

- Domyślam się, istoto z piekła rodem! - wykrzyknął von Sadov, śmiejąc się serdecznie.

- A więc do roboty, bo takich niespodzianek musimy przygotować więcej. Oczywiście, każda będzie inna!

- A jak przejdą górą?

- Tam podobne cacka zakładają ci z Pierścienia Zachodu - ludzie Bułhyczowa i Sępa z Gór - oni są w tym najlepsi! Nawet jeśli te pomioty przez to wszystko przejdą, my będziemy już po Drugiej Stronie, a tam, myślę, nie odważą się zaatakować takiej armii, jaką utworzymy.

- To do dzieła! - rozkazał swoim desantom von Sadow.

- Tak... Jesteśmy już na miejscu - powiedział ciężkim głosem Kultinak do swoich Jednakowych, którzy zebrali się wokół niego. - Czy widzicie tę zieloną linię horyzontu? Powiedzcie ludziom, że to właśnie tam idziemy, że tam jest kres naszej wędrówki.

Był wczesny ranek, kiedy stanęli u wyjścia z kanionu, z zaskoczeniem patrząc na nieznany, błękitny kolor nieba, porośnięte zielonym krzewiem rozpadliny i zbocza i wypływający z wysokiego szczyr tu, „skrzący się w jasnym świetle,, strumień wody, którego szum napawał strachem.

Tysiące zmęczonych do granic wytrzymałości ludzi stało i patrzyło z zafascynowaniem na widok, jakiego nikt z nich dotąd nie oglądał.

- Czy to jest ta ziemia, która żyje? - zapytał ktoś z tłumu.
- Mówią, że to właśnie tam - wskazał ręką zieloną linię w dali.
- Co tu będzie? Co nas spotka? - pytały z obawą kobiety.
- Nowe życie! - powiedział ktoś z tyłu.
- Bracia! - krzyknął Kultinak. - Nadszedł kres naszej tułaczki. Jeszcze jeden wysiłek, ostatni trud, a poznacie coś, co w porównaniu z tym, co zostawiliście za sobą, będzie dla was rajem! Ziemią obiecaną! Już ostatni raz zmobilizujcie swoje siły, bo tam odzyskacie je w trójnasób!

Rzesza dziesiątek tysięcy istnień ludzkich przerażonych nieznany otoczeniem, kolorem nieba i dalekiej ziemi podawała z ust do ust jego słowa - ruszając wolno przed siebie. Schodzili w dół ku zielonym i łagodnym stokom, pozostawiając za sobą groźne i ponure szczyty. Dzięki naturalnemu rozstąpieniu się skał, utworzyła się przed wiekami droga. Ją właśnie ludzie szczęśliwie pokonali.

Dolina napawała lękiem. To uczucie zrodziła wszechwładnie panująca cisza. Miękki i przyjemny, mokry i zielony grunt, po którym z obawą stąpali, w niczym nie przypominał brunatnoszklistej powierzchni. Dziwne, kolorowe rośliny, które tutaj rosły, wydawały z siebie zapach, jakiego dotąd oni nie znali prócz garstki starców drżących ze wzruszenia na ten

widok i Aramusan śpiewających pieśń na cześć swojej świętej rośliny.

Kiedy zeszli z tych zielonych pochyłości i wyszli na względnie równy teren, Kultinak zmobilizował ich, padających już z nóg, do ostatniego wysiłku.

- Tam! - krzyknął, wskazując teren zarośnięty smukłymi słupami, z zielonymi czapami wierzchołków. - To są drzewa! Wiele drzew tworzy las! On jest naszym celem i tam będzie nasz tymczasowy dom.

Wreszcie weszli, nie bez obaw, w zbawczy cień i chłód lasu, padając z nóg na miękkie, zielone i wilgotne podłoże, tak bardzo przyjemne w dotyku, choć nieznanne. Zasybiali natychmiast tam, gdzie upadli lub usiedli.

Sam Kultinak, stojąc w asyście Sępa, jego brata - Bolka i Wikarego, słał się na nogach. Doradzali mu, żeby się prześpał, ale on mruczał, że nie wszyscy nadeszli i patrzył wciąż na długą, zawiniętą w „es”, szeroką, ludzką rzekę, której wąski koniec był jeszcze na pochyłych stokach.

- Matko nasza... Rodzicielko... - jęknął nagle i padł jak podcięty.

Doskoczyli do niego zaniepokojeni, lecz on już spał w tym miejscu, w którym upadł, kurczowo zaciskając starcze, kościaste palce wokół długiego drzewca.

Wuk i Sadov, na czele swoich grup, nadeszli trzeciego dnia wieczorem, kierując się do widocznych już z daleka światła

ognisk. Wymruczeli słowa powitania, powiadamiając, że przez całą drogę nie trafili na żaden ślad szczurołotów, co jest dziwne i podejrzane i ... zasłabli. Natychmiast się nimi zaopiekowano.

Oślawieni wojownicy Wendy, oddziały Grubej Katarzyny oraz Bułhyczowa, które pokonały najdłuższą i najniebezpieczniejszą drogę, prowadzącą na krawędzi kanionu, zjawiły się nad ranem. Chciały tylko wody...

- Są opustoszałe! - meldował zwiadowca. - Cisza. Wszędzie cisza! Brak jakiegokolwiek ruchu. Te pojazdy w dole stoją bez dozoru. Główne wrota są zamknięte. Pomost podniesiony. Wszędzie martwy spokój!

Rumiz stał i patrzył złowrogo na wstępującą drogę prowadzącą wprost do Górskich Dziur. Ubrany był w srebrny szyszak, grubą, skórzaną kamizelę sięgającą kolan, w łapie trzymał mały miotacz.

- Atakować! - wrzasnął nagle, patrząc na morze czarnych postaci stojących wszędzie jak okiem sięgnąć. - Atakować! - ryknął. - Z góry, z dołu, ze wszystkich stron! Nie zostanie kamień na kamieniu.

Nieprzebrane rzesze rzuciły się drogą, inne wzbily się w powietrze, jeszcze inne zaczęły wspinać się po stromych ścianach, by dotrzeć do wykutych w nich okien.

Hordy szczurołotów wyły i piszczały wdzierając się do środka. Zaraz też rozwarło wrota i opuszczono drewniany pomost.

Rumiz stał w asyście swoich dowódców i wojowników, czekając w pogotowiu.

Kiedy rozwścieczone rzesze runęły przez pomost i zniknęły w ciemnym wnętrzu wrót, on - naczelny wódz - stał nadal nieruchomo, przytupując od czasu do czasu nogami. Gdy raptem parę małych słońc osłepiło jego najbliższych, a potężna góra rozpadała się powoli na kawałki, Rumiz tracąc przytomność pojął tylko jedno: już nigdy nie zdobędzie Górskich Dziur.

„Juta I” wylądowała daleko od lasu, na zielonej równinie, W trzecim tygodniu od przejścia ludzi na drugą stronę gór. Pochylnia wjazdu opadła, a z ciemnego wnętrza wyszło siedem sylwetek kierując się w stronę lasu i wysokiej palisady odcinającej go od dalekiego łańcucha szczytów.

Idący byli bacznie obserwowani przez tych, którzy gromadnie stali za drewnianym ostrokołem.

Pierwszy kroczył Wielki Buga, obok niego Ryba, a za nim Fechner i czterech obcych. Kiedy tylko doszli do palisady, otwarto ciężkie, z drewnianych bali, podwoje i wpuszczono ich do środka.

Przywitał ich Wuk w asyście Sępa z Gór i Wikarego; stali przed drewnianym budynkiem.

- Myśleliśmy, że już nie wrócić - odezwał się Wikary, podnosząc rękę w geście powitania.

- Pokłócili się, psubraty - zaczął Wielki Buga.
- Przez okrągłe trzy tygodnie żarli się pomiędzy sobą! Ale to teraz nieistotne.

- No a co? - wtrącił Sęp z Gór.
- To, że nie dalej jak jutro - mówił Buga - będzie tu gorąco! Te pomyoty już przechodzą góry.

Ludzie wymienili między sobą szybkie spojrzenia.

- Widzieliśmy ich dokładnie lecąc statkiem - dodał Ryba.

- Na stokach, żlebach, przejściach - odezwał się cicho Fechner - i w Kanionie Zapomnienia jest aż czarno od tych skurwysynów!

- A więc te pomyoty diabła wyszły z piekła! - mruknął Wuk z zasępioną miną i zapytał: - Ile może ich być, tak na oko?

Buga wzruszył ramionami i zapytał jednego z obcych w języku, którego ludzie nie zrozumieli.

- Według nich - powiedział zwracając się do Wuka - może być ich około pięćdziesięciu tysięcy.

- Co takiego? - podniósł głos Wikary.

- Władasz ich językiem - stwierdził Wuk patrząc z podziwem na Mściciela.

- Było trochę czasu...

To dobrze. Bardzo dobrze. Teraz wejdźcie do środka - wskazał ręką na drewnianą budowlę.

- Tam spokojnie pogadamy.

- Wuk! Słyszałeś? - krzyknął Wikary. - Pięćdziesiąt tysięcy! Czy na tobie to nie zrobiło wrażenia?

- Wstrząsnęło mną do głębi - odrzekł ten spokojnie - bo wychodzi pięciu na jednego - dodał i ruszył za obcymi.

Wikary spojrzął na Sępa, zaklął głośno i powiedział:

- Wygląda jakby się w ogóle nie przejął, a oni będą tutaj jutro!

- Nie znasz Wędrowców - rzekł Sęp patrząc mu w oczy. - Jego spokój jest pozorny. Ale co jest teraz najważniejsze? Oczywiście szczurołoty i decyzja obcych. Daję, bracie, głowę, że Wuk myśli i nad jednym, i nad drugim. Teraz chodź, bo przecież czekają na nas.

Weszli do środka, gdzie obcy siedzieli już na drewnianych ławach za ciężkim, ciosanym stołem.

- Ryba, przyjacielu - mówił Wuk - na zewnątrz, po prawej stronie, wisi dzwon. Idź i zacznij dzwonić. Po trzy razy w krótkich odstępach czasu.

Ryba przytaknął głową i wyszedł.

- A teraz ty, Buga - Wuk zwrócił się do Mściciela - mów, bo czasu jest niewiele. Zgodzili się?

- Zgodzili.

- No to dobrze. A o co się kłócili?

- Kto kogo ma zabrać na swój pokład.

Wuk wymownie spojrzął na Sępa. Ten zrozumiał, o co chodzi.

- Każdy weźmie na swój pokład - mówił Wuk powoli i nagle urwał, pytając: - Przecież my nie wiemy, ile oni mają statków? - i spojrzał na Mściciela.

Z zewnątrz rozległo się dźwięczne i donośne bicie dzwonu.

- Mieli ich dwanaście, ale dwa rozbiły się na Ziemi, pozostało więc dziesięć - wyjaśnił Buga i spojrzał na siedzącego obok Czunę. Ten przytaknął głową.

- No więc żeby było sprawiedliwie - kontynuował Wuk - to czy mogą wziąć, powiedzmy, po pięciuset naszych ludzi?

Buga zrobił wielkie oczy.

- Oni byli przekonani, że nasza delegacja będzie liczyła około pięćdziesięciu, no, stu ludzi! Dlatego kłócili się, kto ma ich u siebie gościć.

Wuk rozłożył ręce.

- No to powiedz im, że ludzie wysyłając delegację, a tym bardziej w tak poważnej misji – spojrzał na Sępa i Wikarego - zawsze wysyłali jak największą liczbę osób - powiedział i chwilę odczekawszy dodał: - Liczba tych, którzy polecą może się jeszcze zmienić. Czeka nas rozprawa z tymi pomiotami. Nie wiadomo, ilu z nas polegnie. Buga! My musimy tam polecieć!

Buga jeszcze coś wyjaśniał i tłumaczył, ale widać było, że przybysze są zadowoleni, w każdym razie takie wrażenie sprawiali.

- Teraz inny problem - ciągnął Wuk, kiedy usłyszał potwierdzającą odpowiedź. - Spytaj, czy mogą nam pomóc w

rozgromieniu zarazy, która nieuchronnie nadchodzi.

- Tym razem dyskusja między Bugą a obcymi trwała znacznie dłużej. Wreszcie Mściciel westchnął i powiedział głośno:

- Wiecie, jak wygląda z góry Ożywiona Ziemia? - widząc ich pytające spojrzenia odpowiedział:

- Zewsząd otoczona jest górami, za którymi jest dokładnie tak samo jak tam, gdzie dotychczas żyliśmy. To jedyne miejsce, które jakimś cudem się uratowało, chyba dzięki niebotycznym szczytom. One prawdopodobnie ochroniły tę dolinę przed promieniowaniem. Jeżeli chodzi o broń - jest dla nas nieprzydatna. Zniszczyłaby tę żyjącą ziemię. Pozostają tylko rusznice udarowe, których bez wahania mogą nam użyć, i nic więcej. Też są zmartwieni, wiedzą bowiem, jaka jest różnica sił.

Na twarzy Wuka pojawił się nikły uśmiech.

- Będą widzieć - powiedział - jak potrafią walczyć ludzie. Teraz powiedz im, żeby wracali do siebie, my musimy się przygotować do boju. Potem zaprosimy ich na ucztę pożegnania na trupach naszych wrogów! Przekaż im to! - Wuk wstał i popatrzył na nich swoim zielonkawym wzrokiem.

Buga więc tłumaczył nie szczędząc przy tym gestykulacji, potem wyprowadził obcych na zewnątrz, mówiąc do Wukiana:

- Wyślij pięćdziesięciu ludzi po rusznice, bo tylko tyle ich mają, a więcej sprowadzić nie zdążą.

- Zawahał się i dodał: - Dwustu Czunów pragnie stanąć

po naszej stronie i wziąć udział w bitwie. To też urodzeni wojownicy.

Wuk spojrział na niego bardzo poważnie.

- Powiedz im, że dziękuję ze szczerego serca, ale to jest nasza sprawa. Zaraz wyślę ludzi.

- Załatwione - mruknął Mściciel. - Chcą jeszcze dostać dane co do położenia Układu Niszczycieli. Pragną wstępnie opracować przyszłą trajektorię.

- Dokładną mapę gwiazdną drogi dostaną dopiero wtedy, kiedy nasi wojownicy znajdą się na ich pokładach, a statki opuszczą Układ.

Buga pokiwał tylko głową i odszedł bez słowa.

Czarna, sunąca powoli armia szczurołotów rozdzieliła się teraz na trzy grupy i zatrzymała na pochyłych zboczach. Przed nimi rozciągała się płaska, zielona równina, a daleko na niej nieruchomy ludzki mur.

Było wczesne przedpołudnie, kiedy dwie wrogie potęgi stanęły naprzeciwko siebie, oddzielone prawie dwukilometrowym pasem równiny.

Słońce wschodziło na błękitnym niebie, z obojętnością dzieląc swoim światłem i ciepłem wrogie armie.

- Jednakowi! - krzyknął z prawego skrzydła Kultinak. - Nadszedł ten dzień i wybiła już godzina! - W prawej ręce trzymał zwinięty Sztandar.

- Ukłękajcie teraz i złożcie przysięgę! - powiedziawszy to, jednym ruchem rozwinął czerwony materiał.

Przez niezliczone szeregi przeszedł pomruk zaskoczenia i zachwytu.

Kultinak ciągnął dalej:

- Tym odwiecznym znakiem naszym jest złoty ptak-orzeł!

Na znak orła przysięgajcie! - krzyknął.

Kłęczące oddziały wojowników ryknęły złowrogo:

- Przysięgamy.

- Wybić szczurołoci ród i Niszczycieli rasę!

- Przysięgamy!

- Orła znak po wsze czasy nosić w sercach!

- Przysięgamy!

Tuż obok Jednakowych stały szeregi Bułhyczowa, dalej wojownicy Grubej Katarzyny, osławione grupy Pierścienia Zachodu, desantowcy von Sadova i wojownicy Otto Kaznodziei. W samym środku, w szczelnie zapiętych pelerynach z kapturami, oczekiwali Wędrowcy. Oddziały wojowników z Górskich Dziur stały na lewym skrzydle pod dowództwem Burego i Mściciela, który stał obok Ryby i w milczeniu obserwował czarne morze w oddali, od którego oderwała się pierwsza fala i ruszyła wolno przez równinę.

- Rusznice! - krzyknął Wuk. - Do przodu i czekać na mój sygnał!

298

Ze wszystkich oddziałów wyszli przed front wybrani wojownicy, którzy z wycelowaną nową bronią ruszyli wolno przed siebie, licząc po cichu przebyte kroki. Przy stu stanęli w rozkroku i czekali nieruchomo na sygnał, stawiając obok siebie pudła z zasobem energii.

Czarna fala toczyła się płynnie po równinie, rosnąc z każdą chwilą i przybierając już wyraźnie szcurolocie kształty. Świsnęły pierwsze strzały, nie osiągnęły jednak celu, potem rozległo się wściekłe wycie i oszalały pisk pędzących do ataku.

Wtedy od strony ludzkich szeregów rozległ się donośny głos:

- Teraz! Już!

Pięćdziesięciu wojowników nadusiło guziki spustowe, patrząc z niepokojem na efekt. Rozrywane ciała zatrzymały się w połowie drogi, potem zaczęły fruwać jako krwiste strzępy w powietrzu, kierowane niewidzialną siłą podmuchu do tyłu, skąd dochodziło wściekłe wycie przerażenia i nienawiści.

Ruszyła następna fala, którą spotkał ten sam los, potem jeszcze jedna, ale nieznaną energią w zbiornikach skończyła się nagle.

Krzyk triumfu rozdarł powietrze po stronie przeciwnika. Teraz nie ruszyła pojedyncza fala, ale całe czarne morze. Wrzask, wycie i histeryczny pisk rozdartych gardzieli szcurolocich przybliżał się coraz bardziej, kiedy z ludzkich szeregów wysunęli się wojownicy Pierścienia Zachodu, tworząc gigantyczny trójkąt. Oslaniając boki swoimi dużymi tarczami,

ruszyli wolno do przodu, celując wierzchołek trójkąta w sam środek rozpędzonej zgrai. Zatrzymali się na chwilę, pierwszy szereg ukląkł, a zza niego zajazgotały długie serie maszynowej broni, potem ruszyli dalej, idąc wciąż w zwartym szyku.

A za nimi, z ludzkich szeregów, wyrwał się najpierw pojedynczy, potem zbiorowy potężny ryk, wstrząsając przestrzenią:

*„Niezwyciążona ludzka raso z Ziemi,
Przeklęty niech będzie twój każdy wróg!
Reszkami sił się podniesiemy,
Ostatni trud, zwycięski bój!
Bój to nasz ostatni...”*

Dalsze słowa zagłuszył huk wystrzałów, ryk i wycie, serie broni maszynowej, wysoki syk miotaczy, wybuchy granatów, krzyki, błagania i przekleństwa.

Zderzyli się nagle, jak dwie potężne góry, zgrzytając potwornym dysonansem ścieranego oręża, grzmotem i hukiem rozdzierającym powietrze.

Krew tryskała we wszystkich kierunkach: lała się na zieloną równinę, a ziemia chciwie ją wchłaniała; bryzgała na wykrzywione pyski, przekrwione białka oczu i zięjące nienawiścią i chęcią mordu ślepie. Zgrzytały miotacze, trzeszczały tarcze wojowników Wendy, mieszały się rzucane przekleństwa.

Tylko Wuk i Wędrowcy stali nieruchomo w miejscu, koncentrując energię i przygotowując Moc.

Ludzkie mrowie, splątane i wymieszane z atakującymi, zaczęło nagle ustępować, choć nikt z walczących tego nie

zauważał, kiedy nagle nadludzki głos rozdarł przestrzeń ponad tą skotłowaną masą, nakazując błyskawicznie się wycofać.

Nie wszyscy go dosłyszeli, a jeżeli nawet, to w ferworze walki nie zwrócili nań uwagi.

Głos, który wydobył się z piersi Wuka, rozszedł się po raz wtóry. Usłuchali, wycofując się szybko na poprzednie pozycje.

Kultinak stojący obok, w asyście Sępa i Wikarego, spojrział zdziwiony na bladą twarz Wukiana i jego zielone oczy oraz na dwie wątle sylwetki, rozpoznając asystentki Wuka. Sęp i Wikary też byli zaskoczeni obecnością dziewcząt.

Kiedy ostatni wojownicy zajęli poprzednie pozycje, wszyscy oczekiwali wyjaśnienia nagłej zmiany decyzji. A tymczasem Wuk, na czele Wędrowców, szedł powoli w stronę już wiwatujących czarnych mrowisk, upojonych pierwszym zwycięstwem. Będąc na wysokości Kultinaka, krzyknął nieswoim głosem:

- Zapomniałeś o tych, którzy obiecali być z nami w tej godzinie! Wzywaj ich teraz, wzywaj, bo już czas najwyższy! Zło bowiem może okazać się silniejsze!

Kultinak pojął, o co chodzi.

Czarne szeregi szcziurołotów gotowały się do nowego ataku, kiedy Wuk, mając za sobą Wędrowców, wznosił ręce nad głowę i zaczął szeptać:

- Władcy naszej mocy! Przybądźcie teraz, bowiem siły, z którymi przyjdzie nam się zmierzyć, są zbyt potężne, a każde

życie ludzkie zbyt cenne, aby je marnotrawić w walce z przeklętym złem!

Szczurołoty ruszyły do ataku we wściekłym porywie upojenia, ale oto przestrzeń przed nimi drgnęła gwałtownie i zaczęła wibrować. Wiatr, który się zerwał, zaczął z coraz większą siłą uderzać w ich szeregi. Przestrzeń zaiskrzyła się i pociemniała, potem małe jeszcze i nieśmiałe płomienie wyskoczyły z ziemi, szybko stając się coraz większe i potężniejsze. Po chwili morze ognia runęło na przerażone szeregi.

- O wy! - krzyczał Wuk - których sługami jesteście, nie pozwólcie, aby zło zapanowało nad czystością tej przestrzeni. Przybywajcie! Wzywam was i zaklinam! Przybywajcie!

Po przeciwnej stronie obserwujący to Rumiz, w towarzystwie swoich zastępców, zaklął głośno na widok zniechęconej postaci.

- To Wuk! - ryknął. - Zabójca Phakha Białego! Ruszajcie całymi siłami! Wszyscy! I zabijcie go!

Te, które czekały w odwodzie, rzesze czarnego mrowia ciągnące się aż do podnóża gór, drgnęły i ruszyły powoli.

- Zgniotą nas - szepnął Bułhyczow. - To nie pięćdziesiąt tysięcy, ale całe morze! Przyjdą i zaleją nas!

Osiemset metrów na zachód przedstawiciele obcych światów obserwowali z „Iuty I” śmiertelne zmagania ludzi.

- Jest źle - mruknął Czuna i dodał: - Szkoda, że nie możemy użyć naszych atomowych haubic.

- Myśleliśmy, że tych diabłów jest około pięćdziesięciu tysięcy, a wychodzi na to, że jest ich ze dwa, trzy razy tyle!

- Nie zaleją - wtrącił Sęp z Gór, zgrzytając zębami. - Teraz albo my, albo one! - mruknął wściekle.

Kiedy czarne masy rzuciły się do ataku, ogarnął je ogień, potem gdzieś na prawym skrzydle ziemia zaczęła nagle drżeć i ludzie spojrzeli w tamtą stronę z lękiem, nie wiedząc jeszcze, co to takiego.

Najpierw było słycać potężny szum wiatru, potem tętent czegoś niezrozumiałego i nieznanego, od czego ziemia dudniła coraz bardziej i bardziej.

Kultinak padł na kolana, trzymając w obydwu dłoniach łopoczący sztandar z owalnym napisem wyhaftowanym złotymi niemi: „Za wolność wasz...” dalej litery były powykruszone.

Nie zmieniając pozycji szeptał drżącymi ustami, nie widząc zdziwionych spojrzeń Sępa i Wikarego.

- Wy, którzy uświadomiliście mi naszą przynależność, pomóżcie! Zaklinam was na pamięć naszej matki, której imienia dotąd nie poznaliśmy - zaszlochał cicho i zaraz krzyknął w zaciągające się ciemnymi chmurami niebo: - Waszą wolę Wypełniamy! A więc przybywajcie!

A tam dalej, przed zbliżającymi się nieprzelicznymi rzeszami znienawidzonego wroga, stał jak posąg Wuk na czele

swoich Wędrowców. Spojrzał przed siebie, na czarne morze, potem w bok - na takie samo i za siebie, gdzie zbliżała się też czarna zaraza. Zrozumiał wszystko - byli w okrążeniu.

- Bierzcie to, co najdroższe każdemu! - wyrzucił z siebie w przestrzeń. - Ale dajcie nam na tę jedną jedyną chwilę moc was wszystkich!

- JUŻ ZDECYDOWAŁEŚ - odpowiedziała przestrzeń. - MASZ TO, CO CI JEST POTRZEBNE!

Dudnienie ze wschodu zbliżało się coraz bardziej, kiedy niedaleko Wuka pękła nagle ziemia i zaczęła się z niej wylańać potężna, okuta w metal postać. Zaraz dalej, jak z kopca kreta, wyłoniła się następna i następna. Już nie było miejsca na równinie, z którego nie wychodziliby ci dziwni wojownicy ściskając w swoich czarnych dłoniach zardzewiałe, poszczerbione miecze. Chrząszcząc stalowym pancerzem, milcząc ruszyli do przodu, strząsając z siebie ziemię i zwierając się w szeregi.

A z lewego skrzydła, zza dalekiej ściany lasu, wyskoczyła rzesza półnagich, odzianych w skóry ludzi wymachujących toporami. Jakieś sto, dwieście metrów od nich posuwała się inna, dziwna i potężna grupa ponuro śpiewając: „Bogurodzica...” Za nimi, w siwych mgłach, maszerowały nieprzebrane rzesze w białych płaszczach i czerwonych kwadratowych nakryciach głowy, dzierżąc w dłoniach długie drzewce, na końcach których połyskiwały szerokie, zakrzywione ostrza.

Nawałnica ze wschodu była już całkiem blisko i teraz wylonila się zza wzgórza. Jacyś uskrzydleni jeźdźcy na dziwnych zwierzętach pędzili z okrzykiem, celując prosto we wroga długimi lancami. Nagle od strony Kanionu rozdarł powietrze jeden gromki, potężny krzyk: Hurrraaa! Widmowe postacie, wszystkie ubrane w zielone mundury, biegły do ataku strzelając seriami z maszynowej broni.

Wuk patrzył z zafascynowaniem na to zjawisko. Po starczej twarzy Kultinaka spływały łzy wzruszenia, Bułhyczow, Wenda, Otto Kaznodzieja, Von Sadov i Gruba Katarzyna stali nieruchomo, nie pojmując jak i kiedy z przecierającego się nieba, z żółtej tarczy słońca wyleciały z przeraźliwym jazgotem, celując prosto w czarną szczurołocią masę, smukłe sylwetki nieznanymi pojazdami.

Wuk oprzytomniał pierwszy. Kiedy rzesze wroga rzuciły się do panicznej ucieczki, wrzasnął nagle:

- Do ataku, ludzka raso! - i zaintonował po raz wtóry: „Niezwyciężona ludzka raso z Ziemi...”

Thumy wojowników podchwyciły natychmiast słowa pieśni i teraz jeden ryk ostatniego hymnu zjednoczonej ludzkości rozdzierał przestrzeń.

Pikujące obiekty nadlatywały z wyciem, można było dostrzec na ich rozłożystych skrzydłach jakiś emblemat w kształcie biało-czerwonej szachownicy, Nieznani wojownicy kroczyli przed siebie, spychając cofających się do miejsca, skąd nie było już wyjścia.

Stłoczywszy się tam, chcieli stawiać jeszcze rozpaczliwy opór. Rumiz trafiony serią padł na kolana - patrząc, jak miotacze wroga prowadzą nieprzerwany ogień w kotłującą się u wejścia kanionu masę jego rodaków.

Znajdujący się na „Iucie I” obserwatorzy z czterech obcych światów w milczeniu przyglądali się końcowemu etapowi bitwy.

- A swoją drogą - odezwał się Min - skąd oni wzięli tak potężny projektor hologramowy? My czegoś takiego nie mamy... Te widmowe obrazy obiektów, ci wojownicy nakładający się jedni na drugich... Ciekawe...

Wejście do Kanionu Zapomnienia zatarasowane było do połowy dogorywającymi w ogniu szczurołotami.

Natomiast oddziały uciekające z pola walki, gonione były przez inne grupy rozwścieczonych i upojonych zwycięstwem ludzi, którzy likwidowali je bez skrupułów. Egzekucje sparaliżowanych panicznym strachem szczurołotów odbywały się wszędzie, gdziekolwiek dopadnie to najmniejszą nawet grupę.

Słońce chowało się już za skalistymi górami zachodu jako krwawa kula, kiedy rzesze wojowników chodziły po pobożewiskach i dobijały ранnego wroga. Inni ścigali zakrwawione

ścierwa szczurolotów na jedno miejsce, układając je w potężne sterty, które podpalono ogniem miotaczy.

Wuk stał pośrodku tego pola śmierci, obok niego Kultinak.

- Dopilnujesz wszystkiego - powiedział Wuk - aby wybrani polecili tam, gdzie jest ostatni etap wykonania testamentu tych, którzy nam dzisiaj pomogli, bowiem wobec nich mamy teraz większy dług do spłacenia.

- Dopilnuję - szepnął Kultinak i dodał: - Ale mówisz tak jakbyś gdzieś odchodził...

- Bo odchodzę, przyjacielu, a przede mną długa droga, jednak przed tym chcę mieć pewność, że wola ojców naszych ojców będzie wypełniona.

- Czyżbyś wątpił? - Kultinak spojrział na niego i zapytał z niepokojem: - Może jesteś ranny... - Chciał wezwać pomoc, ale Wuk powstrzymał go ruchem ręki. - Nie, nie jestem ranny...

- Więc co z tobą?

- Poprzysiągłem odejść do świata, który obdarzył mnie mocą, a widziałeś przecież, jaka jest potężna! - szepnął, a jego nogi ugięły się nagle. Wędrowiec zachwiał się i padł na kolana. Jego oczy zapały słabym blaskiem gasnącej zieleni, patrząc w jeden punkt przestrzeni. - Jeszcze chwilę - szepnął. - Podarujcie tę ostatnią chwilę...

Kultinak krzyknął coś do swoich ludzi, czego Wuk już nie dosłyszał. Z dala nadbiegły grupy wojowników.

Pierwsi przybyli Jednakowi, zaraz za nimi Wędrowcy, a wśród nich Keio i Bilan w poszarpanych i zakrwawionych pelerynach. Spojrzały na postać swojego mistrza i ukłękły przy nim.

Powiedział coś do nich w języku Wędrowców. Przytaknęły szybko głowami i wydały z siebie zduszonymi głosami rozkaz do stojących:

- Jego ostatnim życzeniem jest patrzeć, jak do statku wchodzi ci, których los jest już wyznaczony.

Ktoś z Jednakowych wydał pozostałym polecenie, bo zaraz przyniesiono pospiesznie sklecone nosze, układając na nich dziwnie lekkie ciało Wędrowca.

Teraz ty, Kultinaku, masz zebrać tych, którzy polecą - powiedziała Bilan, wpatrując się w starca swoimi zielonkawymi oczami. - On to chce widzieć! Potem wszyscy dowódcy mają przyjść do niego.

Kultinak wydawał polecenia przejętym głosem. Nie mógł jeszcze pojąć, co się stało.

Minęła godzina, póki długi szereg ustawił się wzdłuż statku, przed nim, w pozycji półsiedzącej, podtrzymywano Wuka.

- Moja moc odchodzi - szeptał - by się połączyć z wszechmocą - utkwiał wzrok w znajomej sylwetce i przywołał ją słabym ruchem ręki.

Kultinak stał obok, dzierżąc w dłoni świętą relikwię Jednakowych. Bolko, brat Sępa, przyklęknął przy Wędrowcu i spojrzał w jego gasnące oczy.

- Wukian - szepnęła wzruszonym głosem. - Czy naprawdę musisz odejść? A myślałem, że polecisz z nami...

- Będę z wami. Będą też inni, bo nie opuścimy was. Ale teraz słuchaj mnie uważnie. Każda grupa ludzi musi dostać się na inny statek. I nie zważajcie na to, że ci obcy są przyjaźnie nastawieni. Wasz święty obowiązek jest ważniejszy! Podczas tej podróży musicie opanować statki. Nie ma innej rady! Nie protestuj, tylko słuchaj! Do tego czasu uczcie się wszystkiego pilnie, potem przystąpicie do działania. Teraz mi przysięgnij, że to wypełnicie!

Brat Sępa milczał, zaskoczenie i wzruszenie ścisnęły mu gardło.

- Więc przysięgnij, bracie... - szeptał coraz słabszym głosem Wuk.

- Ale jakże to - zaproponował nieśmiało Bolko. - Napaść na tych, którzy będą nas gościli? Spadnie na nas hańba!

- Nie rozumiesz tego - jęknął Wukian cicho. Chwilę odychał ciężko, po czym rzekł: - Wiesz, jak rozpoznaję człowieka? Bo ma piętno. Piętno hańby w sobie. Każdy ma głęboko ukryte, ale jak się dobrze przyjrzyysz, zobaczysz ten charakterystyczny znak. Otrzymaliśmy go od naszych przodków. Żyliśmy z nim, żyjemy i będziemy jeszcze długo żyć. Wy, którzy polecicie tam, gdzie piętno to dotarło kiedyś, macie je wymazać - w jaki sposób? to już wasza sprawa. Teraz wiesz, więc przysięgnij.

- Przysięgam...

Na ten święty sztandar! - dodał Kultinak.

- Przysięgam!

Wuk zamknął oczy, oddychał nierównomiernie. Słyszał jeszcze, co się działo dookoła niego, ale już nie reagował.

- I zabierzcie świętość naszą – przypominał drżącym głosem Kultinak. - Niech będzie tam, skąd przyszła śmierć, bowiem Rok Chińskiego Lisa zapisany jest w pamięci pokoleń. Powierz pieczę nad nim najwartościowszemu.

Bolko odebrał sztandar, ucałował go i wręczył jednookiemu wojownikowi mówiąc:

- Pilnuj go jak oka w głowie, dopóki nie przyjdę i nie wezmę go od ciebie!

- Teraz w drogę - rzekł Kultinak - bo czas nadszedł.

Wuk słysząc te słowa, zmobilizował się i z trudem otworzył oczy. Jak przez mgłę widział wstępujących na pochylnię.

Pierwszy szedł wojownik ze sztandarem w dłoni, za nim ginąc w pasmach nadchodzącej wieczornej mgły - postępowali czwórkami inni. Znikali w niej i znów wyłaniaли się, wchodząc w ciemną otchłań statku.

Obraz nagle zgasł.

Jednooki wojownik wszedł do mrocznego pomieszczenia ładowni i stanął z boku, trzymając kurczowo w dłoniach długie drzewce, wokół którego owinięta była purpura błyszczącego materiału.

Inny wojownik, w czarnym szyszaku, patrząc na sztandar i szczątki liter, zapytał:

- A co tam jest napisane, bracie?
- Nie wiem - rzekł Jednooki - ale to jest święte. Tak powiedział Bolko i kazał mi pilnować, jak oka w głowie!

